Oskarżony: deweloper ▪ CPK i nasze aspiracje ▪ Helena, święta z podwórka
Żydzi kontra Izrael ▪ Odessa szuka ulgi ▪ Cały świat w Wenecji

Kraków 8 – 14 maja 2024 nr 19 (3905) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Sienkiewicz: największy wróg PiS-u

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

WWW.WIENIAWSKI.PL

FESTIWAL BEZSENNOŚĆ

20-24.05.2024
POZNAŃ

MESSAGES QUARTET
BASTARDA TRIO
KOMASA & KOZIEŁ
KOŚMIEJA
JAKOWICZ & CHRZĘSZCZYK

ORGANIZATOR:

Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu

FINANSOWANIE:

WIELKOPOLSKA

Samorząd Województwa Wielkopolskiego

POZnań

PARTNERZY:

BAZAR

Bösendorfer

Bilety24

REKLAMA

KS. ADAM

Boniecki: *Wiara zaktualizowana*

Niedawno Łukasz Lamża na tych łamach przestrzegał: „Nie mówmy, że sztuczna inteligencja »rozumuje«, »myśli« albo »kłamie«. Jej algorytmy robią tylko to, do czego zostały zaprogramowane przez ludzi”. Przypominam sobie ten tekst, czytając teraz artykuł Piotra Szymanka „Twoja religia została zaktualizowana”. Autor pyta w nim, czy „nowoczesna wiara przeniesie się do świata wirtualnego, gdzie cyfrową trzodę prowadzić będzie cyfrowy pasterz?”. I odpowiada, że „jeśli tak będzie, to nieprędko”. Nie jestem prorokiem i nie wiem, co będzie, sądzę jednak, że ten kierunek zmian – niezależnie od ich sukcesów i popularności – jest kierunkiem błędnym. Może i się rozszerzy, może pociągnie masy ludzi, jednak – jak sądzę – jest to kierunek nie tylko niebezpieczny, ale i z natury błędny. Lamża tak kończył swój artykuł: „Chaty AI to po prostu monstrualne programy komputerowe, zręcznie generujące naturalnie brzmiący tekst, ale programy te nigdy nie będą bezstronnymi ekspertami – są do tego strukturalnie niezdolne. (...) Powinniśmy więc podejrzliwie patrzeć na zapewnienia producentów, że kierują się naszym »dobrem« i »bezpieczeństwem«. (...) Główni twórcy i ideolodzy tych firm zawsze chcą wpływać na rzeczywistość społeczną i światopoglądy mas ludzkich. A teraz otrzymali możliwość robienia tego w sposób jeszcze bardziej zawoalowany i inteligentny”. Czy Kościół też ma być taką firmą?

„Cyfrowy pasterz”, w odróżnieniu od pasterza z krwi i kości, jest zaprzeczeniem tego, co zawierało się w poleceniu Jezusa „idźcie”, zastępuje obecność świadka wiary mechanizmem. Pamiętamy przypowieść Jezusa o dwóch, którzy przyszli do świątyni. Usprawiedliwiony – według słów Jezusa – został człowiek, który nie miał daru wymowy. Powtarzał jedno zdanie: „Panie, bądź miłościw mnie grzesznemu”. Ale możemy sobie tylko wyobrazić, jak on to bełkotał. Był zaprzeczeniem algorytmu.

Najważniejszą rolę odegra jednak sposób postrzegania samego Boga. Dla kogoś, kto oddaje cześć bóstwu stworzonemu z ludzkich wyobrażeń, może być istotne wykonanie czynności rytualnych. Zaniedbanie jakiejkolwiek z nich jawi się jako zagrożenie. Bóg Jezusa Chrystusa, ani Bóg, w którego wierzą Żydzi, nie jest przecież całkiem podobny do człowieka, choć w człowieku można znaleźć rysy podobne do Boga. Bóg, o którym mówił Chrystus, jest – mimo wcielenia Syna Bożego – całkowicie inny od wszystkiego, co człowiek może sobie wyobrazić. Stąd, jak sądzę, wielość religii, także wielość interpretacji Objawienia. Bóg Jezusa Chrystusa nie jest małostkowy, lecz nade wszystko jest wielkoduszny. Nie rachuje naszych odmówionych tekstów, co więcej: nie dokonuje podsumowania złych i dobrych czynów, by poznać przeciętną, lecz – ponieważ kocha – bierze pod uwagę ostatni akt świadomości, żal, tęsknotę czy smutek i to liczy, jakby unieważniając wszystkie poprzednie fakty – wszystko, co w życiu było temu przeciwne.

Czy z tego wynika, że nauczanie religii, że doktryna, nasze praktyki, że wszystko to, co zamykamy w określeniu „życie religijne”, jest do niczego niepotrzebne? Mam nadzieję, że nie. Ale też bym zalecał ostrożność w ocenach innych doktryn, innych praktyk niż kościelne. Wiara w Boską ingerencję w ludzkie myślenie, w ludzkie poszukiwania, wręcz w ludzkie sprawy, nakazuje tu ostrożność. Czy naprawdę Bóg nie może ingerować tam, gdzie my widzimy błędy doktrynalne? I czy na pewno i zawsze ingeruje On we wszystkie zarządzenia i doktrynalne pisma Kościoła, strzegąc je od jakiegokolwiek błędu? Wiadomo wszak, że zrozumienie nauki Chrystusa się rozwija, a pełne jej zrozumienie właściwie chyba nie jest możliwe. Zresztą historia uczy, że przepisy, zasady postępowania się zmieniają, że w miarę rozwoju nauki i kultury przybierają inną postać. Czy łagodniejszą? Nie sądzę, myślę, że raczej idą w głąb, że bardziej angażują to, co jest ludzkie (rozumność i wolność), choć jednocześnie wiele starych zasad nie jest zmazywanych. Wiele bardzo ludzkich przepisów, by nie powiedzieć „wiele zasad”, uległo zmianie. Na tym polega proces rozumienia Jezusa. Jeśli coraz lepszego, to znaczy, że nie zawsze był rozumiany dobrze. Był? Jest? Wierzę, że w tym procesie obecny jest Duch Święty. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Pobudka z Tygodnikiem

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

Pobudka z Tygodnikiem to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego”.

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika”.

20 Ty deweloperze!
MAREK RABIJ
W społecznym odbiorze są dziś źródłem większości chorób toczących przestrzeń polskich miast i cały rynek mieszkaniowy.

34 Ostatnia misja Heleny
EDWARD AUGUSTYN
Sceptycyzm, niedowierzanie i pobłażliwy uśmiech, z jakimi słuchamy opowieści o tej dziewczynie, mówią więcej o nas niż o niej.

56 Wytworny szubienicznik
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI
Był symbolem zdrady i moralnego upadku elity I RP. Jako jeden z nielicznych zapłacił za to głową.

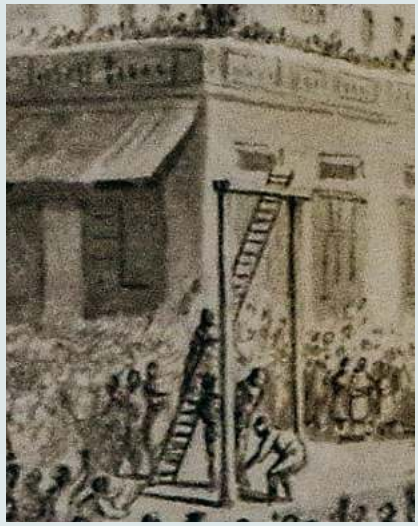

44 Nieoczekiwany rywal Orbána
ANDRZEJ SADECKI
Kim jest człowiek, który na Węgrzech rzuca wyzwanie Fideszowi?

78 Wszędzie obcy
PIOTR KOSIEWSKI
Biennale Sztuki w Wenecji pokazuje odmienny od znanego nam kanon sztuki i najważniejsze tematy artystów Globalnego Południa.

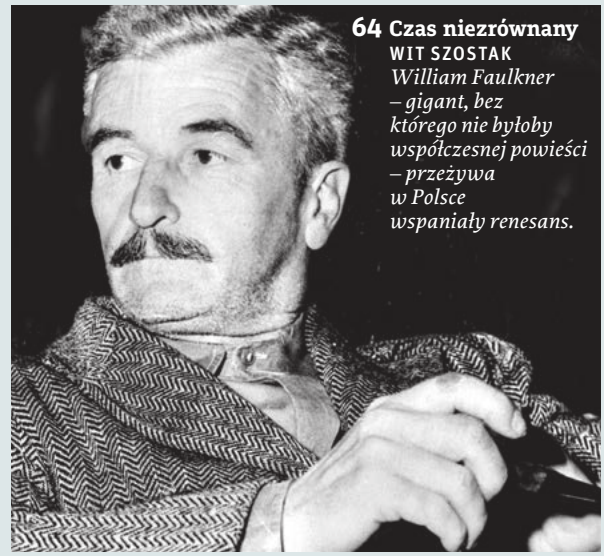

64 Czas niezrównany
WIT SZOSTAK
William Faulkner – gigant, bez którego nie byłoby współczesnej powieści – przeżywa w Polsce wspaniały renesans.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER // FUNDACJA IM. HELENY KMIEĆ / MATERIAŁY PRASOWE // ABACA PRESS / FORUM // AP / EAST NEWS // PIOTR KOSIEWSKI // ZOFIA BAZAK / EAST NEWS

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Wybory i wakacje
MAREK KĘSKRAWIEC

8-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Ty deweloperze!
MAREK RABIJ

24 Czy możemy mieć ładne rzeczy?
JAKUB DYMEK: *Spór o inwestycje publiczne pokazuje ambicje Polaków w 20 lat po wejściu do UE*

27 Zabawki rzecznika
ANNA GOLUS: *Marek Michalak zrobił z biura Rzecznika Praw Dziecka prywatny folwark*

30 Będziesz grać dla Polski
AGNIESZKA BURTON: *Nad Wisłą coraz większą popularność zdobywa futbol australijski*

■ ■ WIARA

34 Ostatnia misja Heleny
EDWARD AUGUSTYN

38 Diecezja jak pole minowe
ROZMOWA Z BP. ARTUREM WAŻNYM: *Jeśli ksiądz popełni przestępstwo, będę reagować ostro*

40 Twoja religia została zaktualizowana
PIOTR SZYMANEK: *Czy nowoczesna wiara przeniesie się do świata wirtualnego z cyfrowym pasterzem?*

■ ■ ŚWIAT

44 Nieoczekiwany rywal Orbána
ANDRZEJ SADECKI

47 Bruksela i Pekin idą na noże
MARIA WIŚNIEWSKA: *Stary Kontynent jest coraz bardziej krytyczny wobec Chin*

TEMAT TYGODNIKA

12 Quo vadis
PIOTR ŚMIŁOWICZ
Wydarł media publiczne z rąk PiS i złożył dymisję. Chce odejść na „cmentarzysko politycznych słoni", czyli do Parlamentu Europejskiego. Oto, jak wypala ludzi polska polityka.

ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

■ FELIETONY ■

33 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK **54** ELIZA KĄCKA
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ, LUTY 2024 R.
FOT. AREK MARKOWICZ / FORUM

Redaktor prowadzący:
MICHAŁ OKOŃSKI

50 Grossowie Izraela
MAREK MATUSIAK: *Kim są Izraelczycy, którzy krytykują metody, jakimi ich kraj prowadzi wojnę w Gazie?*

52 Alarm po odesku
ANTONINA PALARCZYK: *Czy wypada się śmiać w tak trudnym czasie? Ukraińcy potrafią*

■ ■ HISTORIA

56 Wytworny szubienicznik
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

■ ■ NAUKA

60 Do czego służy wzrok
DANIEL KOZŁOWSKI, KALINA WĘGRZYN: *Jak niewielki morski robak nauczył się mierzyć głębokość*

■ ■ KULTURA

64 Czas niezrównany
WIT SZOSTAK

68 Popisówka
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Fredro przestał być traktowany jak pisarz dramatyczny. Jak z tym teatralnym didżejem serwującym listę „złotych przebojów" poradził sobie Michał Zadara?*

70 Judyta ma śmiałość
ANNA PAJĘCKA: *Cokolwiek byśmy zrobili, nie wyrównamy obecności kobiet w dawnej sztuce. Stawką jest współczesność*

74 Marzyciele
ANITA PIOTROWSKA o *„Ostatniej wyprawie" Elizy Kubarskiej i „Lesie" Lidii Dudy*

75 Dzikarium
LEKTOR o *„Atlasie dziur i szczelin" Michała Książka*

■ ■ ZMYSŁY

78 Wszędzie obcy
PIOTR KOSIEWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Agenci Moskwy
Greckie wille, fałszywe tożsamości i nowiczok.
ANNA ŁABUSZEWSKA pisze, jak działają rosyjscy szpiedzy
TygodnikPowszechny.pl/RosyjskaRuletka

Wywrotowy „Reniferek"
Sugestywny serial, w którym bezpardonowo mówi się o własnym nieudacznictwie i męskim zranieniu
– ogląda ANITA PIOTROWSKA | TygodnikPowszechny.pl/weekend

Na wiosnę kwartał popłaca. Sprawdź na stronie 55

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

JEDZIEMY NA WAKACJE

Bruksela zawsze była miejscem wygodnego uprawiania polityki za godne wynagrodzenie. Dlaczego tak nagle zaczęło to społeczeństwu doskwierać? Przejrzeliśmy na oczy?

MAREK KĘSKRAWIEC

Czołowe miejsce na liście do Parlamentu Europejskiego jest formą nagrody za zasługi lub elementem pocieszenia po porażce, jeśli lider docenił pracowitość. Na rękę trafia równowartość 34 tys. zł, do tego kolejne 21 tys. diety na różne wydatki (np. biuro), 1,5 tys. za podpisanie listy obecności na posiedzeniu PE, a na dokładkę zwrot kosztów podróży i leczenia. W porównaniu do uposażeń posłów ogarniętego nieustannym konfliktem Sejmu RP to po prostu finansowy raj; piękne wakacje, podczas których można co prawda zabłysnąć, ale atmosfera poza kluczowymi posiedzeniami jest relaksująca, więc nie sprzyja nadmiernemu wysiłkowi. Naprawdę w ogóle się nie dziwię, że dla większości polskich polityków wyjazd do Brukseli jest marzeniem, nawet dla tych, którzy tej strasznej Unii Europejskiej nienawidzą.

W TYM ROKU coś się jednak zmieniło. Społeczeństwo zaczęło się oburzać na ludzi, którzy jeszcze kilka miesięcy temu deklarowali cztery lata ciężkiej pracy w Polsce i dla Polski, a dziś tratują się w wyścigu po czołowe miejsca na listach, by z niej wyjechać. Miejsca te dają szansę, by trafić na ekskluzywne „cmentarzysko politycznych słoni", wedle określenia ministra Bartłomieja Sienkiewicza. Użył go w przypływie szczerości (z czego jest powszechnie znany od czasów słynnego nagrania o państwie teoretycznym), gdy jeszcze się wydawało, że Donald Tusk zmusi go do pozostania na stanowisku szefa resortu kultury. Mówił, że nigdzie

POWYŻEJ:
Przed Parlamentem Europejskim. Bruksela, 4 maja 2024 r.

się nie wybiera, bo „ma co robić", ale już kilka tygodni później złożył dymisję na ręce premiera, pozostawiając w ministerstwie bałagan, czego symbolem jest sytuacja w mediach publicznych. Zostały przejęte na granicy prawa, a dziś zmagają się z potężnym kryzysem finansowym z uwagi na blokadę funduszy przez KRRiT, jeden z ostatnich bastionów PiS.

Wyjazd do Brukseli kogoś, kto rozgrzebał różne sprawy, żadnej nie dokończył, a na dodatek ma pogardliwy stosunek do roli europosła – może nas oburzać, ale przynajmniej mamy jasność, co Sienkiewicz będzie w Brukseli robił. Nie napiszę wprost, że będzie tam wypoczywał w ekskluzywnych warunkach, które lubi, ale ta myśl świdruje mój umysł. Bądźmy przy tym uczciwi: ilu z dotychczasowych polskich europosłów zapisało się na kartach wspólnoty europejskiej? Jerzy Buzek, Jan Olbrycht, Andrzej Halicki, Włodzimierz Cimoszewicz, Marek Belka, no dobra, mogę wymienić też Jacka Saryusza-Wolskiego, a nawet Ryszarda Czarneckiego. Reszta, jeśli była głośna, to tylko po to, by płomienne wystąpienie np. Beaty Szydło mogła pokazać dawna TVP.

TRUDNO SIĘ OBURZAĆ na naszych polityków, że garną się na brukselskie cmentarzysko, skoro w innych krajach jest podobnie. Wiemy to od ponad dekady, gdy wyszło na jaw, jak wielu europosłów potrafiło w piątek podpisać listę obecności w PE, żeby skasować dietę, po czym zamiast na salę obrad kierowało się na lotnisko. Ludzie robią to, na co się im pozwala. Gorzej, że na szczytach naszej władzy wciąż brakuje refleksji, że jednak coś się w kraju zmieniło. 15 października ustanowiliśmy rekord frekwencyjny, bo chcieliśmy zmiany, która polega nie tylko na zastąpieniu PiS-u odmienną ideowo koalicją. Jesteśmy już trochę innym społeczeństwem, i nawet jeśli ogarnia nas populizm, to jednocześnie uważnie patrzymy, czy władza wypełnia złożone obietnice. Wynika to z badań prowadzonych przez IBRiS, ale najwyraźniej nie dociera do elit.

NIEKTÓRZY UNIKNĘLI kłopotów. Zarówno Polska 2050, jak i Lewica nie wysłały do Brukseli ministrów. Uznano, że ich ewakuacja do europarlamentu po pół roku, gdy wcześniej powtarzano jak mantrę, że sprzątanie po ośmiu latach PiS oznacza długotrwały znój i trud – byłaby jednak niezręczna. Takich oporów nie miał dominujący koalicjant. Donald Tusk zgodził się, by złote spadochrony otrzymali Sienkiewicz, szef MSWiA Marcin Kierwiński, a także minister aktywów państwowych Borys Budka. Odwołanie po tak krótkim czasie i wysłanie na zagraniczną misję (średniego znaczenia) tak ważnych członków rządu, którzy robili porządki w najważniejszych dla przyszłości Polski obszarach – jest dość osobliwym pomysłem. Nie usłyszeliśmy logicznego wytłumaczenia tego posunięcia i nie wiemy nawet, czy ci trzej muszkieterowie lecą do Brukseli w nagrodę, czy mają zejść Tuskowi z oczu, bo tak mocno przeskrobali.

W PIS O DZIWO nie słychać wielkiego oburzenia na posunięcia znienawidzonego przez Jarosława Kaczyńskiego premiera, ale to akurat nie jest dziwne. Umieszczenie na pierwszych miejscach list kandydatów takich jak Daniel Obajtek, Mariusz Kamiński czy Maciej Wąsik to klasyczna definicja politycznego złotego spadochronu. Raczej nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że ci ludzie idą do Brukseli z innej przyczyny poza tą, że trzeba im zapewnić bezpieczeństwo na wypadek spraw w sądach.

Działacze PiS, nawet jeśli dziś nienawidzą Kamińskiego i Wąsika, podsłuchujących własnych kolegów, to doceniają dbałość szefa o ludzi, którzy zaryzykowali łamanie prawa dla partii. Można to docenić, być może tak samo, jak dbałość Roberta Biedronia o relację z partnerem Krzysztofem Śmiszkiem. Obaj startują z jedynek Lewicy, by spotkać się w Brukseli. Pal licho, że Śmiszek jest wiceministrem sprawiedliwości, czyli głównego resortu sprzątającego po PiS. Rodzina jest najważniejsza. ©℗

VIRGINIA MAYO / AP / EAST NEWS

Elektryk+

KRZYSZTOF STORY

ZAMIAST PODATKU OD SAMOCHODÓW SPALINOWYCH, państwo dopłaci nam nawet 30 tysięcy do przesiadki na elektryka. „Zielona zmiana metodą zachęt, nie nakazów. Taki prezent od Koalicji 15X na 20-lecie w Unii" – napisał Szymon Hołownia na portalu X.

Rozpakowując taki piękny i duży (budżet całego grantu ma wynosić 1,5 mld zł) prezent, powinienem się cieszyć. Potrzebujemy bezemisyjnego transportu, nie tylko po to, by hamować ocieplenie klimatu, ale też z troski o jakość powietrza w naszych miastach (i nasze zdrowie). Tym bardziej że rządowy program ma kilka zalet. Po pierwsze: obejmie też zakup używanych aut, a także leasing i wynajem długoterminowy. Po drugie: będą górne limity cen. Mówi się o 225 tys. złotych dla nowych aut i 150 tys. dla używanych, ale jedno jest pewne: państwo nie będzie nikomu dopłacać do porsche czy najdroższych modeli tesli. Po trzecie: bazowa stawka wyniesie 30 tys., ale dopłata będzie większa dla słabiej zarabiających oraz tych, którzy zezłomują poprzednie auto. Na papierze zrobiono sporo, by nie był to kolejny program, w którym wszyscy zrzucamy się na błyszczące zabawki dla bogatych.

Dlaczego więc się nie cieszę? Bo rząd wyda 1,5 mld zł, opierając się na fałszywym założeniu: Polacy nie jeżdżą elektrykami, bo nie stać ich na takie auta. Pierwsza część tego zdania jest prawdziwa: w Polsce przez cały zeszły rok zarejestrowano 19 612 nowych aut elektrycznych. W Niemczech tylko w marcu 2024 r. było to ponad 30 tys. Niemcy są dużo bogatsze od nas? Weźmy inne przykłady: Łotwa ma 2 razy większy udział elektryków wśród nowych aut niż Polska, Rumunia – 3 razy, Portugalia – 4.

Polacy nie są za biedni na elektryki i nie trzeba im budżetowym palcem pokazywać, jaki samochód mają kupić. Po prostu nikt nie przesiądzie się do auta, którego nie ma gdzie naładować. O tym rząd już milczy.

W Polsce na 100 tys. mieszkańców przypada 9 publicznie dostępnych ładowarek. We wspomnianej już Portugalii jest ich 60, średnia unijna wynosi 106, a rekordzistka Holandia ma 577. My w europejskiej tabeli wyprzedzamy tylko Cypr. Zmiana tego jest trudniejsza niż sypanie dopłatami, które ostatecznie trafią do zagranicznych koncernów samochodowych zamiast budować naszą infrastrukturę. Na razie dla rządu – zmiana zbyt trudna. ©℗

CZTERY PYTANIA

PAWEŁ WODZYŃSKI / / EAST NEWS

DARIUSZ MARTYNOWICZ *jest polonistą, Nauczycielem Roku 2021. Uczy w Zespole Szkół STO im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.*

Kanon nieczytania

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: MEN ogłosił projekty okrojonych podstaw programowych, a poloniści protestują. Dlaczego?

DARIUSZ MARTYNOWICZ: Resort zapowiadał redukcję o 20 proc. – okroił o mniej niż 5 proc. Poza tym nowa lista lektur to kolejny kanon promujący nieczytanie: nadal królują obca młodym ludziom literatura staropolska, romantyczna i tematyka narodowa. Z większych rzeczy, jeśli idzie o szkoły ponadpodstawowe, wyrzucono „Konrada Wallenroda". Za to do podstawówek wraca... „W pustyni i w puszczy". Nie chcemy rugować klasyki, ale zachować balans, którego teraz brak.

Co powinno według Pana wypaść?

Np. anachroniczna i mierna estetycznie „Odprawa posłów greckich", ale też cały dział „lektur uzupełniających", bo nauczyciele wiedzą, czego potrzebują uczniowie. W ogóle zasadą pracy zespołu ds. podstaw z polskiego był chyba brak zaufania do nauczycieli.

„Tygodnik" donosił w styczniu, że zespołem tym kieruje Wioletta Kozak, ekspertka za PiS-u rozszerzająca podstawy i firmująca reformę oświaty.

Z kolei „Newsweek" ustalił, że MEN dał się przechytrzyć Ordo Iuris: na kształt listy lektur wpływ miała mieć kopiowana ze strony tej organizacji i wysyłana przez setki jej zwolenników petycja w obronie kanonu. Jesteśmy tym jako środowisko wstrząśnięci. To tak jakby ekipa budowlana schrzaniła panu dach, który teraz przecieka, a pan po jakimś czasie zaprosiłby do remontu tych samych ludzi.

Co dalej?

Dopiero zaczynamy protest. Pod petycją „Grzeczni... to już byliśmy" podpisało się kilka tysięcy osób, a będzie ich więcej. Do MEN-u musi wreszcie dotrzeć, że wielu z nas nie po to popierało demokratyczne zmiany w tym resorcie, żeby teraz godzić się na pozorowane reformy. ©℗

Więcej na powszech.net/lektury

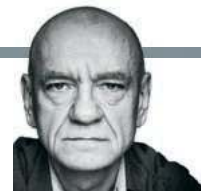

Studenci w USA protestują

DARIUSZ ROSIAK

Ponad 2 tys. osób – studentów i profesorów – zostało aresztowanych w ciągu ostatnich dwóch tygodni na amerykańskich uniwersytetach. Protest rozpoczęty na Columbia University w Nowym Jorku rozlał się na 140 uczelni i przybierał różną skalę: od pokojowych manifestacji do starć i interwencji uzbrojonych oddziałów policji w miasteczkach namiotowych na kampusach.

Głównym postulatem zgłaszanym przez studentów jest wycofanie się ich uczelni ze współpracy z firmami, które wspierają Izrael w wojnie z Hamasem, zwłaszcza z firmami zbrojeniowymi. W jednym wypadku (Brown University) władze uczelni zgodziły się na przeprowadzenie głosowania w tej sprawie w zamian za likwidację obozowiska protestujących. W kilku innych doszło do porozumienia władz z protestującymi.

Od początku wojny Izraela z Hamasem studenci żydowscy w USA mówią o poczuciu zagrożenia, aktach przemocy, bezradności władz wobec antysemityzmu, a nawet systemowej akceptacji tego typu zachowań przez niektórych profesorów i administrację. W styczniu rektorki prestiżowych uniwersytetów Harvarda i Penn musiały ustąpić ze stanowiska po przesłuchaniu w Kongresie, na którym nie umiały jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy nawoływanie do ludobójstwa Żydów narusza przepisy uczelni. W opublikowanym właśnie raporcie Liga Antydefamacyjna (ADL), jedna z najważniejszych organizacji żydowskich na świecie, twierdzi, że w ostatnim roku 75 proc. amerykańskich studentów było świadkami zachowań antysemickich.

Na amerykańskich uczelniach, podobnie jak w większości uniwersytetów w krajach zachodnich, dominuje ideologia lewicowa, w której Izrael występuje w roli kolonizatora. W tej narracji to Hamas nie jest organizacją terrorystyczną, tylko zbrojną grupą walczącą o wolność dla Palestyńczyków, a Izraela w niczym nie usprawiedliwia atak 7 października, ponieważ z definicji państwo żydowskie jest nielegalne, kontynuując od 1948 r. „okupację" Palestyny i dopuszczając się „ludobójstwa" w Gazie. Rozważanie zasadności tych argumentów mija się z celem, bo uliczne protesty nie służą debacie politycznej.

Na porównywanie obecnych wydarzeń do protestów przeciwko wojnie w Wietnamie w latach 60. jest chyba za wcześnie. Tamte były zapowiedzią dojścia do głosu nowego pokolenia. Obecne pokazują, jak bardzo w amerykańskim społeczeństwie dominują skrajne postawy, co zapewne będzie się wzmagało przed listopadowymi wyborami. A także jak bardzo Izrael stał się dziś obiektem nienawiści. ©

SPENCER PLATT / GETTY IMAGES

Propalestyńscy demonstranci przed budynkami Uniwersytetu Nowojorskiego (NYU). Nowy Jork, 3 maja 2024 r.

NA PUNKTY

MINISTER
Sensację podczas obchodów Dnia Strażaka wzbudził niewyraźnie mówiący szef MSWiA Marcin Kierwiński. O tym, że problemem przemawiającego był pogłos z kiepskiego nagłośnienia, sceptyków nie przekonało nawet to, że bezpośrednio po uroczystości poddał się badaniu alkomatem.

KANDYDAT
Żadnych badań przed wyborami do europarlamentu nie przejdzie chyba kandydujący z list PiS Daniel Obajtek: b. prezes Orlenu, za przykładem kandydującego jesienią do Sejmu Romana Giertycha, w obawie przed aresztowaniem wyjechał za granicę.

BIZNESMEN
Jedną z przyczyn kłopotów Obajtka jest 1,6 mld zł, stracone na skutek działań spółki tradingowej Orlenu, której szefem był mianowany przezeń Libańczyk, podejrzewany o kontakty z Hezbollahem biznesmen Samir A.

PREMIER
W związku z „zaawansowaną formą" zapalenia płuc Donald Tusk ograniczył aktywność publiczną do złośliwych komentarzy na portalu X. Jednym z głównych bohaterów tychże był Obajtek. ©℗

Europejski front psychologiczny

WOJCIECH KONOŃCZUK

Takie wypowiedzi ukraińskich dowódców są rzadkie. „Nasz problem jest bardzo prosty: nie mamy broni" – stwierdził niedawno gen. Wadym Skibicki, wiceszef ukraińskiego wywiadu wojskowego. Te słowa pokazują powagę sytuacji – i mają służyć mobilizacji Zachodu. Bo sytuacja na froncie istotnie jest coraz gorsza. Choć Kongres USA przyjął w końcu pakiet pomocy, zanim się on zmaterializuje, minie sporo czasu. Tymczasem Rosjanie mają wielką przewagę ogniową (miejscami dziesięciokrotną) i skupili na froncie już pół miliona żołnierzy. Ukraińska armia narzeka zaś na brak ludzi.

BLONDET ELIOT / ABACA / EAST NEWS

Najbliższe kilka tygodni będzie wyjątkowo trudne. Kreml oczekuje sukcesu: przełamania frontu. W idealnej dla Rosji sytuacji miałoby się to stać w okolicy lipcowego szczytu NATO w Waszyngtonie. Putin chciałby upokorzyć Zachód i pozbawić go złudzeń, że konflikt ten może skończyć się dla Ukrainy (i jej sojuszników) jakimkolwiek pozytywnym rozwiązaniem.

Każda wojna to nie tylko starcie potencjałów militarnych. To także problem polityczny do rozwiązania. Pokazując swoją determinację, nie licząc się z stratami, demonstrując, że jej wygrana to kwestia czasu, Rosja chce pozbawić Zachód wiary. Aby odnieść sukces, trzeba przede wszystkim w niego wierzyć. Równie ważnym frontem tej wojny jest ten psychologiczny, gdzie Kreml dziś dominuje.

Wprawdzie publiczne podawanie w wątpliwość sensu trwania ukraińskiej obrony wciąż nie jest na Zachodzie czymś masowym. Jednak w powietrzu wiszą niepewność, zmęczenie i brak wiary w możliwość pokonania (czy choćby: powstrzymania) Rosji. Dla wielu stolic zachodnich idealny byłby jakiś kompromis. Takie myślenie nie bierze jednak pod uwagę, iż Kreml nie jest nim zainteresowany i że jego cele nie kończą się na Ukrainie: on dąży nie tylko do podporządkowania sobie Ukrainy, ale też do wywrócenia porządku międzynarodowego w tej części świata.

Różnie można oceniać ostatnie wystąpienia prezydenta Macrona (na zdjęciu), który przed zagrożeniem rosyjskim ostrzega, używając słów, jakie dotąd charakterystyczne były dla państw wschodniej flanki NATO. Ale precyzyjnie opisują wyzwanie dla Europy. Dobrze byłoby, gdyby za słuszną narracją poszły konkretne czyny. ©

Biskupi odkładają rozliczenie pedofilii

ARTUR SPORNIAK

W marcu zeszłego roku biskupi zdecydowali „jednogłośnie" o powołaniu zespołu, który przebada archiwa państwowe i kościelne pod kątem traktowania w przeszłości przestępstw seksualnych duchownych wobec małoletnich. Początkowo optymistycznie zakładano, że w maju zostanie zaakceptowana jego formuła, a w czerwcu skład. Okazało się, że praca koncepcyjna się przedłuża. W czerwcu biskupi zadecydowali, że zespół będzie badać sprawy od 1945 r. i na wzór komisji francuskiej nie ograniczy się tylko do archiwów, lecz spróbuje dotrzeć do ofiar, w jego skład zatem wejdą oprócz historyków i kanonistów także psychologowie i socjologowie. Za radą Kościoła francuskiego na jesieni postanowiono, że badania obejmą także zakony męskie i żeńskie – grono decyzyjne zatem znacznie się poszerzyło: do podejmującej decyzje Konferencji Episkopatu doszły konsulty zgromadzeń zakonnych.

Przed tegorocznym majowym zebraniem Rady Stałej Episkopatu na Jasnej Górze KAI informowała, że wśród dyskutowanych tematów ma być także „stan przygotowań" do powołania zespołu kościelnego. Jednak komunikat z obrad oraz oficjalne informacje po spotkaniu rady milczą na ten temat, a osoby decyzyjne nie bardzo chcą się w tej sprawie wypowiadać.

Wygląda na to, że im ambitniejsza stawała się koncepcja takiego gremium, tym bardziej pozostaje ono w sferze planów. Tymczasem nie trzeba przypominać, jak ważna jest dla przyszłości Kościoła w Polsce ta sprawa i dlatego warto o niej na bieżąco informować. Spodziewanie się, że biskupi powołają niezależny zespół do badania pedofilii w Kościele, coraz bardziej zaczyna przypominać czekanie na Godota. ©℗

Z Collegium Humanum do dowództwa armii

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Generał Marek Sokołowski podczas obchodów Święta Konstytucji 3 Maja. Warszawa, 3 maja 2024 r.

GENERAŁOWIE ▪ Wojsko Polskie ma nowego dowódcę generalnego rodzajów sił zbrojnych, czyli osobę odpowiedzialną za utrzymywanie gotowości bojowej i za szkolenie. Prezydent powołał na to stanowisko Marka Sokołowskiego, którego awansował do stopnia generała broni. Trzecią gwiazdkę generalską otrzymał również Krzysztof Stańczyk, awansowany na dowódcę Wojsk Obrony Terytorialnej.

Oba stanowiska nie były formalnie obsadzone od października ub. roku, kiedy po nagłym odejściu z wojska szefa sztabu Rajmunda Andrzejczaka i dowódcy operacyjnego rodzajów sił zbrojnych Tomasza Piotrowskiego (czyli osoby odpowiedzialnej za bieżące bezpieczeństwo kraju) funkcję tego pierwszego objął ówczesny dowódca generalny naszej armii, generał Wiesław Kukuła. Następcą Piotrowskiego został zaś generał Maciej Klisz, dowodzący dotąd WOT.

To właśnie ta formacja wymaga dziś najwięcej uwagi. W 2023 r. jej szeregi opuściło 9759 osób, czyli niemal jedna trzecia stanu osobowego. Z pewnością złożyło się na to także wypalenie pewnej grupy ochotników, którzy wdziali mundury na początku 2022 r. Z armii dobiegają jednak również opinie, że kadra zawodowa WOT nie została należycie przygotowana do specyfiki pracy z żołnierzami, którzy na służbie bywają zwykle dwa dni w miesiącu, poza wojskiem mają drugie życie zawodowe i zwyczajnie nie muszą tolerować pruskiego drylu i karczemnego stylu komunikacji, do którego przywykła zwłaszcza część starszych podoficerów zawodowych.

Generał Marek Sokołowski to postać dobrze znana w polskiej armii. Brał udział w dwóch polskich misjach w Iraku, dwukrotnie walczył również w Afganistanie. Jest absolwentem Akademii Obrony Narodowej i kilku studiów podyplomowych z zakresu bezpieczeństwa i zarządzania. Listę uczelni, które ukończył, wieńczy dyplom Collegium Humanum. W marcu br. szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz zdradził, że poprosił generała Sokołowskiego, pełniącego wówczas obowiązki dowódcy generalnego, o wyjaśnienia w tej sprawie. Jednocześnie zapewnił, że wysoko ocenia jego zdolności dowódcze i organizacyjne.

©℗ MAREK RABIJ

ARCHIWUM PRYWATNE

KS. MIROSŁAW TYKFER *jest proboszczem parafii św. Jana Marii Vianneya w Poznaniu. Był jednym z delegatów na spotkanie synodalne proboszczów.*

TRZY PYTANIA

Synod: szkielet nabiera ciała

EDWARD AUGUSTYN: Synod czy zwykłe spotkanie proboszczów? Co to było?

KS. MIROSŁAW TYKFER: Synod ładnie brzmi. Choć formalnie było to spotkanie synodalne proboszczów. Tyle że wcale nie takie zwykłe, bo pierwsze w historii Kościoła. Nigdy wcześniej papieże nie zapraszali proboszczów reprezentujących wszystkie Kościoły lokalne świata. Zawsze przedstawicielami tych Kościołów byli biskupi, którzy przyjeżdżali na sobory lub synody. Teraz Franciszek chciał posłuchać „żołnierzy z frontu", którzy mówią językiem praktycznym – nie o ideach, ale o ludziach, relacjach, problemach. Jeśli na obradach synodu w październiku zbudowano szkielet, to na spotkaniu proboszczów zaczął on nabierać ciała.

Jak wyglądało spotkanie?

Trwało cztery dni. Uczestniczyło w nim 193 proboszczów z 99 krajów. Miało być więcej, ale niektóre konferencje episkopatów wysłały mniej delegatów, niż mogły. Z Polski było nas czterech, ale polscy księża reprezentowali też Turcję, Rosję i Azję Środkową. Zostaliśmy podzieleni na 18 grup, w których wymienialiśmy się doświadczeniami. Relacje z prac w grupach przedstawiane były na zebraniach plenarnych, tam też słuchaliśmy wystąpień ekspertów. Czwartego dnia przenieśliśmy się do Watykanu, gdzie było spotkanie z papieżem.

Co z Waszego spotkania będą mieć inni? Czy czterech proboszczów może uczynić Kościół w Polsce bardziej synodalnym?

Relacje z prac w grupach zostały przekazane do sekretariatu generalnego i będą brane pod uwagę przy opracowywaniu dokumentu roboczego drugiej sesji synodu, która odbędzie się w październiku. Oprócz tego mamy być – jak mówił papież – misjonarzami synodalności w swoich Kościołach lokalnych. Mamy opowiedzieć, czego doświadczyliśmy na spotkaniu i jak ma wyglądać lokalna synodalność. Takie spotkania mamy zaplanować wręcz formalnie – skoro episkopat nas posłał, dobrze byłoby, aby nas posłuchał. ©℗

Czytaj więcej: powszech.net/synod-proboszczow

Czekolada znów będzie rarytasem

UPRAWY I KLIMAT ▪ Kakao kosztuje na światowych giełdach trzy razy więcej niż rok temu. Już w lutym alarmowano, że jego cena pobiła rekord sprzed 50 lat, a to nie był wcale koniec wzrostów. Zamiast jednak narzekać, że teraz jest zbyt drogie, lepiej stwierdzić, że zbyt długo było zbyt tanie, a teraz może odzyskać swój status egzotycznego rarytasu.

Z powodu niekorzystnej kombinacji nadzwyczaj ulewnych deszczów, a potem suszy (co ma związek z zaburzeniem cyrkulacji mas powietrza nad Atlantykiem zwanym El Niño) znacznie spadły zbiory ziaren kakaowych w krajach zachodniej Afryki, które odpowiadają za trzy czwarte światowej podaży.

Specyfika uprawy kakao sprawia, że jest ono szczególnie podatne na kryzysy: sektor jest jednym z najmniej sprawiedliwych i zrównoważonych na świecie. Głównymi producentami są kraje rozwijające się, w których rządy całkowicie kontrolują produkcję: w większości powierzają ją drobnym rolnikom, „obsługującym" niewielką ilość drzew. Dopiero etap skupu i przetwórstwa jest skonsolidowany w rękach agend państwowych i wielkich firm. Dlatego w przeciwieństwie do większości innych produktów rolnych produkcja kakao nigdy nie przeszła industrializacji i związanych z nią inwestycji w wielkie farmy.

Ostatnia duża fala zakładania nowych plantacji drzew w Afryce Zachodniej miała miejsce na początku XXI w. Drzewa, będące już po okresie największej produktywności, są szczególnie podatne na choroby i uszkodzenia; jednocześnie rolnicy mają niewiele środków na utrzymanie lub zwiększenie wydajności oraz np. zakup pestycydów. Efekt widać było zeszłej zimy, kiedy zimowe ulewy wywołały chorobę grzybową dziesiątkującą uprawy.

Rynek nie znosi próżni i na tąpnięcie w Afryce reagują kraje Ameryki Łacińskiej, gdzie intensywnie sadzi się nowe drzewa. Nawet jeśli obecne szalone ceny nieco spadną, to dobra czekolada z powrotem stanie się na kilka lat luksusem.

©℗ PAWEŁ BRAVO

NARONG KHUEANKAEW / SHUTTERSTOCK

Specyfika uprawy kakao sprawia, że jest ono szczególnie podatne na kryzysy. Na zdjęciu: ręczny zbiór owoców kakaowca w Ameryce Południowej. 3 kwietnia 2023 r.

UNIVERSITY OF KENTUCKY / EAST NEWS

Papirusy z Herkulanum. Muzeum Oksfordu, 5 lutego 2024 r.

Ostatnie chwile Platona

ARCHEOLOGIA ▪ Nieznane dotąd fragmenty historii filozofii autorstwa Filodemosa z Gadary stwierdzają, że Platon, złożony gorączką, ocknął się, by skrytykować niewolnicę przygrywającą mu na flecie. Stwierdził, że dziewczyna nie trzyma rytmu, co składał na karb jej barbarzyńskiego pochodzenia. Docinek miał być ostatnim, na co starczyło mu sił. Zmarł wkrótce potem i miał zostać pochowany w ogrodzie Akademii Ateńskiej, w sąsiedztwie poświęconego muzom Muzejonu.

Odczytany zwój jest jednym z 1800 odnalezionych w bibliotece tzw. Willi Papirusów w Herkulanum, która mogła należeć do Lucjusza Kalpurniusza Pizona, teścia Juliusza Cezara. Gdy w 79 r. n.e. willa została pogrzebana przez erupcję Wezuwiusza, zwęglone papirusy ocalały. Jedne stały się jednak tak kruche, że rozpadały się przy najlżejszym dotyku. Inne sczerniały zupełnie, uniemożliwiając odczytanie. Od odkrycia biblioteki w 1750 r. znaczna część jej zbiorów pozostaje zagadką.

„Dzięki najbardziej zaawansowanym technikom diagnostyki obrazowej nareszcie jesteśmy w stanie odczytać i rozszyfrować nowe fragmenty tekstów, które wcześniej wydawały się niedostępne" – mówił podczas prezentacji wyników prof. Graziano Ranocchia z Uniwersytetu w Pizie.

Jego zespół wykorzystał tzw. obrazowanie hiperspektralne, polegające na fotografowaniu obiektu w pełnym zakresie podczerwieni, oraz tzw. optyczną tomografię koherentną – stosowaną w medycynie technikę pozwalającą tworzyć przekroje w wysokiej rozdzielczości. To pozwoliło zajrzeć w głąb zwojów i wykryć słabe ślady pisma odręcznego. Następnie sztuczna inteligencja pomogła w ich odcyfrowaniu i uporządkowaniu.

Zwój Filodemosa był zaledwie testem nowej technologii. Badacze chcą odczytać pozostałe zwoje z Herkulanum. Liczą, że zawierają one skarby starożytnej filozofii i literatury od dwóch tysiącleci uważane za zaginione. „To mógłby być drugi renesans" – stwierdził Kilian Fleischer, cytowany przez „Guardiana" współautor badań.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

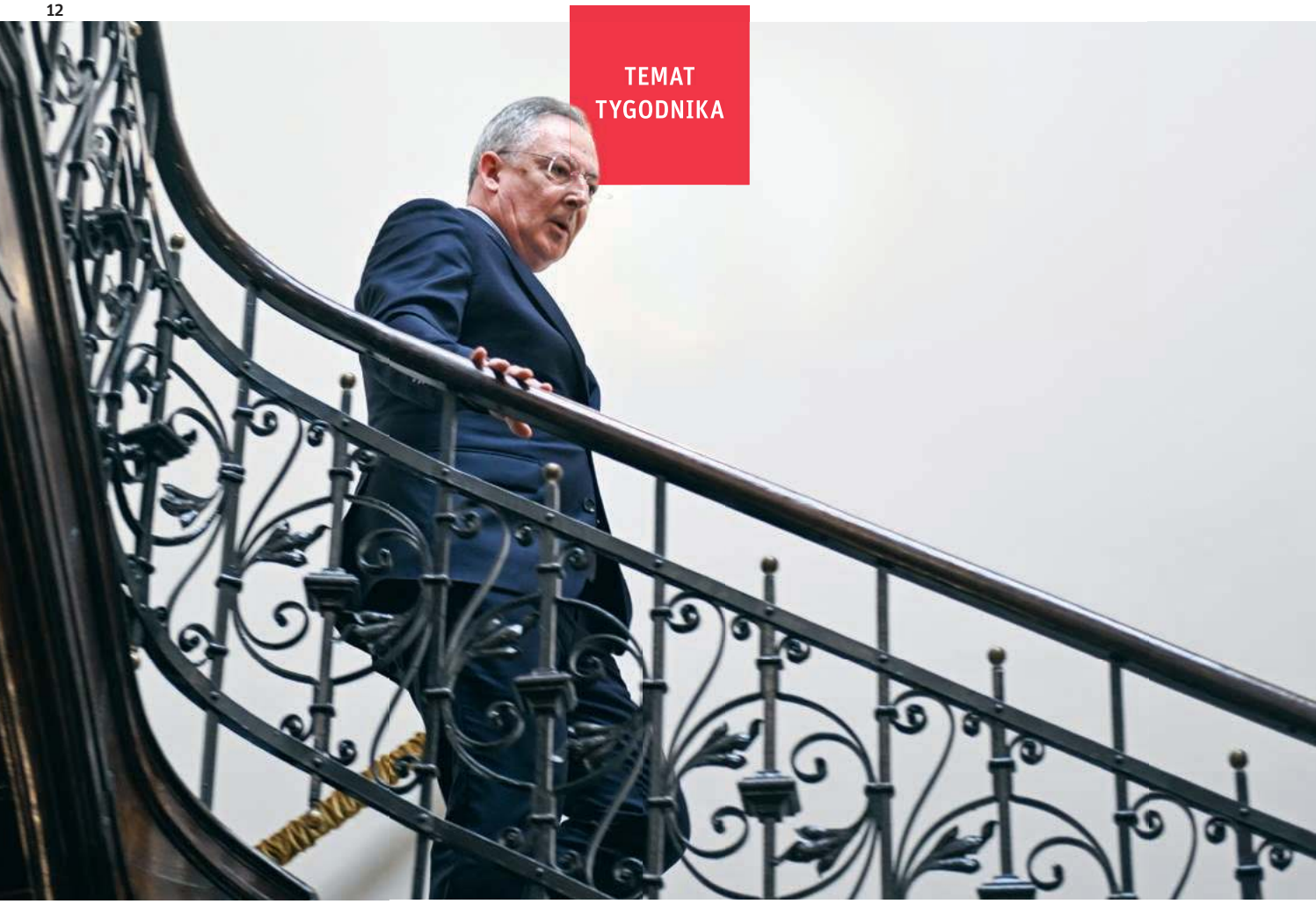

Bartłomiej Sienkiewicz. Kraków, 9 marca 2024 r.

QUO VADIS

Wydarł media publiczne z rąk PiS i złożył dymisję z funkcji ministra kultury. Teraz chce odejść na „cmentarzysko politycznych słoni", czyli do Parlamentu Europejskiego. Oto, jak wypala ludzi polska polityka.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Jak to się stało, że subtelny intelektualista i przenikliwy doradca, gdy obejmuje funkcje wykonawcze, działa niczym krewki szlachciura z powieści pradziadka? I w ogóle: co wejście w politykę robi z ludźmi pełnymi niegdyś młodzieńczego idealizmu?

– Bartłomiej Sienkiewicz to postać jak z lubianego przezeń Johna Le Carrégo. Nawet jak sięga po brudne metody, a w służbach specjalnych trudno tego uniknąć, kierują nim motywy patriotyczne – opowiada jeden z jego dawnych znajomych. Ale przypomina, że niejedna z misji opisywanych przez angielskiego prozaika i byłego szpiega kończyła się klęską.

To by się zgadzało: pierwszą rządową pracę Sienkiewicza zwieńczyła katastrofa z 2014 r., kiedy przylgnęły doń pochodzące z nagranej potajemnie rozmowy sformułowania o „państwie teoretycznym" i „kamieni kupie". Wszystko, co robił w obecnym gabinecie Tuska, miało zaprzeczyć tamtym słowom, ale mimo wykonania głównego zadania, czyli odcięcia PiS od mediów publicznych, znów pokazał, że funkcje wykonawcze są raczej nie dla niego.

Afera taśmowa mnie przeorała

Czerwiec 2014 r. W tygodniku „Wprost" ukazuje się zapis nagranej w 2013 r. w restauracji Sowa i Przyjaciele rozmowy

Marka Belki z Bartłomiejem Sienkiewiczem. Treść jest kompromitująca nie tylko na poziomie werbalnym. Skandaliczna jest ta dotycząca transakcji, którą ówczesny szef MSW proponuje prezesowi NBP – poluzowanie finansowe ze strony banku, żeby Platforma Obywatelska mogła coś dać wyborcom przed kolejną kampanią. Belka nie mówi nie, ale żąda dymisji ministra finansów Jacka Rostowskiego. Gdy taśmy są publikowane, Rostowski faktycznie już nie jest ministrem.

Ciężar polityczny samej rozmowy przykrywa niejasne okoliczności dokonania nagrania i tego, kto za nim stoi. Jednak fakt, że dał się podejść w ten sposób, ośmiesza szefa MSW i nadzorcę służb specjalnych. Tym bardziej że podlegające mu ABW wkracza do redakcji „Wprost", by na życzenie prokuratury przejąć pozostałe taśmy. Jako minister jest skończony, choć Donald Tusk opiera się żądaniom jego natychmiastowej dymisji. Dojdzie do niej dopiero we wrześniu, kiedy dotychczasowy premier otrzyma nominację na szefa Rady Europejskiej i nastąpi rekonstrukcja rządu.

Sienkiewicz nie ukrywa, że otrzymał wówczas potężny cios. „No dobrze, oddam satysfakcję tym, którzy to zrobili. Afera taśmowa mnie przeorała. Jako polityka, osobę publiczną. Także w tym sensie, że odarła mnie z prywatności, z poczucia bezpieczeństwa, z godności. Ale też sporo nauczyła. Pozwoliła popatrzeć na wiele spraw z innej perspektywy. Przetestowała granice mojej odporności" – pisał po latach w książce „Państwo teoretyczne".

– Afera taśmowa go zmiażdżyła. Upubliczniono rolę, w której prywatnie czuł się najlepiej i rzeczywiście był w niej doskonały: błyskotliwy rozmówca i pasjonat polityki oraz koneser owoców morza i dobrych alkoholi w jednym. Ale w analityczną warstwę taśm mało kto się wczytywał, zostało pławienie się we władzy i rzucanie mięsem. To musiał być dla niego szok – mówi jego dawny znajomy.

– A przecież obaj panowie, zamiast się spotykać w jakichś pakamerach, mogli się spokojnie umówić u jednego lub drugiego w gabinecie – dziwi się były współpracownik Sienkiewicza ze służb.

Znajomi opowiadają, że od tamtej pory stał się przewrażliwiony na punkcie inwigilacji. Gdy się z kimś umawiał w publicznym miejscu, najpierw robił trasę sprawdzeniową, czy nikt go nie śledzi. Przeszedł wszak szkolenie w ośrodku wywiadu w Kiejkutach.

Walec nie dyskutuje z asfaltem

Trudno się więc dziwić, że w 2023 r. to Bartłomiej Sienkiewicz dostał jedno z najtrudniejszych zadań, związanych z uderzeniem w PiS.

Po pierwsze, miał z tą partią rachunki, bo nie było wątpliwości, że partycypowała w wykreowaniu afery taśmowej. Po drugie, chciał udowodnić, że nie jest urzędnikiem nieudolnym, któremu wszystko, czego dotknie, rozsypuje się w rękach. Takim, który potrafi jedynie doradzać.

To zresztą był ważny komponent afery taśmowej. Minister Sienkiewicz nie przestał funkcjonować jako analityk-doradca. Przyznaje to w książce „Państwo teoretyczne": „Całe życie byłem analitykiem, czyli kimś, kto z tytułu mówienia prawdy, czyli tego »jak jest«, pobiera wynagrodzenie i czerpie satysfakcję zawodową. (...) To, że byłem przez lata nieformalnym doradcą Donalda Tuska opierało się na jego przekonaniu, że niezależnie jak bolesna może być prawda, nie zawaham się jej ujawnić. W finale analityk został ministrem. To, co mówiłem podczas podsłuchanej rozmowy, pomijając formę, brało się ze zwykłego nawyku nazywania rzeczy po imieniu".

Radykalizm sądów i języka, którymi są wyrażane, to znak rozpoznawczy Sienkiewicza. Jeszcze w czasach, gdy był szefem MSW, szerokim echem odbiły się jego słowa pod adresem kiboli: „Idziemy po was". Gdy sąd w końcu zarejestrował likwidatorów TVP i Polskiego Radia, skomentował to frazą „Walec nie dyskutuje z asfaltem".

– Uwielbia jazdę po bandzie. Gra *va banque*, licząc na to, że przeciwnik się ugnie – mówi jego bliski znajomy. Czy zawsze był taki? W autobiograficznej książce „Onegdaj w Krakowie", napisanej wspólnie z żoną Bereniką Kluczykowską-Sienkiewicz, przyznaje, że twardość i zdecydowanie kształtowały w nim górskie wspinaczki: „Prawdę powiedziawszy, to nie seks ani metryka urodzenia i nie narodowe powstania zrobiły ze mnie mężczyznę, ale dopiero ten sport".

Odkąd został ministrem kultury, a zwłaszcza w okresie podejmowania radykalnych decyzji w sprawie mediów publicznych, komunikował się z otoczeniem głównie za pomocą wpisów w mediach społecznościowych. Nawet jego koledzy z PO przyznawali, że z nikim nie rozmawia, nic nie konsultuje. Jedyną okazją do przedstawienia swoich racji było styczniowe głosowanie nad wotum nieufności. Z trybuny sejmowej uzasadnił swoje decyzje względami moralnymi, przypominając, że to media rządzone przez PiS przyczyniły się do śmierci Pawła Adamowicza czy syna Magdaleny Filiks. Posłowie zauważyli, że minister ma przy sobie woreczek z białym proszkiem. Zapytany o jego zawartość, odpowiedział w swoim stylu: „Żułem kości swoich wrogów".

Nauczyłem się żyć poza mgłą

Ważnym etapem w politycznej edukacji Sienkiewicza była działalność w powstałym w latach 80. pacyfistycznym i antykomunistycznym ruchu Wolność i Pokój, stworzonym głównie przez działaczy Niezależnego Związku Studentów z lat 1980-81, do których sam się zaliczał. Bywał zatrzymywany przez milicję i karany grzywną. W WiP nie odgrywał jednak większej roli – symboliczne jest to, że spóźnił się na podpisanie deklaracji założycielskiej i jego nazwisko dopisano ręcznie.

– W tamtych czasach był kompletnie zdominowany przez Rokitę. Jak Rokita chciał, by ktoś skoczył po piwo, wołał Sienkiewicza, a ten w podskokach realizował zlecenie – opowiada współpracownik z tamtych czasów. Trzeba jednak pamiętać, że wtedy Jan Rokita był nadzieją na nową jakość w polskiej polityce jako rzadki okaz państwowca z intelektualnym sznytem.

Kluczowy był jednak czas współtworzenia nowych służb specjalnych III RP. Polecony przez Rokitę, Sienkiewicz był jednym z pierwszych, którzy w 1990 r. wchodzili wraz z Krzysztofem Kozłowskim do rządzonego przez gen. Kiszczaka MSW. Miał legitymację UOP numer 3, co pokazywało jego pozycję w nowych służbach – nr 1 miał Kozłowski, a nr 2 jego zastępca i następca Andrzej Milczanowski.

Jak tam trafił? W książce napisanej z żoną przytacza anegdotę o kobiecie uznanej przez niego za czarownicę, która poradziła mu, by natychmiast uciekał z mieszkania na krakowskim Rynku, ↦

ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

↦ gdzie z okien widać było głównie smog lub mgłę. „Dwa lata później od jednego z ministrów rządu Mazowieckiego dostałem propozycję fascynującej i niebezpiecznej pracy w Warszawie. Mimo zaklęć najdroższych mi kobiet, Narzeczonej i Mamy, zdecydowałem się wyjechać. Było fascynująco, nie było niebezpiecznie (poza jednym incydentem). Powoli nauczyłem się żyć poza mgłą" – pisał.

W książce „Czterech" – w której dziennikarz Grzegorz Chlasta rozmawia właśnie z Sienkiewiczem, a także z Piotrem Niemczykiem i Wojciechem Brochwiczem (czwartym bohaterem jest zmarły w czasie jej tworzenia Konstanty Miodowicz) – wyjaśnia, że poszedł do służb po przygodę. Pojawia się jednak też poważniejszy argument, który stanie się chyba najpoważniejszą przesłanką działalności publicznej Sienkiewicza: „Kierowałem się przekonaniem, które w pewnym sensie rządziło znaczną częścią mojego dojrzałego życia, że podstawowym wyzwaniem Polaków, czyli Nemezis, jest Rosja. Uważałem, że jeśli ktoś chce zrobić coś dobrego dla Polski, powinien śledzić Nemezis, czy zbliża się, czy oddala. Prawdę mówiąc, po to poszedłem do służb, z tego też zrodził się Ośrodek Studiów Wschodnich".

W książce pojawia się również wyjaśnienie, co to za niebezpieczny incydent miał miejsce w czasie pracy Sienkiewicza w UOP. Chodziło o to, że krótko po weryfikacji byłych esbeków jeden z negatywnie zweryfikowanych wpadł z bronią do hotelu MSW, gdzie mieszkali wtedy „nowi", i zażądał od recepcjonistki numerów pokojów Brochwicza i Sienkiewicza, którzy mu „zrujnowali życie".

Jeśli straciliśmy państwo

– Sienkiewicz nie jest gliniarzem. Myślę, że właśnie dlatego zapłacił wysoką cenę za bycie szefem MSW. Glina nie dałby się podsłuchać – opowiada dziś Chlasta. – Jest intelektualistą, z którym przyjemnie się rozmawia i którego się dobrze czyta. Polecam np. jego opowieść o Janie Prosperze Witkiewiczu i przemianie tego człowieka w carskiego szpiega o życiorysie tak barwnym jak Lawrence z Arabii. Ciekawe, że sięga to historycznych, jeszcze studenckich zainteresowań Sienkiewicza, który zajął się dalszymi losami spiskowców opisanych przez Mickiewicza w „Dziadach". Witkiewicz był jednym z nich. „Niezwykła biografia młodocianego zesłańca, a później rosyjskiego oficera i tajnego agenta, dopełnia się poza narodowymi desygnatami" – napisał o nim w „Tygodniku Powszechnym".

Książki to kolejny ważny punkt jego formacji. W tekstach wspomnieniowych przyznaje, że bycie prawnukiem Henryka w szkole bywało dla niego przekleństwem. Jego stosunek do twórczości pradziadka jest ambiwalentny.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ:

Jestem dumny z tego, że jestem byłym wysokim oficerem, że tworzyłem fundamenty pod niepodległą Polskę, budując instytucje chroniące państwo.

„Sienkiewicz jako opowieść o dumie z I Rzeczypospolitej, która w gruncie rzeczy była gigantyczną katastrofą cywilizacyjną i polityczną, która nas skazała na 123 lata niewoli, Sienkiewicz rozumiany jako zakochanie się w republikanizmie szlacheckim, będącym rodzajem sznura na szyi i niewolnictwa, regresem w stosunku do tej Europy, do której chcieliśmy należeć, a już od połowy XVII wieku nie należeliśmy – tak rozumiany Sienkiewicz wywołuje mój bunt. Bo ja, proszę pana, jestem od czubka głowy do pięt stańczykowski: nie dawne mity i nie męczeństwo buduje przyszłość wolnych ludzi, tylko troska o to, co przed nosem i teraz, rodzaj codziennej zapobiegliwości. Jeżeli straciliśmy państwo, to przez własne słabości i zaniechania, a nie przez obce potęgi. One skorzystały tylko z faktu, że sami nie potrafiliśmy być silni" – opowiadał Chlaście.

Polską historię czytał inaczej na długo przed tym, jak stało się to modne. Dlatego tak ważne było dla niego ukazanie się „Fantomowego ciała króla" Jana Sowy i jej późniejszych kontynuacji spod znaku „historii ludowej". Stąd też ostatnia nominacja Adama Leszczyńskiego na stanowisko szefa Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej.

Największy wpływ na Sienkiewicza miały jednak lektury Conrada, z którym też jest zresztą spokrewniony – przez matkę, z domu Korzeniowską. Swoją pierwszą firmę doradczą nazwał Othago, co nawiązuje do nazwy statku, którym Korzeniowski dowodził jako kapitan. Nawet kiedy pisał w „Tygodniku" o książkach Le Carrégo, portretując świat, w którym „nic nie jest jednoznaczne, do końca prawdziwe, aksjologicznie słuszne, zwątpienie walczy o lepsze z obowiązkiem, a wierność sobie pasuje się ze zdradą" – w tle było przekonanie, że „miłośnicy Conrada odnajdą u Le Carrégo znajomy ton".

Dziękuję za przypomnienie o tamtych czasach

Jak twierdzi jeden ze znajomych, Sienkiewicz ma jednak słabość do patriotycznej ornamentyki i symboli – tak można tłumaczyć np. jego wsparcie dla idei odbudowy Pałacu Saskiego. „Jestem dumny z tego, że jestem byłym wysokim oficerem, że tworzyłem fundamenty pod niepodległą Polskę, budując instytucje chroniące państwo – perorował nie bez patosu w Sejmie, reagując na to, że pisowscy propagandyści często mówią o nim per „podpułkownik". – I powiem wam, panie i panowie, tak: dziękuję wam za przypomnienie mi o tamtych czasach, tamtych zasadach – gdzie rygor służby, obowiązku wobec ojczyzny był najwyższym prawem".

W UOP współtworzył struktury tej instytucji, m.in. Biuro Analiz i Informacji, które miało zajmować się białym wywiadem. Sam stanął na czele innej komórki – Biura Koordynacji i Prognoz. Tu jednak dała o sobie znać słabość Sienkiewicza w „urzędniczeniu".

– Biuro w ogóle nie rozwinęło skrzydeł, bo choć powołane było do koordynacji, szefowie innych służb woleli uderzać od razu do zwierzchników Bartka. Poza tym po raz pierwszy wykazał się fatalną ręką do ludzi. Zatrudnił jakichś dziwnych typów, w tym regularnego wariata, którego potem nie mogliśmy się pozbyć – opowiada kolega ze służb.

Jeszcze pracując w UOP (do 2002 r., czyli do końca formalnego istnienia Urzędu, był doradcą Zarządu Wywiadu) współtworzył Ośrodek Studiów Wschodnich i został jego wicedyrektorem. Głównym celem OSW było zdobywanie wiedzy i przygotowywanie analiz na temat krajów sąsiadujących z Polską na wschodzie. Zwłaszcza o „Nemezis", czyli Rosji.

– Wyjątkowo inteligentny, potrafił skomplikowany problem opisać w dwóch

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bartłomiej Sienkiewicz i Radosław Sikorski w drodze na pierwsze posiedzenie rządu Donalda Tuska. Warszawa, 13 grudnia 2023 r.

zdaniach. W Ośrodku dużo pracował, sprawdzał pisane analizy, można się było od niego dużo nauczyć – mówi polski dyplomata, przez jakiś czas związany z OSW.

– Ja działalność OSW kojarzę jednak głównie z mocno zakrapianych imprez u świętej pamięci Marka Karpia – opowiada inny ze współpracowników. Karp, założyciel i dyrektor OSW, zmarł w 2004 r. w wyniku tajemniczego wypadku spowodowanego przez białoruską ciężarówkę.

Po wyborach w 1997 r. Sienkiewicz został jednym z doradców marszałka Sejmu Macieja Płażyńskiego. To właśnie Płażyński był w 2001 r. jednym z trzech współzałożycieli PO, udziałem przy tworzeniu której Sienkiewicz się do dziś szczyci. W Platformie długo nie wychodził jednak poza rolę organizatora zaplecza eksperckiego. To dzięki niemu w orbitę tej partii trafili tacy ludzie jak również związany z OSW Jacek Cichocki, a ostatnio Andrzej Domański.

Złożona sieć kontaktów

Ważnym segmentem jego działalności po odejściu ze służb było doradztwo gospodarcze. Znajomość spraw wschodnich wykorzystywał jako ekspert spółek Skarbu Państwa. Nie wszystkie jego przewidywania były trafione. W 2011 r. prognozował np., że w ciągu dwóch lat nastąpi całkowity krach finansowy.

Niedawno minister aktywów państwowych Borys Budka ujawnił, że Orlen pod kierownictwem Daniela Obajtka zlecił inwigilację Sienkiewicza. Dokument powstały w jej trakcie nazywa go „szarą eminencją", opierającą się na „złożonej sieci kontaktów personalnych", prowadzącą „arystokratyczny styl życia (drogie restauracje, drogie buty i garnitury, markowe alkohole)". „Nawiązana przez Sienkiewicza w 2003 r. współpraca z ORLENEM przyniosła mu w latach 2004-2013 blisko 7,5 mln zł dochodu, a współpraca założonej przez niego spółki Sienkiewicz i Wspólnicy z innymi spółkami skarbu państwa przyniosła w latach 2009-2012 ponad 2,1 mln zł zysku netto" – wskazuje ujawniony dokument.

To niejedyny przypadek czarnego PR wobec działalności eksperckiej Sienkiewicza. Mateusz Bajek, w przeszłości związany z jego firmami, opowiada np. o ofensywie propagandy rosyjskiej, która w latach 2014-15, po zajęciu Krymu i wybuchu wojny w Donbasie zaczęła mówić, że spółki Sienkiewicza stały za wysyłaniem do Donbasu najemników, a nawet haubic i transporterów opancerzonych.

– Wymieniano akcje zbrojne, w których ci nasi najemnicy mieli ginąć – mówi. – Ataki trwały około dwóch lat, a telewizja rosyjska na początku 2015 r. pojawiła się nawet w siedzibie firmy i pytała, czy wysyłamy nazistów do Donbasu, by mordowali rosyjskie dzieci.

Część znajomych nie ma o analizach Sienkiewicza wysokiego mniemania, ale od jego byłego współpracownika z firmy doradczej słyszę, że dzięki jednej z nich instytucjom państwowym udało się uniknąć wydatków rzędu kilkudziesięciu milionów złotych.

Biedny, pogubiony, nierozpoznający siebie naród

Jego diagnostyczne wpadki łatwo dostrzec, bo przez lata publikował swoje teksty na łamach „TP". W 2000 r. np. nie widział niczego złego w lokowaniu Ukrainy w rosyjskiej strefie wpływów.

Jednak jego poglądy najlepiej oddaje tytuł tekstu publikowanego w „TP" w 2012 r., „Ambaras z polskością", nominowany do nagrody Grand Press. W książce „Czterech" ubolewał, że Polacy dadzą się złapać na każde kłamstwo polityczne, bo „biednemu, pogubionemu, nierozpoznającemu siebie narodowi na peryferiach Europy, który przez ostatnie sto lat był przedmiotem najdzikszych eksperymentów, można sprzedać wszystko".

Uważał zresztą, że „sprzedać wszystko" można także ludziom stojącym po jego stronie politycznego sporu. Dlatego pewnie były wiceminister kultury i poseł PiS Jarosław Sellin zapamiętał inny jego tekst: – W 2010 r., po katastrofie smoleńskiej określił skandaliczne zachowania wobec ludzi modlących się pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu, takie jak sikanie do zniczy czy ustawianie krzyża z puszek po piwie Lech, jako „wybryki wielkomiejskiej tłuszczy". Daleką drogę przeszedł od tego czasu.

Jeszcze przed ich upadkiem

Po latach doradzania, w 2013 r. Sienkiewicz przeszedł na stronę aktywnej polityki. Dlaczego się na to zdecydował, sugeruje w książce „Państwo teoretyczne": „Polska to cmentarzysko strategii. Żadna nie przetrwała upadku politycznego swoich twórców, a niekiedy umierała cichutko jeszcze przed ich upadkiem". Decyzja nie była jednak dobra.

– On nie potrafi odróżnić spraw ważnych od mniej ważnych – tak wieloletni współpracownik Sienkiewicza tłumaczy, dlaczego ten dobry doradca i świetny analityk kiepsko radzi sobie jako urzędnik.

Chociaż do wybuchu afery taśmowej jego dorobek jako ministra nie był zły. Dawny znajomy Sienkiewicza ze służb zwraca np. uwagę, że bardzo polepszył koordynację działań związanych z rosnącą luką VAT. Pod jego naciskiem ↦

↦ zmieniono głównego inspektora informacji finansowej.

Po aferze taśmowej znalazł się na marginesie, miał nawet kłopoty finansowe. Rękę wyciągnął do niego w 2019 r. ówczesny lider PO Grzegorz Schetyna, proponując kandydowanie do Sejmu z trudnego dla partii regionu świętokrzyskiego. W wyborach odniósł sukces, ale później działał na obrzeżach klubu parlamentarnego: – Nie był lubiany, zachowywał się jak zblazowany bufon, traktujący innych z góry – wspomina jego kolega z ław poselskich.

Usiłował jednak zaistnieć, czego przejawem było kandydowanie na szefa PO w styczniu 2020 r. Deklarował, że choć należy do niej od niedawna, to partia jest jego „jedyną miłością polityczną od 18 lat". W swoim programie akcentował konieczność powrotu do liberalizmu. Krytykował też porozumienie z lewicą w wyborach do PE w 2019 r. Dostał najmniejsze poparcie – 2,5 proc. Do głównego nurtu wrócił z powrotem Donalda Tuska do PO, w połowie 2021 r. Stał się jednym z najbliższych współpracowników starego/nowego lidera.

Czy Tusk ma do niego słabość? Znajomi Sienkiewicza sugerują, że premier odnalazł w nim bratnią duszę, docenił intelektualny sznyt dyskusji przy cygarach i alkoholu. Potrzebował takich partnerów również w przeszłości, by później bez sentymentów się ich pozbywać.

Mocny zawodnik czyści

O tym, że w razie wyborczego zwycięstwa w 2023 r. Sienkiewicz weźmie na siebie misję czyszczenia mediów publicznych, mówiło się od dawna. Tusk wiedział, że jego podwładny będzie działał zdecydowanie. Po aferze taśmowej miał osobiste powody, żeby nie zrobić „ani kroku wstecz".

Z tą nominacją wiąże się zabawne nieporozumienie: Sienkiewicz był przymierzany na stanowisko ministra aktywów państwowych, bo kierownictwo PO było przekonane, że to MAP nadzoruje spółki medialne. Dopiero jak się zorientowano, że to zadanie resortu kultury, zmieniono mu przydział.

Trzeba przyznać, że się wywiązał: błyskawicznie dokonał zmian we władzach TVP i Polskiego Radia. Z początku jego działania nie miały podstaw prawnych, ale weto prezydenta umożliwiło mu rozpoczęcie procesu likwidacji tych instytucji. Mimo że i tu pojawiły się zarzuty łamania prawa, sądy finalnie zarejestrowały wyznaczonych przez niego likwidatorów.

Jarosław Sellin zwraca uwagę, że w ciągu czterech miesięcy urzędowania Sienkiewicza z jego resortu nie wyszła żadna konstruktywna propozycja, nie powołano żadnej instytucji kultury, nie złożono żadnego projektu ustawy: – Tylko czystki i rozliczenia.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ:

Uniknięcie Wielkiej Pułapki to nie wejście w buty PiS i zdemolowanie państwa pod hasłem rozliczenia poprzedników, lecz ucieczka do przodu.

Inaczej ocenia Sienkiewicza jego zastępczyni, Joanna Scheuring-Wielgus z lewicy. Nazywa go „mocnym zawodnikiem o literackim umyśle" i zwraca uwagę, że jedną z pierwszych decyzji Sienkiewicza było obniżenie poziomu decyzyjności. Z naszych informacji wynika, że resortem steruje dawny działacz małopolskiej PO i b. dyrektor Teatru Bagatela Andrzej Wyrobiec, który może zostać jego następcą. Duże wpływy mają też dyrektorzy departamentów – Hanna Wróblewska i Piotr Rypson. Role są podzielone: odwołany z Muzeum Narodowego za czasów Piotra Glińskiego, Rypson pała żądzą zemsty, zaś Wróblewska, dawna dyrektorka Zachęty, która w czasie rządów PiS była wicedyrektorką Muzeum Getta Warszawskiego, działa na te tendencje tonizująco.

Wielka Pułapka

Po czterech miesiącach pracy Sienkiewicz zwołał konferencję prasową, podczas której ogłosił odwołanie mianowanych w czasach PiS szefów czterech placówek kulturalnych, w tym PISF. Decyzje tłumaczył zarzutami formalnymi wobec dotychczasowych dyrektorów i koniecznością odpolityczniania instytucji kultury.

Jednak jego poprzednik, Piotr Gliński, przekonuje, że to nie odpolityczniania, ale upolityczniania „*à rebours*", w dodatku na granicy prawa. Np. sztuczne łączenie niepasujących instytucji po to tylko, żeby się pozbyć ich szefów, jak przy połączeniu Instytutu Adama Mickiewicza z Biurem Niepodległa.

Co ciekawe, Sienkiewicz był wrogiem upartyjniania państwa: „Kiedyś PiS przegra wybory, zostawiając następcom Wielką Pułapkę w postaci państwa wypranego z autonomiczności wobec tej partii. Zamiast rozpocząć to samo, co PiS – wszechogarniającą czystkę, której nieuchronnym efektem będzie dalsze osłabianie państwa – można stworzyć zupełnie nową strukturę i pokazać nowe podejście do relacji państwo-obywatel. Tam, gdzie złamano prawo, powinny być wyciągnięte konsekwencje – pisał w „Państwie teoretycznym". – Ale uniknięcie Wielkiej Pułapki to nie wejście w buty PiS i analogiczne zdemolowanie państwa pod hasłem rozliczenia poprzedników, lecz ucieczka do przodu, tworzenie nowej rzeczywistości. To przyszłość jest najcenniejszą walutą polityki, a nie przeszłość".

Przyszłość jego samego nie leży już jednak w resorcie kultury: podał się do dymisji i ogłosił zamiar kandydowania do Parlamentu Europejskiego. Wiele wskazuje na to, że taki był plan od początku – miał wykonać czarną robotę i wyjechać do Strasburga. Tyle że, jak przekonują niektórzy, wyraźnie polubił, może nie tyle pracę w resorcie, co udział w premierach i bywanie na salonach. Stąd w marcu sugerował, że traktuje ewentualny start jako złożenie broni – w swoim stylu nazwał Parlament Europejski „cmentarzyskiem politycznych słoni". Czy liczył, że jednak zostanie, tyle że Tusk miał w tej sprawie inne zdanie?

– Nie wierzę. Bartek od początku chciał kandydować do PE. On jest patentowanym leniem, a tam może nic nie robić, sączyć koniaczek i patrzeć, jak duża kaska sama spływa – mówi jego wieloletni współpracownik. Choć może nie o lenistwo chodzi, a wypalenie długą walką o odzyskanie twarzy.

Dla porządku dodajmy, że są i tacy, którzy widzą inny scenariusz. – Jestem przekonana, że będzie w przyszłości siedział – mówi Joanna Lichocka z PiS. Jeśli Sienkiewicza uważa się bowiem za największego wroga PiS, to nie tylko ze względu na jego osobistą determinację, ale także przekonanie władz opozycyjnej partii. Z prezesem Kaczyńskim na czele, który o byłych agentach wie jedno. © PIOTR ŚMIŁOWICZ

Odróżnij prawdę od fałszu

Działania w celu ochrony kampanii wyborczej przed mylącymi treściami AI

Facebook tworzy zaawansowane narzędzia do wykrywania treści tworzonych przez AI, a także współpracuje z innymi liderami w branży, by przeciwdziałać rozpowszechnianiu dezinformujących materiałów tego typu.

Więcej informacji na stronie fb.me/elections

REKLAMA

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Obmowa*

Jak opiewa midrasz do Księgi Kapłańskiej, rzekł raz rabin Szymon syn Gamliela do swego sługi Tawiego: „Idź na targ i kup kawałek dobrego mięsa". Tawi poszedł i wrócił z ozorkiem. Na drugi dzień rzekł mu: „Idź na targ i kup kawałek złego mięsa". Tawi znów poszedł i wrócił z ozorkiem. Zapytał go rabin: „Co to ma znaczyć? Za pierwszym razem powiedziałem ci »dobre mięso« i kupiłeś mi ozorek, za drugim – »złe« i znów ozorek?". Wyjaśnił mu Tawi: „Z niego [języka] pochodzi i dobro, i zło. Kiedy jest dobry, nie masz odeń nic lepszego, a kiedy zły – nie masz odeń nic gorszego".

Tawi – kananejski sługa przewodniczącego Najwyższego Sądu Rabinackiego – odznaczał się niezwykłą mądrością i pobożnością, został też kilkakrotnie wspomniany w Talmudzie. Wedle jego słów, swoją mową możemy zrobić zarówno wiele dobrego, jak i wyrządzić wielkie zło. Tradycja żydowska łączy biblijną chorobę *caraat*, dość powszechnie tłumaczoną jako „trąd", właśnie z natychmiastową karą za tzw. zły język (hebr. *laszon ha-ra*, czyli obmowa, plotka, zniesławienie, dosł. „zły język"). Chorego na ów „trąd" Biblia nazywa *mecora* (uwypuklając hebrajskie spółgłoski: MeCoRA). Za pomocą gry słów w Talmudzie mędrzec Resz Lakisz mówi, że jest on MoCi [szem] RA, czyli oszczercą – „tym, który puszcza w obieg złe [imię]" bliźniego swego.

„Oto nauka [hebr. Tora] o trędowatym w dzień oczyszczenia jego..." (Kpł 14, 2; Cylkow). We wspomnianym midraszu – czy raczej zbiorze midraszy – rabin Jehoszua syn Lewiego zauważa, że w odniesieniu do mecory – „trędowatego" pięć razy jest użyte słowo „Tora". Można sprawdzić: Kpł 13, 59; 14, 2; 14, 32; 14, 54 i 14, 57. Ma to nas pouczyć, że kto mówi *laszon ha-ra*, uchybia pięciu księgom Tory. Rzeczywiście, „zły język" pojawia się w każdej z nich. W Kapłańskiej 19,16: „Nie chodź jako oszczerca w narodzie twoim". W 12. rozdziale Księgi Liczb Miriam choruje na *caraat*, jest to m.in. przypomniane w Pwt 24, 8-9. W Księdze Wyjścia ręka Mojżesza pokrywa się „trądem" (zob. 4, 6). W Księdze Rodzaju bez midraszu ani rusz: wąż, namawiając Ewę, by zjadła zakazany owoc, twierdzi, że Najwyższy nie lubi konkurencji (zob. 3, 5).

Rabin Jochanan mówi (w Talmudzie) w imieniu rabina Josiego syna Zimry: co oznacza „Cóż ci da, i co przysporzy ci, języku podstępny?" (Ps 120, 3). Święty – Błogosławiony On – rzekł do języka: „Wszystkie inne kończyny człowieka są ustawione pionowo, lecz ty leżysz [poziomo]. Wszystkie inne członki ludzkie są zewnętrzne, ty zaś jesteś wewnątrz. Ponadto otoczyłem cię dwoma murami: jednym z kości [zębami], a drugim z ciała [ustami]. Co winno zostać ci dane i co jeszcze dla ciebie uczynione, byś nie mówił w sposób zwodniczy, języku?". ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Bóg na ławce w parku*

Wiadomo, Ziemia nie jest płaskim plackiem i nie przykrywa jej siedem sklepień, ponad którymi mieszkają bogowie, a mimo to wielu szukających Boga, również chrześcijan, wciąż próbuje odnaleźć Go poza chmurami, skąd trzeba ich przywoływać. Na przykład odmawiając „Ojcze nasz", ten i ów zamyka oczy, zadziera głowę ku niebu. Czyżby nie słyszał, że mówi do Ojca naszego, a nie tylko swojego?

Widocznie taki daleki Bóg jest Bogiem bardzo wygodnym. Na co dzień nie musimy się Nim zajmować. Wystarczy, gdy ma się niecierpiącą zwłoki sprawę, ofiarować Bogu eucharystyczną ofiarę i On powinien się tą sprawą zająć. Wciąż też prosimy Ducha Świętego, żeby przyszedł, zstąpił, jakbyśmy nie wiedzieli, że jest z nami od zawsze: „A ziemia była bezładną pustką. Ciemność zalegała nad bezmiarem wód, a Duch Boży unosił się nad wodami". W Dziejach Apostolskich zaś czytamy: „Galilejczycy, dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo? Jezus został wzięty spomiędzy was do nieba, ale przyjdzie tak samo, jak Go widzieliście idącego do nieba".

O to, jakimi drogami Bóg chodzi, nie wypada nawet pytać. Syn Boży Jezus nie spadł z nieba. Przyszedł, wyłonił się z groty, z łona ziemi i z łona kobiety, czyli z wszechświata. Dzisiaj też przychodzi stamtąd, a nie spoza siedmiu rzek i gór. Przecież w widzialnym dane jest nam niewidzialne. Tymczasem daliśmy sobie wmówić i wmawiamy innym, że w widzialnym i mierzalnym świecie nie ma miejsca dla żadnych bogów, mimo że już nie tylko teologia, filozofia i sztuka, ale właśnie nauka zaczyna coraz mocniej tę racjonalistyczną pewność podważać.

Eksmitując niewygodnego nam Boga poza granice tak zwanej doczesności, zasklepiliśmy przestrzeń życia i dusimy się w jej wnętrzu niby w bunkrze, do którego odcięto dopływ powietrza. I choć się dusimy, nawet przed sobą nie chcemy przyznać, że taki los sami sobie zgotowaliśmy. Ledwie dysząc, nadal kurczowo trzymamy siebie i innych w tej wymyślonej złotej klatce, *de facto* nieistniejącej. A trzeba niewiele, tylko jednego. Otwartych oczu, żeby zobaczyć, że Bóg jest „wszystkim we wszystkich".

Tadeusz Różewicz mówi: „Widziałem Go // spał na ławce (...) płaszcz na nim był purpurowy / podobny do starej wycieraczki // na głowie miał czapkę uszatkę / na dłoniach fioletowe rękawiczki (...) spał spokojnie jak dziecko // poczułem w sercu swoim / (nie pomyślałem lecz poczułem) / że to jest Namiestnik / Jezusa na ziemi (...) pochyliłem się nad nim / i poczułem zepsuty oddech / z jamy / ustnej // a jednak coś mi mówiło / że to jest Syn Człowieczy // otworzył oczy / i spojrzał na mnie / zrozumiałem że wie wszystko / odchodziłem pomieszany / oddalałem się / uciekałem // w domu umyłem ręce". ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Połowiczny chrześcijanin

Dwukrotnie, i to w stosunkowo nieodległym czasie, Liturgia Mszalna ogłosiła nam ostatnio pozornie proste i wydawałoby się wyłącznie informacyjne zdanie z Dziejów Apostolskich dotyczące nawróconego Szawła: „Dzięki temu [tzn. wstawiennictwu Barnaby] przebywał z nimi [tzn. z apostołami] w Jerozolimie" (Dz 9, 28). Sięgnąłem jednak wczoraj do łacińskiej wersji tego wersetu (Wulgaty), a potem – już konsekwentnie, pod wpływem tego, co w niej wyczytałem – do tekstu greckiego, i doznałem zdumienia, a nawet zachwytu.

Św. Hieronim tłumaczy bowiem nasz werset następująco: „I był z nimi wchodząc i wychodząc ku Jerozolimie" [„et erat cum illis intrans et exiens in Ierusalem"]. Jest tu wierny greckiemu oryginałowi, gdzie pojawiają się słowa *Eisporeuomens* i *Ekporeuomenos*, to znaczy „Wchodzący" i „Wychodzący": Szaweł (przyszły św. Paweł) był z nimi – z apostołami – jako „wchodzący" i „wychodzący" ku Jeruzalem.

Był „wchodząc" – po co? Aby słuchać; aby przyjąć Słowo, Łaskę; doświadczyć wspólnoty Kościoła; odkryć (odkrywać ponownie i nieustannie) to, co istotne.

Był „wychodząc ku Jeruzalem" – po co? Aby się dzielić z innymi tym, co otrzymał wewnątrz.

Ten rytmiczny proces „wchodzenia" i „wychodzenia" jest prawdziwym rytmem życia chrześcijanina, który np. każdej niedzieli „wchodzi" na Eucharystię po to, by przeżyć (przeżyć ponownie) najważniejsze w swoim życiu spotkanie, ale również po to, by usłyszeć na koniec: „idźcie!". To „idźcie!" nie znaczy przecież „idźcie już sobie..." ani tym bardziej „idźcie na obiad...". Znaczy raczej: „Idźcie do tych, których tu nie ma! Którzy nie słyszeli dzisiejszego Słowa; którzy nie spożyli dzisiaj Ciała i Krwi Boga; którzy nie doznali »radości Ewangelii«".

Logikę wpisaną w ten proces: „był wchodząc i wychodząc", Paweł w swoich listach oddaje zwrotem: „przyjąłem... – przekazuję". Odwołuje się do tych pojęć zwłaszcza wtedy, gdy ogłasza prawdy o największym znaczeniu, jak męka i zmartwychwstanie Chrystusa czy ustanowienie Eucharystii.

Papież Franciszek oddaje tę dyscyplinę wiary zwrotem „uczeń–misjonarz". Kto to jest chrześcijanin? Odpowiedź brzmi: uczeń–misjonarz, pisane (gdyby się tylko dało...) bez rozdzielającej te dwa słowa pauzy. Chrześcijanin, który jest wychodzącym ku światu uczniem i misjonarzem ciągle wchodzącym do wspólnoty Kościoła po pouczenie. Misjonarz, który porzucił uczniostwo, nie ma już nic do powiedzenia! Uczeń, który nie czuje wewnętrznego przynaglenia, by dzielić się odkrytą prawdą – jeszcze jej nie poznał, a na pewno nie pokochał.

Uczeń i misjonarz są – to znów papież Franciszek – jak dwa profile jednej twarzy! Kto zadowala się jedynie byciem jednym albo drugim, ma wyłącznie – ośmielę się to powiedzieć z całą świadomością – pół „gęby".

Szaweł był w Kościele „wchodząc" i „wychodząc". Nie można w nim być inaczej. ©

Nieustannie uderzaj w obłok niewiedzy między tobą a Bogiem ostrą włócznią tęsknoty i miłości.

OBŁOK NIEWIEDZY

Niech więc we mnie zatopi się twój umysł...

BHAGAWADGITA

CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 V)

Niedziela Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Ef 4, 1-13; Mk 16, 15-20;
Poniedziałek: Dz 19, 1-8; Ps 68; J 16, 29-33;
Wtorek: Dz 1, 15-17. 20-26; Ps 113; J 15, 9-17;
Środa: Dz 20, 28-38; Ps 68; J 17, 11b-19;
Czwartek: Ap 12, 10-12a lub 1 Kor 1, 10-13. 17-18; Ps 34; J 17, 20-26;
Piątek: Dz 25, 13-21; Ps 103; J 21, 15-19;
Sobota: Dz 28, 16-20. 30-31; Ps 11; J 21, 20-25;
Niedziela Zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11; Ps 104; Ga 5, 16-25; J 15, 26-27; 16, 12-15.

Wybrał PIOTR SIKORA

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

KRAJ

TY DEWELOPERZE!

W społecznym odbiorze są źródłem większości chorób toczących przestrzeń polskich miast i cały rynek mieszkaniowy. Czy zasłużyli na taką ocenę, czy może są celem zastępczym?

MAREK RABIJ

Druga tura kampanii w Krakowie upłynęła obu kandydatom do urzędu prezydenta na wymianie tej samej uprzejmości. Ludzie Łukasza Gibały, startującego z ramienia własnego komitetu, obwiesili miasto plakatami, na których sugerowali powiązania Aleksandra Miszalskiego z austriacką firmą budowlaną Strabag, którą przedstawili jako dewelopera. Druga strona zagrzewała lokalne media do zagłębienia się w meandry deweloperskiej działalności ojca i brata Łukasza Gibały. Na tyle skutecznie, że ten ostatni musiał w wywiadach dystansować się od biznesowych zamierzeń taty i przypominać, że zdarzało mu się apelować do brata o zmiany w planach inwestycyjnych.

Wygrał Miszalski. Sądząc po temperaturze nastrojów, największym przegranym nie jest jednak Gibała, lecz figura dewelopera. Profesji, która stała się w społecznym odbiorze ucieleśnieniem tego,

Osiedle mieszkaniowe Suchanino w dzielnicy Ujeścisko w Gdańsku. Marzec 2023 r.

co w ostatnich 30 latach nie wyszło Polsce metodami wolnorynkowymi.

Patozakupy

Po wpisaniu do Google Trends hasła „patodeweloperka" wyskakuje wykres, który w kwietniu wygląda niemal jak prosta linia. Niemal – bo w weekend z pierwszą turą wyborów widać wystrzał zainteresowania, utrzymujący się aż do drugiej tury – kiedy to zainteresowanie rośnie jeszcze bardziej. O „patodeweloperach" regularnie wspominali w tej kampanii kandydaci praktycznie w każdym większym mieście, często dodając do tego takie określenia, jak „ogromny problem" czy „plaga". Termin pojawia się już nawet w opracowaniach rządowych. „Stop patodeweloperce" – pod takim hasłem resort rozwoju i technologii przedstawił niedawno pakiet zmian w prawie budowlanym, które miały poskutkować m.in. zwiększeniem odległości między nowo wznoszonymi budynkami mieszkalnymi. Z tematem zaznajomiła się także Temida, bo pod koniec ub. roku w warszawskim sądzie zapadł wyrok skazujący, na razie nieprawomocnie, jednego ze stołecznych aktywistów za określenie działań firmy Dom Development „patodeweloperką". W ocenie sędziów godziło to w renomę powoda.

Na linii klienci–deweloperzy istotnie nie jest dziś najlepiej, ale to efekt uboczny hossy, która wywindowała ceny mieszkań do poziomu niedostępnego dla wielu Polaków. Winę opinia publiczna zrzuciła głównie na deweloperów, choć więcej szkód wywołała tu polityka antyinflacyjna NBP, który trzymał zbyt długo stopy procentowe w okolicach zera, zachęcając tym obywateli do hazardu z kredytami hipotecznymi. Potem, gdy inflację trzeba było już zdławić za wszelką cenę, do gry weszło państwo z programem Bezpieczny Kredyt.

Efekty tak długotrwałego stymulowania podaży na mieszkania przy wciąż nienadążającym za nią popycie nie mogły być inne – ceny nieruchomości w Polsce poszybowały w górę. Według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego przeciętne mieszkanie tylko w ub. roku podrożało w kraju o 14 proc. W Krakowie wzrosty sięgnęły aż 27 proc. W Warszawie – 21 proc. Najwolniej drożały lokale mieszkalne w Bydgoszczy, ale nawet tam trudno było w ub. roku znaleźć oferty poniżej 9,3 tys. zł za metr kwadratowy.

Cenowa gorączka w największych miastach trwa. W stolicy stawka, po której sprzedający wystawiają lokal na sprzedaż, przekroczyła właśnie 19 tys. zł za metr (czyli średnie ceny z Madrytu) i wciąż rośnie. Kraków dawno przebił 15 tys. za metr. Do końca roku – jak przewidują analitycy PKO BP – ceny transakcyjne nieruchomości w największych polskich miastach wzrosną o kolejne 10 proc. Wywinduje je rosnące nadal zapotrzebowanie, stymulowane nową odsłoną rządowego programu tanich kredytów na pierwszy własny kąt, postępujący wzrost wynagrodzeń, ale także migracje wewnętrzne. Jak podał niedawno GUS, tylko w pięciu województwach napływ ludności w 2022 r. był większy od jej odpływu: mowa o mazowieckim, pomorskim, małopolskim, dolnośląskim i wielkopolskim. A raczej o Warszawie, Trójmieście, Krakowie, Wrocławiu i Poznaniu, bo to te metropolie wraz z miejscowościami satelickimi najsilniej dziś przyciągają.

Czy deweloperzy korzystają z tej hossy? Naturalnie. Czy odpowiadają też za drożyznę?

Ile zarabia deweloper

Profity z budowy i sprzedaży mieszkań zdążyły obrosnąć miejskimi legendami. Polski Związek Firm Deweloperskich poczuł się niedawno zobligowany do skomentowania informacji z jednego raportu giełdowego, w którym podano, że tzw. marża brutto deweloperów notowanych na warszawskim parkiecie po trzech kwartałach 2023 roku wyniosła średnio 31,6 proc. Branżowi lobbyści pospieszyli z wyjaśnieniami, że od podanej w raporcie wartości deweloper musi odliczyć koszty sprzedaży, zarządzania, odsetki od kapitału pożyczonego na sfinansowanie budowy, a na koniec zapłacić podatek. Czysta marża dewelopera ze sprzedaży produktu, którego wytworzenie, od pierwszego szkicu do końca budowy, trwa około pięciu lat, to 13-15 proc.

Nawet jeśli podane wartości są dalekie od rzeczywistości (trudno oczekiwać, by firmy deweloperskie zarabiały na budowie mniej, niż kosztuje kredyt, z którego ją finansują), trafnie oddają warunki, w jakich przyszło ostatnio działać branży. Doświadczeni pracownicy skutecznie negocjują podwyżki – lub schodzą z placu budowy. W górę idą także ceny gruntów budowlanych i choć sytuację nieco ratują zasoby działek, które deweloperzy uciułali w poprzednich latach, drożyzna nie pozwala tych zasobów szybko uzupełnić. Szczęśliwie dla deweloperów ostatnio hamować zaczęła dynamika zarobków. Stabilizują się także ceny materiałów budowlanych.

Czy to oznacza, że to samo spotka ceny mieszkań? Niekoniecznie. Kolejna odsłona rządowego programu wsparcia przy zakupie pierwszego mieszkania sprawi bowiem, że nabywców znów będzie o wiele więcej od sprzedających. W programie zabrakło prostego mechanizmu ceny maksymalnej, do której przysługiwałaby pomoc ze strony państwa, ↦

↦ a który mógłby podziałać trzeźwiąco na rozgrzany rynek mieszkaniowy. Rządzący ewidentnie uznali jednak, że taka interwencja w wolny rynek to już za wiele.

Nie pierwszy raz.

Warszawa kontra Wałbrzych

Postać dewelopera od lat symbolizuje w Polsce umiejętność lawirowania pośród białych plam planów zagospodarowania przestrzennego i luk w przepisach. Gra się tak, jak pozwala przeciwnik, a na polskim rynku mieszkaniowym nikt długo nie śmiał stawiać budującym wymagań. Niewidzialna ręka rynku miała w końcu zapewnić Polakom to, z czym przez 45 lat nie była w stanie dać sobie rady gospodarka centralnie sterowana. Na tzw. ustawę deweloperską, porządkującą warunki zakupu lokali na korzyść kupujących, klienci musieli czekać do 2011 r. Dopiero od ośmiu lat nabywcy mieszkań mogą po tzw. wydzieleniu ich nieruchomości wpisać się do księgi wieczystej budynku obok banków, które udzieliły kredytu deweloperowi oraz im. Dzięki tej drobnej z pozoru zmianie ewentualne bankructwo dewelopera nie zostawia klienta na lodzie. Na branżowy fundusz gwarancyjny, który zabezpieczy pieniądze kupujących na wypadek bankructwa firmy, Polacy musieli czekać aż do roku 2022 r.

Co zyskaliśmy w zamian? Jeszcze w 2002 r. oddano niespełna 100 tys. domów i mieszkań. W 2009 r. – już 160 tys., z czego połowę zbudowali właśnie deweloperzy. W zeszłym roku, jak podaje wstępnie GUS, Polacy odebrali klucze do prawie 136 tys. mieszkań. Niewidzialna ręka rynku buduje więc coraz sprawniej, choć nadal nie jest w stanie zaspokoić olbrzymiego apetytu na mieszkania, wynikającego nie tylko z braku samych lokali, ale też stanu technicznego tych istniejących i aspiracji lokatorów, którzy chcą mieszkać wygodniej. Pod względem średniego metrażu mieszkań jesteśmy wciąż w ogonie Europy. Aż 2,3 mln z nas wciąż nie ma osobnej łazienki.

Liczba mieszkań oddanych w Polsce do użytku odpowiada dziś niemal liczbie gospodarstw domowych. Problem w tym, że ta równowaga istnieje tylko w statystykach. W dużych miastach deficyt mieszkań staje się już na tyle odczuwalny, że wpływa destrukcyjnie na ceny najmu. Jak wynika z analiz Kosmy Nykiela dla Klubu Jagiellońskiego, przeciętny dochód rozporządzalny gospodarstwa domowego wynajmującego mieszkanie w Wałbrzychu jest dziś, po odjęciu kosztów najmu, wyższy od identycznie szacowanego średniego dochodu pary warszawiaków – mimo że ci ostatni zarabiają znacznie więcej.

Nie ile, lecz jak

Na powszechne poczucie, że deweloperzy nie dają nam tego, czego potrzebujemy, wpływa także kształt ich oferty. Pogoń za rentownością pchnęła ich do niemal rabunkowej gospodarki gruntami, naginania przepisów budowlanych, wycinania ostatnich fragmentów zieleni, zagęszczania zabudowy osiedlowej kosztem części wspólnych i wciskania budynków-plomb w najmniejsze szczeliny miejskiej zabudowy. „Apartament" po polsku stał się karykaturą samego siebie, z małymi pokojami oddzielonymi zbyt dużym przedpokojem (to jeden z trików na wciśnięcie zbędnego metrażu), w nudnym budynku. Ostatnim wynalazkiem są „mikroapartamenty" o powierzchni kilkunastu metrów, urągające logice i prawu budowlanemu, za to łatwiejsze do sprzedania na kredyt w sytuacji, gdy każdy metr kosztuje majątek. Formalnie nie są to mieszkania, ale nikt przecież nie sprawdza, co robią z lokalami klienci.

Miasta, które mogły i powinny były nałożyć deweloperom kaganiec planów zagospodarowania przestrzennego, w ostatnich latach zmagały się z deficytem budżetowym i wręcz zachęcały ich do współpracy. Kuriozalnym przykładem świeci tu Kraków, który od początku tego stulecia pozbył się municypalnych gruntów i nieruchomości wartych ponad miliard złotych. Kilka lat temu miasto tak bardzo chciało pozbyć się działki przy ul. Wita Stwosza, że wystawiło ją na sprzedaż, wystąpiwszy wcześniej z wnioskiem... do siebie samego o wydanie terenowi tzw. wuzetki, czyli warunków zagospodarowania i zabudowy, która pozwoli postawić tam biurowiec z garażem podziemnym.

Narastający chaos przestrzenny powinien w końcu zaniepokoić władze centralne. Powinien, ale nie zaniepokoi. W Sejmie *status quo* od lat pilnuje bowiem Polska Partia Posiadaczy Licznych Nieruchomości.

Zaradna elita

Gdyby istniała formalnie, byłaby trzecią siłą w Sejmie, dysponującą aż 73 głosami. Tyle posłanek i posłów tej kadencji w oświadczeniach majątkowych przyznaje się do posiadania co najmniej trzech nieruchomości mieszkaniowych. Według stanu na koniec ub. roku wspomniana grupa była właścicielami lub współwłaścicielami 102 domów i aż 174 mieszkań. Rekordzista, 50-letni Robert Kropiwnicki z Koalicji Obywatelskiej, zgromadził 11 lokali. W oświadczeniu jego klubowej koleżanki Małgorzaty Niemczyk widnieje 10 mieszkań. Renata Rak (także KO) wpisała dom i dwa mieszkania oraz siedem rozpoczętych budów domów mieszkalnych, które prowadzi najpewniej w ramach jednoosobowej działalności zarejestrowanej pod kodem statystycznym 41.10.Z – kategorią typową dla biznesu deweloperskiego. Godnym sojusznikiem dla KO byłby Marek Gróbarczyk z PiS, właściciel jednego domu i pięciu mieszkań.

Kilka wpisów do hipoteki nie jest oczywiście skazą na honorze parlamentarzysty. Przeciwnie, dowodzić może pracowitości, na pewno świadczy zaś o życiowej zaradności. Statystyczny poseł prócz co najmniej jednego mieszkania lub domu zwykle ma także liczne działki budowlane i rolne, a także lasy, łąki czy siedliska pod zabudowę. W Sejmie zasiada dziś tylko 50 osób, które nie mają żadnych nieruchomości, w co jednak trudno uwierzyć, zważywszy chociażby na to, że jest wśród nich Donald Tusk, od lat zamieszkujący z rodziną w domu jednorodzinnym w Sopocie. Nieruchomość należy zapewne do żony.

Oświadczenie majątkowe Romana Giertycha ani słowem nie wspomina z kolei o willi w podwarszawskim Józefowie, w której znany adwokat ewidentnie mieszka, skoro właśnie tam rewizję przeprowadziło swego czasu szukające nań haków i zazwyczaj nieźle poinfor-

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
Płock 101,9 FM

mowane CBA. W oświadczeniu Giertych przyznaje się jedynie do posiadania 60-metrowego mieszkania wartego ok. 1,5 mln zł, które zresztą kupił za pożyczkę, jakiej udzielił... sam sobie we własnej kancelarii. Możliwe, że willę w Józefowie Giertychowie faktycznie wynajmują, choć nie da się też wykluczyć, że jest ona własnością żony lub któregoś z podmiotów, które kontroluje prawnicze małżeństwo.

Kataster? Nie!

Parlamentarzyści i parlamentarzystki z zauważalną niechęcią ujawniają rąbka majątkowej tajemnicy, gdy mowa o nieruchomościach. Nagminną praktyką jest też wycenianie ich wartości na podstawie cen transakcyjnych, czasem sprzed kilkunastu lat, co prowadzi do kuriozów w rodzaju 400-metrowego domu na obrzeżach Krakowa, który zdaniem właściciela wart jest pół miliona złotych. Tu na pochwałę zasługują posłowie i posłanki Lewicy oraz Trzeciej Drogi, którzy częściej od reszty podają w oświadczeniach nie tylko cenę transakcyjną, ale też szacunkową wartość bieżącą. W taki sposób swój dom i mieszkanie wycenił m.in. Szymon Hołownia.

W Sejmie bieżącej kadencji, podobnie jak poprzedniej, nie słychać też o podatku katastralnym, jednym z najczęściej stosowanych rozwiązań, które mają ograniczać kumulowanie nieruchomości w pojedynczych rękach i zniechęcać do spekulacji poprzez narzucenie podatku. Zdeklarowanym przeciwnikiem tego rozwiązania „od zawsze" jest wspomniany poseł Kropiwnicki, który z góry zastrzega, że oponuje nie w swoim interesie. „Wprowadzenie tego podatku może spowodować, że wielu ludzi może nie być stać na mieszkanie. Zwłaszcza starszych, uboższych, którzy mają nieruchomości trochę w spadku" – mówił Kropiwnicki Interii.

Straszenie podatkiem katastralnym ma w polskiej polityce wieloletnią tradycję i jednoczy obozy polityczne. Opowieści o nowej daninie, która z torbami puści miliony Polaków, pozwalają parlamentarzystom zmienić ten temat w zakładnika społecznych emocji i dzięki temu uniknąć odpowiedzi na pytania, czy możliwe jest skonstruowanie progresywnego podatku katastralnego, który byłby nieodczuwalny dla tych, którym mieszkanie lub dom służy do mieszkania – i zarazem bardziej dotkliwego dla tych, którzy w nie inwestują.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Postać dewelopera symbolizuje umiejętność lawirowania pośród białych plam planów zagospodarowania przestrzennego i luk w przepisach.

Średnia stawka podatku katastralnego w Europie to dziś ok. 1,2 proc. wartości nieruchomości rocznie. Gdyby kataster w takiej samej wysokości zaczął obowiązywać w Polsce, właściciel przeciętnego mieszkania o powierzchni 55 metrów, wartego obecnie według danych GUS około 6,4 tys. zł za metr, musiałby co roku oddać fiskusowi dodatkowo około 4,2 tys. złotych. Wystarczyłby jednak prosty mechanizm indeksacyjny windujący stawkę podatku w zależności od liczby nieruchomości posiadanych przez podatnika, by osoba lub małżeństwo mająca jedno mieszkanie płaciła za nie tyle samo, ile płaci obecnie w oparciu o standardowy podatek od powierzchni nieruchomości. W zbliżonym kierunku zmierza projekt tzw. ustawy antyflipperskiej zgłoszonej 29 marca przez Lewicę, który wprowadza trzy progresywne stawki podatku od czynności cywilno-prawnych w zależności od czasu, jaki upłynie od zakupu do sprzedaży nieruchomości.

Postulaty kadencyjnie niesłuszne

Projekt Lewicy nie zdążył się jeszcze uleżeć w Sejmie, a już spotkał się z ostrą krytyką, w części zresztą zasłużoną, bo miejscami więcej w nim języka wiecu niż palestry. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że na celu miał nie tyle uregulowanie problemu flippingu (autorzy nie próbowali nawet oszacować skali zjawiska), ile zaczepienie społecznie nośnego tematu w politycznej agendzie wnioskodawców.

Identyczny los czeka zapewne podnoszone co jakiś czas postulaty publicznych inwestycji w budownictwo na wynajem. Według szacunków GUS z końca ub. roku budowa przeciętnego budynku mieszkalnego w Polsce, od rozpoczęcia prac do oddania lokalu, trwała trzy lata i osiem miesięcy. W tym roku trudno już wyobrazić sobie nowelizację i tak trzeszczącego w szwach budżetu, która wygospodarowałaby na ten cel miliardy. Głosując zaś w przyszłym roku za programem budowy mieszkań na wynajem, posłowie tej kadencji fundowaliby hojne polityczne prezenty swoim ewentualnym następcom.

Rzecz całą dodatkowo komplikuje fakt, że przy realizacji takich inwestycji władze centralne musiałyby się porozumieć z samorządami, a tu nie wszędzie karty rozdaje dziś koalicja rządząca. Nie wszędzie też problem dostępności mieszkań i kosztów najmu ma jednakową wagę. Według opracowania przygotowanego przez firmę doradczą Deloitte, największy deficyt mieszkań w Polsce w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców cechuje Podkarpacie i Małopolskę. W ostatnich wyborach do sejmiku województwa PiS wprost zmiażdżył tu kandydatów KO, uzyskując 51,9 proc. poparcia na Podkarpaciu i 43,9 proc. w Małopolsce. Trudno więc oczekiwać, że tamtejsi samorządowcy zaangażują się w projekt firmowany przez koalicję rządzącą.

O potrzebie rozwiązania „polskiego problemu mieszkaniowego" będziemy więc słyszeć jeszcze przez kilka najbliższych lat – do czasu, aż problem rozwiąże się sam. Pod koniec tej dekady – jak szacuje GUS – liczba dostępnych mieszkań po raz pierwszy w nowoczesnych dziejach Polski może przekroczyć liczbę poszukujących lokum. Tym razem lekcję za polityków i deweloperów odrobią procesy demograficzne.

©℗ MAREK RABIJ

Czy możemy mieć ładne rzeczy?

JAKUB DYMEK

Spór o inwestycje publiczne pokazuje ambicje Polaków w 20 lat po wejściu do Unii Europejskiej. Na razie miotamy się między warszawską kładką a fantazją o lotnisku w Baranowie.

Synekdocha – od greckiego „wspólnego pojęcia" – to środek stylistyczny, który zastępuje całość częścią. Dzięki synekdosze robotnicy zmieniają się w „ręce", żołnierze i posłowie w „szable", a żałobnicy – jak w wierszu Emily Dickinson – w „oczy" i „oddechy". To dlatego popularny serial Netfliksa może się nazywać „Korona" – choć wiemy, że nie o monarsze nakrycie głowy, a o biografię Elżbiety II i Zjednoczone Królestwo tu chodzi. Synekdochy służą też do wyrażenia toczącego się w naszym kraju sporu o rozwój i inwestycje publiczne.

Sporu – jak powiedzieliby niektórzy – „megalomanii" wielkich inwestycji z „mikromanią" skromnych ambicji. A tym przecież właśnie jest dyskusja wokół kładki przez Wisłę i Centralnego Portu Komunikacyjnego. Mówimy „CPK", myślimy: „wielkie publiczne inwestycje i program rozwojowy". Mówimy „kładka", myślimy: „lokalny, samorządny rozwój bez zbędnej gigantomanii". To właśnie synekdocha w działaniu.

Warto zatrzymać się między kładką a lotniskiem i zapytać, co to wszystko mówi o naszych ambicjach 20 lat po wejściu do UE.

Sufit i dno

Kładkę pieszo-rowerową otworzył w szczytowym momencie kampanii samorządowej Rafał Trzaskowski. Ratusz i politycy KO chwalili się tym projektem, jakby mówili co najmniej o polskiej misji na Marsa, atomowym lotniskowcu albo fabryce chipów (nie czipsów). Nie trzeba było zatem wiele czasu, aby – szczególnie w środowiskach wobec władzy krytycznych – uznano kładkę za coś jeszcze innego.

Bo duma Trzaskowskiego może posłużyć za reprezentację podejścia KO do rozwoju w ogóle. Podejścia przepełnionego niechęcią do tego, co wielkie, państwowe i publiczne, za to uwznioślającego obywatelskie, samorządowe i lokalne. „Kładka dla spacerowiczów zamiast polskiej elektrowni atomowej, Centralnego Portu Komunikacyjnego czy narodowego programu mieszkaniowego, przecież właśnie o to Tuskowi i Trzaskowskiemu chodzi" – konkludowali krytycy. Takie opinie (jak to w polityce bywa) były przerysowane, ale nie mijały celu. W końcu przez 8 lat rządów PiS politycy PO i sympatyzujące z nimi media podważały niemal każdą próbę użycia aparatu państwa do działania jako „powrót do Gierka", „centralizm" i „megalomanię". Niezależnie, czy chodziło o plany pozostające głównie na papierze, czy bardziej realne: rozmowy o budowie lotniska czy mieszkań, inwestycjach w przemysł, rodzime technologie albo zakupy zbrojeniowe. Skoro jednak PO krytykowało te wszystkie wielkie plany, a samo chwali się wartą 150 mln kładką... Cóż, pytania o sufit – czy raczej dno – ambicji nasuwały się same.

Po drugiej stronie tego sporu mamy właśnie CPK, które jest synekdochą całego rozwoju, tak jak kładka – mikromanii i ograniczonych ambicji. Bo przecież z biegiem lat ten skrót również zmienił swoje znaczenie. Nie chodzi już „tylko" o centralnie położone lotnisko, którego budowę rozważano też w nieporównywalnie biedniejszym PRL. Nadzieje związane z budową sięgają przecież „wejścia na wyższy poziom w łańcuchu wartości" i „uruchomienia koła zamachowego nowego modelu polskiego rozwoju". W języku dyskusji o zaletach tego pomysłu ekspercka nowomowa spotyka się z kibicowskim zacięciem.

Emocja stojąca za internetowymi hasłami #TAKdlaCPK i #TAKdlaRozwoju jest realna. I sięga ponad podziały. Poparcie dla projektu jest, to prawda, głosem dość uogólnionego sprzeciwu wobec podejścia PO. Ale także coraz większych ambicji społecznych, zmieniającego się podejścia do gospodarki i rosnącego przekonania, że zasłużyliśmy na coś dużego

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kładka pieszo-rowerowa nad Wisłą na dzień przed oficjalnym otwarciem. Warszawa, 27 marca 2024 r.

– nawet jeśli sami nie umiemy jasno określić, na co konkretnie.

Słupki i szczęka sąsiadów

– Z naszych badań wynika, że Polacy czują już, że przynależymy – a nie tylko aspirujemy – do Europy – mówi Marcin Duma, prezes agencji badawczej IBRiS i uważny obserwator ciągle zmieniających się ambicji naszego społeczeństwa. – To znaczy: wiemy, że mamy potencjał, który uprawnia nas do awansu do europejskiej ekstraklasy. Tylko wciąż nie mamy atrybutów, które by o tym świadczyły. Okazuje się, że zdaniem wielu takim widocznym atrybutem byłoby duże lotnisko i własna marka samochodów.

Akurat ta selekcja wydaje się nieco arbitralna – dlaczego samochody, a nie np. wielkie firmy, kluby sportowe czy cuda architektury? – zastanawiam się. Ale może jednak premier Morawiecki trafnie odczytał potrzeby, mówiąc akurat o lotnisku i „elektryku"? Duma przekonuje, że w aspiracjach chodzi nie tylko o to, kto jest ponad nami, ale także – co może nawet ważniejsze – od kogo lepsi możemy się stać. – Podróżując po Europie widzimy, że duże lotniska mają dużo mniej ludne kraje – Holandia, Irlandia, Austria, Portugalia. A samochody – co z tego, że tak naprawdę niemieckie – Hiszpanie czy Czesi. Zadajemy sobie więc zrozumiałe pytanie: skoro oni mogą, to dlaczego my nie możemy? – mówi.

Teza, że CPK służy do wyrażenia aspiracji, nie jest bezzasadna. W końcu gdyby popierającym ideę centralnego portu chodziło tylko o komfort latania, nie byłoby tematu. Turystyczne potrzeby Polaków obsługuje sieć lotnisk, a wygoda przemieszczania się pomiędzy nimi nie daje powodów do narzekań. Mimo to popierających rozwój projektu jest więcej. Według lutowego sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej", za jego kontynuacją jest 58,2 proc. badanych (z czego 36 proc. „zdecydowanie za"), zaś 23 proc. przeciw (w tym 15 proc. „zdecydowanie przeciw").

Napływające w ostatnich latach statystyki wzrostu gospodarczego, konsumpcji, spadku ubóstwa potwierdzają, że jesteśmy liderem Europy w wielu kategoriach. Pod względem PKB nasza gospodarka odbiła się po pandemii najszybciej na kontynencie. Ze wszystkich państw, które z nami wchodziły do UE, mieliśmy najwięcej do nadrobienia, jeśli chodzi o porównanie poziomu zamożności ze „starą" Unią – i nadgoniliśmy najwięcej. Według wyliczeń Polskiego Instytutu Ekonomicznego luka dochodowa między Polską a unijną średnią zmniejszyła się o 33 proc. – w 2004 r. mieliśmy równowartość 49 proc. PKB *per capita* UE, dziś 82 proc. Spadek ubóstwa dzieci w ostatniej dekadzie był u nas największy ze wszystkich przebadanych 39 państw rozwiniętych. Ze wskaźnikiem bezrobocia na poziomie 2,9 proc. jesteśmy obok Czech i Malty na podium państw z najmniejszym bezrobociem. Awansowaliśmy też na podium krajów wydających najwięcej na politykę rodzinną. Przodujemy we wzroście płac realnych, i to pomimo okresu wysokiej inflacji.

Te statystyki mogłyby dawać poczucie dumy. Jednak zielonymi słupkami w rachubach Eurostatu trudno pochwalić się kuzynce z Kanady czy koledze z Niemiec. Jeszcze raz Duma: „Polscy politycy wiedzą, że nam jako społeczeństwu wciąż zależy na byciu docenionymi, zauważonymi i pochwalonymi przez Zachód. Stąd te wszystkie fotografie liderów z Obamą, Trumpem i Bidenem, domaganie się słów uznania od Amerykanów, Brytyjczyków i Francuzów, płatne artykuły w światowej prasie chwalące Polskę. Ale to już za mało. By naprawdę móc poczuć się dumnie, musimy mieć jeszcze coś, po czym sąsiadom opadnie szczena".

Winda i jednoręki bokser

Argumenty dotyczące prestiżu to jednak nie wszystko. Głosy „za" i „przeciw" inwestycjom publicznym opierają się przecież na poglądach o potencjale polskiej gospodarki. Przeciwnicy zwracają uwagę na ryzyko marnotrawstwa publicznych środków. Suflują opowieść, która mówi, że skoro Gierkowi nie wyszła modernizacja przemysłu i tylko nas zadłużył, to Gierkowi 2.0 – jak mówili o Morawieckim – może pójść tylko gorzej. Lepiej więc jego pomysły zarzucić.

„Polska rozwija się od 1989 r. bez kierowniczej ręki państwa" – przypominają. To opowieść, która trafia do części wyborców KO. Rezonuje z nimi bowiem przeciwstawienie złych inwestycji, które realizuje państwo, i dobrych lokalnych inicjatyw, do których będąc w opozycji nawiązywał Donald Tusk. Przecież widzą swoje lokalne zielone ryneczki, nowe przedszkola, projekty realizowane z budżetów obywatelskich. Oraz oczywiście strumień pieniędzy z UE do ich miast, miasteczek i wsi. Ale skoro badania pokazują, że grupa zadeklarowanych przeciwników dużych projektów inwestycyjnych jest mniejsza niż wyborców KO, to chyba i ten argument nie działa najlepiej.

– Płace realne w sektorze przedsiębiorstw to dziś 175 proc. tego, z czym wchodziliśmy do UE 20 lat temu. Wzrosły więc także nasze społeczne aspiracje. Tylko dziś jest jasne, że ich nie da się zrealizować bez inwestycji rozwojowych. A do tego potrzebujemy aktywnej roli państwa, bo sektor prywatny nie będzie z czystej dobroci realizował podobnych inicjatyw – tłumaczy dr Marcin Kędzierski z Polskiej Sieci Ekonomii. I dodaje, że nie chodzi już tylko o CPK, inwestycje w edukację i innowacje, ale także większe zapotrzebowanie na duże i sprawne krajowe firmy, które nie będą tylko podwykonawcami dla zagranicznych podmiotów.

I ilustruje to metaforą windy. – Polak pracujący dla międzynarodowej korporacji może liczyć na duży awans. Wie, że wjedzie windą na 28. piętro ↦

warszawskiego wieżowca. Ale wie też, że nie wjedzie na 29. i 30. Tam zawsze będzie siedział Niemiec, Włoch, Szwajcar, Amerykanin. To uświadomiło także zamożnym ludziom, gdzie jest granica tego, co mogą osiągnąć. I to się nie zmieni tak długo, jak dominować będą na polskim rynku firmy zagraniczne – mówi Kędzierski.

Spór o to, czy Polacy zaufają narodowym czempionom w rodzaju Orlenu, jest otwarty. Ale już z tym, że dumę budzą nasze firmy na globalnym rynku gier – CD Projekt czy 11 bit studios – nie ma dyskusji. Państwo nie musi ich dotować, bo sobie radzą. Jednak w pojedynkę nawet takie marki nie dźwigną naszego rozwoju i nie zbudują konkurencji dla koreańskich, chińskich czy japońskich tygrysów nowych technologii.

Związany z Bankiem Światowym prof. Marcin Piątkowski, autor książki o Polsce „Europejski lider wzrostu", także podkreśla konieczność uruchomienia zasobów publicznych. – Za mało inwestujemy w siebie – wydajemy mniej niż 5 proc. PKB na inwestycje publiczne. A Chiny wydają 15 proc. PKB, trzykrotnie więcej w proporcji do własnego dochodu niż u nas. Korea Południowa też w czasach swojego dynamicznego rozwoju i budowania czempionów przemysłu inwestowała więcej środków publicznych niż my. Skutkiem neoliberalnej narracji jest niedoinwestowanie Polski i osłabienie naszych fundamentów rozwoju – tłumaczył mi w wywiadzie pod koniec 2022 r., jeszcze za poprzednich rządów.

I dodawał: – Trzeba powiedzieć ludziom prawdę, że Polska jest niedoinwestowana. Przez całą swoją historię była zapóźnioną gospodarką i nie możemy teraz sami ograniczać sobie szans i oszczędzać na rozwoju. Jeśli chcemy wreszcie wejść do pierwszej ligi gospodarek europejskich, nie zrobimy tego boksując z jedną ręką zawiązaną za plecami – czyli ograniczając wydatki, które będą wspierały nasz rozwój.

Poparcie dla CPK to nie tylko wyraz sprzeciwu wobec PO. Chodzi też o zmieniające się podejście do gospodarki i przekonanie, że zasłużyliśmy na coś dużego.

Jednym słowem: ci, którzy dziś chcą CPK, kolei dużych prędkości i naszych samochodów, mówią Piątkowskim czy Kędzierskim, nawet jeśli niekoniecznie są ekonomistami. Im to, co duże, nie kojarzy się z inercją i ospałością, a raczej z rozwojem.

Tabu i słowo Tuska

Czego więc boją się przeciwnicy CPK? – Tuska – ripostuje ze śmiechem Kędzierski. – Oni nie tyle pryncypialnie sprzeciwiają się inwestycjom publicznym, co boją się swojego szefa. Moment, w którym Tusk powie, że teraz, gdy mamy już środki z KPO, wielkie inwestycje znowu są ok, będzie momentem, w którym tłum polityków stojących w jego cieniu natychmiast te wielkie inwestycje poprze.

Czego więc boi się Tusk? – Rozbudzenia wielkich ambicji. Bo gdy rząd sygnalizuje, że wielkie plany są możliwe, będzie rozliczany z ich porażki. To ryzyko – konkluduje Kędzierski.

Skoro problem jest polityczny, zwróciłem się do agitującej za inwestycjami w rozwój polityczki, Pauliny Matysiak. – Kolejne generacje Polaków podróżują po Europie i zadają sobie pytanie: dlaczego my nie możemy mieć ładnych rzeczy? – tłumaczy posłanka. – Cały problem z narracją przeciw CPK, inwestycjom publicznym, programom budowy mieszkań, jest w gruncie rzeczy prosty. Ci, którzy się temu sprzeciwiają, nie dają nic w zamian.

I kontynuuje: – Logiczny jest więc tok rozumowania naszych rodaków, którzy zadają pytanie: skoro nie będzie wielkiego lotniska, nie będzie polskiego auta elektrycznego albo polskiego TGV, nie będzie mieszkań, to co dobrego będzie w zamian? Nic? Aha.

Matysiak podkreśla, że paradoksalnie poparcie dla inwestycji publicznych wyrosło z atmosfery tabu. Ludzie o wysokim poziomie kompetencji w swoich dziedzinach – lekarze, prawnicy, rolnicy – nie wiedzieli, co właściwie myśleć o tym „lotnisku pośrodku pola". Media były w tej sprawie spolaryzowane, zaś przekaz powierzchowny. Zaczęli więc szukać wiedzy na własną rękę. Gdy do niej dotarli, odkryli, że KO nie ma konkurencyjnych projektów. Stąd – przekonuje posłanka – wcześniej obojętni wobec dużych inwestycji Polacy stają się powoli ich zwolennikami.

– A rząd nie komunikuje się dobrze – dodaje Matysiak, więc w tej sprawie ponadpartyjny sojusz za inwestycjami publicznymi ma łatwiej. Dlatego być może internetowe hashtagi #TakdlaCPK i #TakdlaRozwoju dominowały w zimowych miesiącach na rozpolitykowanej polskiej platformie X. W przeciągu kilku miesięcy frazę „Tak dla rozwoju" za swoją wzięli Jarosław Kaczyński, posłanka z partii Razem i tysiące osób podpisujących petycje za kontynuacją inwestycji.

Gdyby spór kładki z CPK stał się istotną częścią politycznego i społecznego podziału, byłby to pierwszy od lat przykład merytorycznej polaryzacji w naszej polityce. Ale nawet fakt, że do owego sporu doszło, pokazuje, jak bardzo wzrosły nasze ambicje. Nie spieramy się już bowiem o to, czy jest szansa dogonić najzamożniejsze kraje świata – spieramy się, jak szybko i jakimi środkami to zrobić.

© JAKUB DYMEK

POŻEGNANIE

Kasi Kolendzie-Zaleskiej

wyrazy serdecznego współczucia

z powodu śmierci

Mamy

przekazują

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

ZBIGNIEW MEISSNER / PAP

Marek Michalak (po prawej) podczas wręczenia Orderu Uśmiechu państwu van der Coghen w Bazie Biwakowo-Szkoleniowej Ratowników GOPR w Lgotce. 30 czerwca 2023 r.

Zabawki rzecznika

ANNA GOLUS

Marek Michalak zrobił z biura Rzecznika Praw Dziecka prywatny folwark i zarządzał nim, jakby stał ponad prawem albo go nie znał. W ten sam sposób kierował organizacjami pozarządowymi.

Po naszym artykule „Zabawki kanclerza" („TP" 9/2024) prezydent Warszawy, sprawujący nadzór nad stowarzyszeniem przyznającym Order Uśmiechu, podjął czynności wobec tej organizacji – zażądał nadesłania uchwał o wyborze aktualnych władz i wyjaśnień w sprawie nieaktualizowania od 2007 r. danych w KRS. Kanclerz Marek Michalak wysłał mailem skany dokumentów oraz informację, że 12 kwietnia złożył do sądu wniosek o aktualizację danych w KRS-ie. Bez dodatkowych wyjaśnień.

Stowarzyszenie Międzynarodowa Kapituła Orderu Uśmiechu, które od lat traktuje dzieci przedmiotowo, to jednak nie jedyna nieprawidłowo zarządzana organizacja, na czele której stoi lub stał były rzecznik praw dziecka (lata 2008-2018), a jej nieaktualny KRS to nie jedyna sprawa, która wymaga wyjaśnienia.

Dwa serca

„Urząd Miejski nie współpracuje ze Stowarzyszeniem Przyjaciół Dzieci Chorych »Serce« ani z Fundacją Serce. Lokal przy ul. Kościelnej 15 nie jest własnością miasta" – napisała w odpowiedzi na pytania „Tygodnika" rzeczniczka Urzędu Miejskiego w Świdnicy. Informacja o wieloletniej współpracy tego urzędu i stowarzyszenia założonego w 1990 r. przez 19-letniego Michalaka jest jednak publicznie dostępna. Organizacja ta prowadzi jedną ze świdnickich świetlic socjoterapeutycznych, w ostatnich latach otrzymuje na ten cel ponad 100 tys. zł rocznie od miasta, a w 1998 r. kupiła od niego kamienicę przy ul. Kościelnej 15 za 1 proc. wartości. Budynek wymagał jednak remontu.

W 2005 r. Michalak został jednym z fundatorów i prezesem fundacji „Serce – Europejskie Centrum Przyjaźni Dziecięcej", która od razu uzyskała status organizacji pożytku publicznego i mogła zbierać 1 proc. podatku. W ramach akcji „Polscy artyści plastycy dzieciom" otrzymała kilkaset prac do zlicytowania na aukcjach w celu „pozyskania środków finansowych na dokończenie remontu". Z dostępnych sprawozdań finansowych wynika, że znaczna część prac nie została sprzedana – według najnowszego (za 2022 r.) fundacja nadal posiada obrazy o wartości ponad 231 tys. zł. Zapytałam wiceprezes fundacji, Adrianę Michalak, żonę Marka Michalaka, z jakiego powodu ich nie sprzedano, czy darczyńcy o tym wiedzą oraz dlaczego stowarzyszenie „Serce" i fundacja „Serce" istnieją jako dwa osobne podmioty. Nie otrzymałam odpowiedzi.

Z dostępnych sprawozdań finansowych wynika też, że wbrew zapewnieniom nie cały dochód z aukcji został przeznaczony na remont ECPD. Do 2009 r. przychód z akcji „Polscy artyści plastycy dzieciom" wyniósł prawie 665 tys. zł, koszt zaś – 172 tys. zł (obrazy były sprzedawane m.in. w USA). Dochód wyniósł 493 tys. zł, natomiast na remont przeznaczono 306 tys. zł.

Fundacja „Serce", która „powstała na bazie i w ścisłej współpracy" ze stowarzyszeniem „Serce", wspiera finansowo tę organizację, która nie ma obowiązku upubliczniania sprawozdań. Fundacja wspiera też stowarzyszenie ↦

Międzynarodowa Kapituła Orderu Uśmiechu, któremu od 2007 r. przewodniczy Michalak i które również nie musi upubliczniać sprawozdań. Według dostępnych dokumentów otrzymało ono ponad 75 tys. zł, w tym 40 tys. zł w 2020 r. Właśnie wtedy stowarzyszenie MKOU wydało – ze wsparciem fundacji „Serce" – doktorat Michalaka o Orderze Uśmiechu.

Na marginesie: stowarzyszenie MKOU zajmuje się też sprzedażą tej książki i informuje: „Całkowity dochód ze sprzedaży (...) Autor (zrzekając się ew. honorariów autorskich) przeznaczył na działalność Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu". Jeśli jednak założono, że sprzedaż książki może przynieść dochód przekraczający koszt wydania, a w statucie jest informacja, że „stowarzyszenie prowadzi działalność gospodarczą", powinno ono zostać także zarejestrowane w rejestrze przedsiębiorców w KRS. Nie zostało.

Lepszy św. Mikołaj

Niektóre sprawozdania fundacji „Serce" opublikowane na stronie Narodowego Instytutu Wolności są niekompletne albo błędne (np. bilanse za lata 2014 i 2016 zawierają same zera, co nie zgadza się z innymi dokumentami z tych lat, a w „Informacji dodatkowej" z 2011 r. brakuje przychodów i kosztów). Na stronie NIW znajdują się sprawozdania organizacji pożytku publicznego tylko od 2011 r. Starsze były składane do Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej. Poprosiłam resort (obecnie z „rodziną" w nazwie) o przesłanie sprawozdań fundacji „Serce" za lata 2005-2010. Po dwóch tygodniach otrzymałam sprawozdania za lata 2006, 2008 i 2009, a po kolejnym tygodniu informację, że sprawozdania za lata 2005, 2007 i 2010 nie wpłynęły do ministerstwa.

Niezłożenie ostatniego sprawozdania do ministerstwa powinno skutkować odebraniem statusu organizacji pożytku publicznego – minister powinien wystąpić do sądu z wnioskiem o wykreślenie informacji o organizacji, ale tego nie zrobił, gdyż ministerstwo twierdzi, że nie musiał. Z dwoma sprawozdaniami, których dziś nie ma w ministerstwie, można natomiast zapoznać się w Sądzie Rejonowym dla Wrocławia-Fabrycznej, bo fundacja złożyła dokumenty za lata 2005-2007 do KRS. Tylko sprawozdania za 2010 r. nie ma nigdzie, podobnie zresztą jak sprawozdania o zamówieniach publicznych udzielonych w 2010 r. w biurze RPD.

Gdy w 2008 r. Marek Michalak objął funkcję Rzecznika Praw Dziecka, zrezygnował z kierowania świdnickimi organizacjami i wykreślił swoje nazwisko z KRS-u obu „Serc". Przewodniczącym stowarzyszenia został ktoś inny, natomiast miejsce prezesa fundacji nadal pozostaje puste (nie tylko w KRS-ie, ale też w corocznych sprawozdaniach). Zgodnie ze statutem tej organizacji zarząd powinien jednak składać się z prezesa, wiceprezesa i skarbnika, a protokoły z kontroli może podpisywać tylko prezes. Jeśli więc do fundacji „Serce" zawitają urzędnicy, nie będzie miał kto podpisać protokołu pokontrolnego.

Według KRS-u Michalak nadal jest natomiast prezesem fundacji „Dom Świętego Mikołaja", którą również współtworzył – m.in. z Cezarym Leżeńskim, poprzednim przewodniczącym stowarzyszenia Międzynarodowa Kapituła Orderu Uśmiechu. W 2005 r. Leżeński mówił w wypowiedzi dla lokalnych mediów: „Chcemy, żeby Świdnica stała się siedzibą polskiego Świętego Mikołaja. Dlatego ma tu powstać jego muzeum, jego mieszkanie, żeby dzieci mogły zobaczyć, jak wygląda pokój Świętego Mikołaja (...) byliśmy w Rovaniemi [to siedziba Świętego Mikołaja w Laponii – red.]. I doszliśmy do wniosku, że my będziemy mieć lepszego Mikołaja, bo własnego".

Nic z tego nie wyszło. Ministerstwo twierdzi, że fundacja nie złożyła sprawozdania, a w rejestrze KRS nigdy nie zaktualizowano danych fundacji.

Prywatny folwark

Michalak jako rzecznik praw dziecka nie zapomniał o Świdnicy. Nie tylko zatrudnił w biurze RPD m.in. swojego wychowanka ze świdnickiej świetlicy (który w 2017 r. razem z innym ówczesnym pracownikiem biura RPD został członkiem rady nadzorczej fundacji „Serce" i miał sprawować nadzór nad organizacją zarządzaną przez żonę szefa), ale też wspierał stowarzyszenie „Serce" finansowo. Z dokumentów wynika, że w latach 2011-2013 biuro RPD przekazało tej organizacji 17,2 tys. zł, w tym po 3 tys. zł na organizację spotkań i przygotowanie konferencji, a 11,2 tys. zł – na kartki świąteczne.

Wspierał też finansowo jedną uczelnię – Akademię Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie (i żadnej innej). We wrześniu 2017 r. RPD współorganizował z APS uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* Marcie Santos Pais i przeznaczył 25 tys. zł na „tłumaczenia symultaniczne, dystrybucję zaproszeń oraz powiadomienie mediów". Trzy miesiące później Marek Michalak otworzył na tej uczelni przewód doktorski.

Po naszym tekście „Zabawki kanclerza" Rada Doskonałości Naukowej nie zainteresowała się postępowaniem w sprawie nadania mu stopnia doktora, choć opisaliśmy liczne przykłady nierzetelności naukowej nie tylko w samym doktoracie, ale też w jednej z jego recenzji. Rady nie zaniepokoił nawet fakt, że już po otwarciu przewodu doktorskiego Michalak jako rzecznik współfinansował wydanie numeru czasopisma uczelni, na której się doktoryzował – numer 1/2018 „Pracy Socjalnej" APS, w którym ukazał się również jego tekst. Dofinansowanie to 4,5 tys. zł.

Po otwarciu przewodu Michalak nadal współpracował też (w ramach umów cywilnoprawnych) z prof. Barbarą Smolińską-Theiss, która od 2011 r. była jego społeczną doradczynią, a od 2017 – promotorką jego doktoratu. Biuro RPD – które wcześniej udzieliło informacji o szczegółach współpracy ze stowarzyszeniem „Serce" i APS – przez ponad miesiąc nie odpowiedziało na pytanie o szczegóły umów ze Smolińską-Theiss, w tym o jej wynagrodzenie, ani na inne pytania „Tygodnika" (m.in. o nagrody, jakie Michalak i jego następca Mikołaj Pawlak przyznawał pracownikom biura i samemu sobie, oraz o to, czy wszyscy prelegenci konferencji organizowanych przez RPD w Roku Janusza Korczaka otrzymywali wynagrodzenie, a jeśli nie, to którzy je otrzymywali i w jakiej kwocie).

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Równi i równiejsi

„Przedmiotem dwóch umów współpracy z Panią HKS było między innymi występowanie w charakterze przedstawiciela Rzecznika Praw Dziecka na uroczystościach państwowych, samorządowych, lokalnych oraz konferencjach i sympozjach (...). W wyniku nieokreślenia ceny oraz liczby wykonywanych czynności w tych umowach wypłacano comiesięczne wynagrodzenia w stałej wysokości bez względu na liczbę i zakres wykonywanych prac" – czytamy w wystąpieniu pokontrolnym NIK po kontroli wykonania budżetu państwa w biurze RPD w 2012 r.

Po dwóch tygodniach od zadania pytania o nieprawidłowe umowy biura RPD z „Panią HKS" NIK przedłużyła termin udzielenia informacji. Natomiast Henryka Krzywonos-Strycharska, jedyna społeczna doradczyni RPD o takich inicjałach, nie odpowiedziała na pytanie, czy w tym dokumencie NIK-u mowa o niej, a jeśli tak, to ile wynosiło jej wynagrodzenie i czy wiedziała, że nie wszyscy członkowie Społecznej Rady Doradczej RPD pobierali wynagrodzenie za te same czynności. Niektórzy z nich występowali bowiem jako przedstawiciele RPD na uroczystościach państwowych, samorządowych, lokalnych, konferencjach i sympozjach – za darmo. Otrzymywali co najwyżej zwrot kosztów wyjazdu, a w ich porozumieniach z biurem RPD – oprócz powyższego spisu obowiązków – znajdował się punkt: „Doradca RPD pełni swoje zadania społecznie". Nie wiedzieli, że inni otrzymywali wynagrodzenie.

Bez żadnego trybu

Usługi pocztowe, druk wydawnictw i dostawa materiałów informacyjno-promocyjnych – w latach 2014-2018 na stronie internetowej RPD publikowano informacje o zamówieniach publicznych wyłącznie na te trzy usługi i dostawy. Były one realizowane w trybie przetargu nieograniczonego, przeznaczonego dla zamówień powyżej 30 tys. euro, nawet jeśli wartość zamówień była niższa i nie trzeba było realizować ich w ten sposób. Zamówienia uwzględniano później w rocznych sprawozdaniach składanych do Prezesa Urzędu Zamówień Publicznych w rubryce „Zamówienia klasyczne o wartości przekraczającej wyrażoną w złotych równowartość kwoty, o której mowa w art. 4 pkt 8 ustawy" (powyżej 30 tys. euro, tj. ponad 120 tys. zł). Np. w sprawozdaniu za 2017 r. zamieszczono w tej rubryce cztery zamówienia na dostawy o łącznej wartości niemal 343 tys. zł (czyli poniżej progu).

DOMENA PUBLICZNA

Nieprawidłowości w udzielaniu zamówień publicznych wykryła w 2018 roku NIK. Doprowadziło to **do dwukrotnego ukarania ówczesnej dyrektor biura RPD.**

Co ciekawe, w „Informacji o wynikach kontroli wykonania budżetu państwa w 2017 r." w biurze RPD Najwyższa Izba Kontroli informuje, że w tym roku „udzielono jednego zamówienia publicznego w trybie przetargu nieograniczonego". Nie zgadza się to ani z informacjami podanymi na stronie RPD, ani ze sprawozdaniem za 2017 r. dla Prezesa UZP. Niespójności między danymi NIK a sprawozdaniami dla UZP jest więcej.

Rzecznik prasowy Urzędu Zamówień Publicznych przesłał mi wszystkie sprawozdania z biura RPD za lata 2008-2018 – oprócz jednego, za 2010 r. „Istnieje szansa, że za ten rok takiego sprawozdania z Biura RPD nie dostaliśmy, natomiast po takim upływie czasu jest to niemożliwe do weryfikacji" – napisał rzecznik i poinformował, że UZP nie prowadził kontroli zamówień publicznych w biurze RPD za kadencji Michalaka.

Nieprawidłowości w udzieleniu zamówień publicznych wykryła natomiast w 2018 r. NIK. Nie wpłynęło to na pozytywną opinię o wykonaniu budżetu w biurze RPD, ale doprowadziło do dwukrotnego ukarania ówczesnej dyrektor biura za naruszenie dyscypliny finansów publicznych. W jednej z tych spraw biuro RPD udzieliło zamówienia publicznego (na świadczenie obsługi informatycznej) wykonawcy, który został wybrany niezgodnie z przepisami ustawy, z naruszeniem zasady równego traktowania i uczciwej konkurencji.

Dyrektor biura odwołała się od kary upomnienia i zasądzenia zwrotu kosztów postępowania. Jej obrońca argumentował, że nie ma ona wykształcenia prawniczego, przed podpisaniem umowy konsultowała się z prawnikiem, a odpowiedzialność ponoszą inne osoby. Według Głównej Komisji Orzekającej w Sprawach o Naruszenie Dyscypliny Finansów Publicznych od osób zajmujących stanowiska kierownicze należy jednak „oczekiwać takiej świadomości prawnej, ekonomicznej czy zarządczej, która przyczynia się do realizowania zadań co najmniej na poziomie zgodności z prawem".

„W biurze nic nie działo się bez wiedzy Michalaka"; „Przeglądał i zatwierdzał każdy dokument, nawet teksty na stronę internetową"; „Chorobliwy nadzór, totalna kontrola"; „Z biura odchodzili ludzie, którzy nie mogli tego znieść"; „Siał postrach" – mówią o Michalaku byli pracownicy różnych zespołów w biurze RPD. Wszyscy zarazem dodają, że był bardzo pracowity, a niektórzy – że zrobił dużo dobrego.

Numer niedostępny

Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobił Marek Michalak jako RPD, było uruchomienie Dziecięcego Telefonu Zaufania (800 12 12 12). Numer został uruchomiony 20 listopada 2008 r., ale... nie dla każdego. Jak pisała m.in. „Rzeczpospolita", początkowo można było się na niego dzwonić wyłącznie z telefonów stacjonarnych i z sieci Orange. W sieci Era (dziś T-Mobile) numery zaczynające się na 800 stały się dostępne (i bezpłatne) jesienią 2009 r., w Plusie podobnie. Dopiero w 2013 r. na stronie RPD pojawiła się informacja, że numer jest bezpłatny dla każdego.

Biuro RPD nie wie, czy Michalak podejmował jakieś aktywne działania, by uczynić Dziecięcy Telefon Zaufania bezpłatnym dla wszystkich. Nie wie nawet, że taki problem był. Informację, że numer jest niedostępny, słyszę też wielokrotnie, próbując dodzwonić się do Marka Michalaka, by zapytać, czy otrzymał mojego maila z prośbą o rozmowę. Nie udaje się mimo wielu prób.

© ANNA GOLUS

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Trening polskich drużyn futbolu australijskiego w Poznaniu, luty 2021 r. Z brodą Phil Forbes, prezydent Polskiej Ligi AFL.

Będziesz grać dla Polski

AGNIESZKA BURTON Z MELBOURNE

W jego ojczyźnie to popularny sport: co dwudziesty Australijczyk jest członkiem klubu AFL. W Polsce też są pierwsze drużyny. Ich „ojcem" jest 37-letni Phil Forbes. Czemu zamieszkał w Warszawie? I czy futbol australijski przyjmie się nad Wisłą?

Wszystko zaczęło się od zakochania. A było tak: na festiwalu heavymetalowym, gdzieś w Niemczech, Phil zobaczył kapelę z Polski. Wielcy długowłosi faceci, którzy walili do rytmu głowami. Zobaczył też wokalistkę. Zafascynowała go. Namierzył ich za kulisami, porozmawiał z nią.

Ona wróciła do Polski, on do Australii. Przez pół roku pozostawali w kontakcie, uczył się nawet trochę polskiego. Aż wreszcie postanowił przenieść się do niej, na drugi koniec świata, do Warszawy. Razem ze swoim australijskim psem.

Polska wydawała mu się piękna, mało znana, choć tu i tam nieco zaniedbana. Wchodził do sklepu, a tu naburmuszona sklepowa: „To będzie wszystko?". On, Aussie (jak mówią na siebie Australijczycy), przyzwyczajony jest do uśmiechów.

OSIEM LAT | Jego nazwisko jest szkockie, dziadkowie pochodzili z Niemiec i Szwajcarii. Zero korzeni z Europy Środkowej. Ale w Melbourne, gdzie dorastał spokojnie i szczęśliwie, miał przyjaciół pochodzących z Węgier, Bułgarii, Macedonii, Grecji, Włoch, Chorwacji czy Serbii. Ich rodzice często mówili *back home*. Coś go ciągnęło na Stary Kontynent. Może chciał sprawdzić, co oznacza „tam w domu"?

Związek z wokalistką się rozpadł. Tak bywa, życie. Jednak Phil i pies pozostali w kraju nad Wisłą – choć po 24 lutego 2022 r. rodzina z Melbourne wzywała go do powrotu, uznając, że Polska jest za blisko terenu, gdzie toczy się wojna.

Będzie osiem lat, odkąd tu mieszka. Już nauczył się nieźle polskiego.

Często pytają go, dlaczego? Tam pracował jako spawacz, tu jako *content writer*, tak to się nazywa po angielsku. Tam miał wielkie i drogie Melbourne, tu mniejszą i tańszą Warszawę. Choć inflacja daje po kieszeni. – Za piwo w barze 23 złote, tyle płacę w Australii! – irytuje się.

Ale przede wszystkim: tu, w Polsce, 37-letni Phil Forbes może pełnić funkcję prezydenta Polskiej Ligi Futbolu Australijskiego. Czegoś takiego nie osiągnąłby u siebie.

BÓG I SYN BOŻY | Australijski futbol, czyli AFL, pojawił się w XIX stuleciu w Melbourne. To połączenie aborygeńskiej gry *marngrook* i tzw. piłki gaelickiej z Irlandii szybko rozprzestrzeniło się po miejskich parkach.

Dziś AFL to dla wielu Aussies religia, show i biznes. Pełno tej tematyki w mediach społecznościowych, telewizji i prasie. Najlepsi zawodnicy są celebrytami. Jak Gary Robert Ablett: ten piłkarz, reprezentujący Jastrzębie (Hawthorn Football Club z Mulgrave, dzielnicy Melbourne),

a potem Koty (The Cats, oficjalnie: Geelong Football Club z Geelong, także w Wiktorii), nazywany był „bogiem", a jego syn Gary Ablett Junior, świetny środkowy, „synem bożym".

Sportowo Australia jest podzielona: w stanach Wiktoria, Australia Zachodnia i Australia Południowa króluje futbol australijski, natomiast w Nowej Południowej Walii i Queensland popularne jest rugby. Jednak w samym tylko roku 2023 to liga AFL osiągnęła zysk operacyjny w wysokości 28 mln dolarów. W 2023 r. pobity został też rekord frekwencji: na finał Ligi Premierowej – Sroki Collingwood kontra Lwy Brisbane – na stadion w Melbourne przyszło dokładnie 100 024 kibiców. Natomiast liczba członków klubów AFL wyniosła 1 264 952 osoby. To oznacza, że jeden na dwudziestu Australijczyków jest członkiem klubu AFL.

OD MAŁEGO | Wśród kibiców futbolu australijskiego – zwanego w skrócie *footy* (Australijczycy lubią wszystko skracać) – panują własne rytuały. I tak, gdy rodzi się dziecko, od razu dostaje swój klub (najczęściej dziedziczony od strony ojca), a także ciepłą czapeczkę, szalik i maskotkę w barwach drużyny. Na przykład czerwono-czarnego komara drużyny Bombers z dzielnicy Essendon, tygrysa drużyny Tigers Richmond czy pluszową podobiznę „świętego Trevora", zasłużonego gracza drużyny Święci z dzielnicy St Kilda.

Od małego Australijczycy uczeni są piosenek swoich drużyn i zabierani zimą do centrum miast, na ogromne stadiony, aby razem z rodzicami, babciami i dziadkami ekscytować się meczem i zajadać *meat pie*, gorące placki z mięsem. A na koniec z całych sił wyśpiewać prostą klubową piosenkę. Na przykład:

Zobacz, jak Bombers wzlatują w górę,
w górę!
By zdobyć sztandar mistrzostw,
Nasi chłopcy, którzy grają w tę wielką
starą grę,
Zawsze dążą do chwały i sławy!
Zobacz, jak Bombers wzlatują w górę,
w górę,
Inne drużyny się nie boją,
Wszyscy dają z siebie wszystko,
Ale nie mogą się zbliżyć,
Kiedy Bombers wzlatują w górę!

Może dlatego, że na mecze przychodzą masowo różne warstwy społeczne, wykształceni i nie, bogaci i biedni, młodzi i starzy, na stadionach jest bezpiecznie. Choć australijski futbol wyzwala niezmierzone pokłady emocji, i choć jest to przecież sport bardzo „kontaktowy", nie istnieje tu zjawisko agresywnych kiboli.

PIERWSZY TRENING | – Mój ojciec kibicował drużynie Bombers – wspomina Phil. – Również i ja aż do śmierci będę ich wielkim fanem.

Phil zaczął grać w *footy*, gdy miał 10 lat, jak to australijskie dzieciaki. Kopał w szkole na przerwach (potłuczone okna to w Melbourne standard), kopał w parkach. Jako nastolatek kopał w Bulldogach, drużynie z dzielnicy Croydon South, gdzie mieszkał. W Polsce bardzo tęsknił za tym swoim kopaniem.

Któregoś dnia poznał Australijczyka z Bydgoszczy, który wyjeżdżał z Polski. Przekazał on Philowi piłki do *footy*, buty, bramki. Potem, na koncercie hiphopowej kapeli Hilltop Hoods z antypodów, poznał dwóch kolejnych Aussies.

Pierwszy trening: rok 2018, 11 listopada, godzina 11, Pola Mokotowskie. Trzech Australijczyków, jeden Amerykanin, jeden Polak.

– Było zimno i mgliście – wspomina Phil. – Rzucaliśmy, kopaliśmy. Polak pytał, jak się w to gra. Przechodziła jakaś babcia, nakrzyczała na nas, bo jej pies, taki chihuahua, gonił za naszą piłką.

Potem usiedli i ustalili: na kolejny trening każdy przyprowadzi trzech przyjaciół, aż powstanie prawdziwa 15-osobowa drużyna. Pomarzyli: fajnie, jakby udało się kiedyś stworzyć ekipę reprezentującą Polskę.

A że to Phil mówił najwięcej, obwołali go prezydentem.

WYBITA SZCZĘKA | Tylko jak do nieznanej dyscypliny sportowej przekonać Polaków, którzy kochają piłkę nożną, siatkówkę bądź szczypiorniak?

– Kiedy ostatni raz próbowałeś czegoś nowego? – tak Phil zachęca Polaków. – Przyjdź pograć z Australijczykami.

Gdy pytają, czym jest *footy*, wyjaśnia: – To nie rugby, gdzie musisz podawać do tyłu, ani futbol amerykański, gdzie rzucasz naprzód. Mamy dużo biegania w różnych kierunkach, dużo wyskoków. Celem gry jest kopnięcie piłki między dwa wysokie kije. Jeśli trafisz, dostajesz sześć punktów, jeśli trafisz obok, otrzymujesz punkt.

Gdy to nie chwyta, dodaje: – To sport wymyślony w Australii, aby gracze krykieta utrzymywali kondycję w okresie zimowym. Rozumiesz, piłkarze AFL nie są spasieni jak ci od rugby, mają atletyczne ciała jak bokserzy albo biegacze.

Tu zwykle Polacy zaczynają słuchać. A gdy Phil dodaje „potrenuj z nami, wystarczy dwa miesiące, a będziesz reprezentować Polskę", to już trafia.

Przychodzą na pierwszy trening, ci wysportowani i ci mniej, którzy nie lubią hibernować się zimą albo nie lubią siłowni, chcą poprawić kondycję oraz sylwetkę na wolnym powietrzu, w zespole. Wszyscy z nadzieją, że będą reprezentować Polskę.

OK, tylko jak wytłumaczyć zasady gry po polsku?

Phil wzdycha, to wyzwanie: – Jest tyle nieprzetłumaczalnej terminologii, np. karę za przetrzymywanie piłki, zwaną *holding the ball*, przetłumaczyliśmy na „trzymać piłkę". Dochodzi do nieporozumień wśród nowych graczy. „Oczywiście, że trzymałem piłkę, co w tym złego?", mówią.

Albo jak wytłumaczyć *kick off the ground* Polakom, którzy intuicyjnie, jak to w nożnej, kopią z ziemi i boją się użyć rąk?

– Kiedyś wybito mi szczękę, bo schyliłem się po piłkę, a inny gracz instynktownie ją kopnął – opowiada Phil.

BEZ CHAMSTWA | Ale największy problem ma z różnicami kulturowymi. Bo, jak mówi, ciężko uczyć od podstaw Polaków, którzy od razu chcą być najlepsi. Albo gdy w ferworze gry dochodzi do *full body contact*, gdy pełno jest adrenaliny, jak ich zatrzymać, aby się zastanowili, że trochę przesadzili? Jak wyjaśnić, że w tej grze tak można, gdy narzekają, że „skoczył na mnie i wbił mi kolano w plecy"?

Niepojęte dla niego jest, że Polacy nie szanują trenera i gadają, gdy ten coś wyjaśnia. – Daj spokój! Trener darmowo oddaje swój czas, a ten przeszkadza! – denerwuje się.

Jak zarazić Polaków, przyzwyczajonych do hymnu narodowego, wysłuchanego z poważnymi minami, do radosnego wywrzeszczenia klubowej piosenki?

Jak zmienić nastawienie polskich coachów, którzy, gdy coś nie wychodzi ↦

MAGDA MATOSZEK / ARCHIWUM PRYWATNE

Phil (z prawej) i Piotr przed meczem w Bytomiu. 29 lipca 2023 r.

↦ w grze, szybko się frustrują („kurwa, kurwa!"). – Chłopaki – tłumaczy im Phil – doceńcie wysiłek włożony, żeby strzelić gola, bardziej niż strzelonego gola.

Bo dla niego najważniejsze są, jak mówi, typowe australijskie wartości: pozytywne wzmacnianie i przyjazna atmosfera. Wierzy, że to właśnie sprawia, iż ludzie wracają na treningi.

Dlatego napisał prosty dokument (po polsku: „Polityka braku chamstwa"), który każdy wstępujący do klubu musi podpisać: że nie będzie agresji, przemocy, przeklinania, homofobicznych, rasistowskich czy szowinistycznych komentarzy. Co na to Polacy?

– Często mówią „nie będę tego podpisywać". Albo: „mój prawnik musi najpierw to zobaczyć".

Ale to drobiazgi. Phil podkreśla, że polscy zawodnicy mają wiele chęci i zapału.

ANIOŁY I DIABŁY | Po miesiącu od tamtego pierwszego treningu w 2018 r. na Polach Mokotowskich uzbierali w Warszawie całą drużynę, 15 osób. W środy trenują na zaprzyjaźnionej siłowni, gdzie mocno dostają w kość, w soboty grają na halach, trzy razy w tygodniu na boiskach. Jest sporo osób po czterdziestce, a niektóre dziewczyny mają po dwadzieścia kilka lat. Miesięczna składka 120 złotych, strój w barwach drużyny – wliczony.

Dziś AFL Polska to: warszawskie Bizony (i warszawska drużyna treningowa Dziki), wrocławskie Lwy i bytomski Górnik. Powstają kluby w Krakowie i Lublinie, tworzone są drużyny żeńskie. Razem jakieś 90 osób. Osiemdziesiąt procent zawodników to Polacy i Polki, pozostali to Australijczycy, Ukrainiec, Marokańczyk, Irlandczyk i Senegalczyk.

Najlepsi gracze wybierani są do reprezentacji Polski – drużyny żeńskiej Anioły i męskiej Diabły, które co roku jadą na mistrzostwa AFL Europa. Grali już na Węgrzech, w Czechach, Estonii, Austrii, Niemczech, Szwecji.

AFL Polska podlega AFL Europa, która ma biuro w Londynie. Phil jest z nimi w kontakcie. Anglia ma najsilniejszą drużynę, bo tam mieszka mnóstwo Australijczyków.

– Jak na razie polskie zawodniczki wygrały tylko w Szwajcarii – wyjaśnia Phil, który podczas rozgrywek międzynarodowych nie może być zawodnikiem, bo nie jest Polakiem. – Ale mężczyźni byli blisko pokonania Austrii i Finlandii, więc ten rok będzie o wiele lepszy – dodaje z nadzieją.

WIELKI FINAŁ | Co roku, od marca do września, na najmniejszym kontynencie odbywają się mecze futbolu australijskiego, tak zwane *home-and-away*. Ze wszystkich osiemnastu drużyn przechodzi dalej osiem, a na koniec walczą dwie najlepsze. Ta ostateczna rozgrywka – *Grand Final*, zawsze na stadionie Melbourne Cricket Ground, zawsze pod koniec września – to celebracja. Pustoszeją wtedy ulice, po pustych galeriach handlowych kręcą się tylko zagubieni obcokrajowcy, dla których *footy* to „osiłki w obcisłych gaciach goniący za jajowatą piłką".

Na ten finał Aussies spotykają się przy grillach, w ogródkach, z włączonym na cały głos telewizorem i popijając piwo z gumowych ochładzaczy, oglądają transmisję. Dużo jest krzyku, dużo dumy i agitowania, zazwyczaj bez pieniactwa, poklepywanie *mates* (kumpli) po ramionach, żarty pod adresem drużyny przeciwnika, radość i rozrywka.

W Polsce jest wówczas sobota i dopiero świta. Phil z kolegami Australijczykami ma od lat taki zwyczaj: na *Grand Final* spotykają się w zaprzyjaźnionych barach, w Akademii Wychowania Fizycznego czy w Food Hall Elektrownia Powiśle. Tam na wielkich ekranach o szóstej rano oglądają mecz, piją piwo i jedzą śniadanie.

– Przechodzą ludzie, patrzą, dziwią się, ale nikt o nic nie pyta – uśmiecha się Phil. – Pewnie myślą, że jesteśmy turystami, którzy przyjechali na wieczór kawalerski do Polski.

MARZENIE | *Footy* bardzo pomaga Philowi w pokonywaniu tęsknoty. Po angielsku jest na to dobra nazwa: *homesickness*, chorowanie za domem. – Najgorzej jest w święta – wyznaje. – Żeby nie zwariować w Boże Narodzenie, spotykamy się przy zastawionym stole ze znajomymi obcokrajowcami, wymieniamy prezenty, tworzy się namiastka rodziny. Na Wielkanoc chodzę z kumplami Australijczykami gdzieś na obiad, nic wielkiego.

Jakie ma marzenia? Bo wiadomo, chce zostać w Polsce. Phil: – Pracujemy nad tym, aby AFL Polska stała się podmiotem prawnym. Wtedy łatwiej będzie znaleźć sponsorów i generować przychody. Przecież wszystko kosztuje: ubezpieczenie, zakup piłek z Australii, strony internetowe, wynajem boisk. Wyjazd dwóch drużyn na międzynarodowe rozgrywki to koszty 15 tys. złotych. Na razie mamy jednego sponsora, firmę jednego z naszych zawodników. Niestety AFL Europa ma ograniczone możliwości finansowe. A bogata AFL Australia? Cóż, ich priorytetem jest rozwijanie sportu u siebie.

Phil jest przekonany, że za około dziesięć lat AFL Polska będzie tak silna, że Anioły i Diabły polecą na międzynarodowe rozgrywki do Australii.

Jak mówią Aussies: *Good luck*.

© AGNIESZKA BURTON

TOMASZ

Stawiszyński: *Intelektualistka i logika chóru*

W wielu postach i tekstach, w których wspominano zmarłą 15 kwietnia profesor Jadwigę Staniszkis, przewijały się kąśliwe uwagi co do jej politycznych wyborów i zaangażowań. Przewijały się wśród zwolenników różnych opcji, Staniszkis bowiem, wyrażając poparcie raz pod adresem Kaczyńskiego, raz Tuska, raz obozu prawicy, a raz obozu liberalno-lewicowego, przez ostatnie lata zdążyła się w zasadzie narazić prawie wszystkim. A na pewno obu tym coraz bardziej zwaśnionym, coraz bardziej monolitycznym obozom, z których każdy usiłuje przekonać społeczeństwo, że ten drugi to czyste zło, a dobro i jasność w stu procentach znajdują się tylko po jego stronie.

Tymczasem prof. Staniszkis zdecydowanie odrzucała ów zgrubny podział. A kiedy deklarowała akces do którejś flanki – zazwyczaj tej, która nie była akurat u władzy (co miało również pewien etyczny wymiar) – nie wiązało się to u niej z nienawiścią i pogardą wobec oponentów. Przeciwnie, było związane raczej z pogłębioną, wielostronną analizą procesu politycznego, motywacji, a niekiedy również prywatnej historii danego polityka czy polityków.

Nie było to jednak nigdy kuglarskie psychologizowanie – czyli sprowadzanie mnogości spraw wyłącznie do czyichś indywidualnych uwarunkowań, emocji, problemów lub ambicji – lecz zawsze panoramiczne ujęcie, w którym, owszem, znajdowało się miejsce także dla szczypty psychoanalizy. Efekt, jaki w ten sposób prof. Staniszkis uzyskiwała, stanowił dokładną odwrotność paradygmatu polskich politycznych wojen, bo prowadził do uczłowieczania, odpowiednio, Kaczyńskiego lub Tuska, nie zaś do ich regularnej i zajadłej dehumanizacji.

Już sam fakt, że autorka „Ontologii socjalizmu" starała się mówić o polskiej polityce tak, jakby było to pole, które współtworzą ludzie, a nie ludzie i potwory, ludzie i humanoidy, ludzie i degeneraci, było czymś jak na tutejsze obyczaje niespotykanym. By nie powiedzieć – rewolucyjnym. Nie mniej rewolucyjne było i to, że prof. Staniszkis zmieniała zdanie. Przy czym za każdym razem dobrze wiedziała, dlaczego to robi. I charakterystycznym, rzeczowym, starannie oczyszczonym z afektu tonem tłumaczyła, co się w jej ocenie sytuacji – i z jakiego powodu – zmieniło oraz jakie wartości określają jej polityczne afiliacje.

Tu znowu rzecz niecodzienna: najpierw zestaw wartości jako punkt odniesienia, a dopiero potem partyjne sympatie lub antypatie, w zależności od tego, kto na danym etapie najpełniej te wartości realizuje, a kto wręcz przeciwnie. Również taka kolejność – rzekłbyś: co najmniej zdroworozsądkowa – okazywała się czymś egzotycznym w warunkach totalnej polaryzacji, gdzie sama myśl, że „nasi" mogą czegoś nie robić doskonale albo że „oni" mogą coś robić niezgorzej, uchodzi za najcięższą herezję.

Nic więc dziwnego, że tak właśnie po tych obu stronach ją wspominano, zamiast wobec tego, co mówiła, przyjąć – przede wszystkim z korzyścią poznawczą dla siebie – zgoła odmienną postawę. Np. w miejsce dogmatu, że skoro widziała coś pozytywnego w, odpowiednio, Kaczyńskim bądź Tusku, to znaczy niechybnie, że albo postradała zmysły, albo zdradziła – zadać sobie jedno pytanie. Brzmi ono: a co, jeśli ona w tych ludziach potrafiła dostrzec takie cechy, których my z różnych powodów dostrzec nie byliśmy w stanie? Lub też – mniej lub bardziej świadomie – dostrzec po prostu nie chcieliśmy?

Co, jeśli – przyjmijmy roboczą hipotezę – jej krytyka pod adresem obozu, z którym się identyfikujemy, wynikała nie ze złej woli czy utraty kontaktu z rzeczywistością, lecz z tego, że podobnie jak wszędzie indziej, tak i wśród „nas" ludzie popełniają błędy, powodują się niskimi pobudkami, zachowują podle i wrednie? I co, jeśli jej pozytywna ocena jakichś posunięć i działań „tamtych" brała się z okoliczności, że i „tamtym" zdarzają się czasem dobre uczynki, nie zaś wyłącznie uczynki straszne oraz moralnie odrażające?

Oczywiście wiadomo, że tego typu eksperyment niesie poważne ryzyko wystąpienia dysonansu poznawczego – a jest to stan, którego, jako ludzkość, usiłujemy za wszelką cenę unikać. No ale w tym przecież największa, wydawałoby się, powinność intelektualistów, żeby nie sprzyjać ewolucyjnie w nas zaprogramowanym tendencjom do redukowania dysonansów, lecz raczej żeby te dysonanse – o ile zachodzą po temu zasadne przesłanki – w nas wywoływać. Prof. Staniszkis robiła to przez całe życie bardzo umiejętnie, obudowując każdy dysonans solidną, niekiedy może nawet zbyt solidną, bo dla części odbiorców hermetyczną, analizą. I za to – między innymi – powinniśmy być jej wdzięczni, a nie redukować wywoływane przez nią dysonanse najprostszym sposobem: odsądzając ją od czci i wiary.

Niestety, żyjemy w epoce, w której obowiązuje logika chóru. Ktokolwiek proponuje inną nutę albo też sugeruje, że w tym drugim chórze także potrafią złapać melodię, ten skazuje się na banicję. Problem polega na tym, że najbardziej cierpi na tym jakość wykonania. Chóry odporne na dostrzeganie dysonansów śpiewają coraz gorzej i tylko gorzej. Zarazem jest to znana historyczna prawidłowość, że ludzi burzących utarte szlaki, po których płyną zbiorowe poglądy i emocje, nic dobrego ze strony zbiorowości zazwyczaj nie spotyka. Warto jednak pamiętać, że od tego mamy rozum, żeby się z takich szlaków uwalniać. I Jadwiga Staniszkis była tego wzorcowym przykładem. ©

WIARA

OSTATNIA MISJA HELENY

Sceptycyzm, niedowierzanie i pobłażliwy uśmiech, z jakimi słuchamy opowieści o tej dziewczynie, mówią więcej o nas samych niż o niej.

EDWARD AUGUSTYN

Na filmie, który można znaleźć w serwisie YouTube, Anita i Helena oprowadzają nas po przedszkolu. W Boliwii są od dwóch tygodni. Gdy skończą się wakacje, będą pracować z dziećmi. Na razie sprzątają, dekorują sale, malują na ścianach kolorowe kwiaty i ptaki. Pokazują też dwa małe pokoje, w których mieszkają. Jest 22 stycznia 2017 r. Filmu nie zdążą opublikować. Rodzina znajdzie nagranie w telefonie Heleny.

Ciekawość

– Chciała wyjechać już w październiku – mówi Teresa, starsza o dwa lata siostra Heleny. – Poprosiła w pracy o bezpłatny urlop, ale go nie dostała. Obiecano jej dopiero w styczniu. Mówiła, że jest gotowa się zwolnić, jeżeli znowu jej odmówią.

Pochodzą z Libiąża, miasteczka na granicy Małopolski i Śląska. Mama zmarła półtora miesiąca po urodzeniu Helenki, miała wylew. Tato ożenił się ponownie. Dziewczynki uczyły się dobrze, Helena po trzeciej klasie poszła od razu do piątej. Obie chodziły do szkoły muzycznej.

– Byłyśmy samodzielne jak na swój wiek – mówi Teresa. – Ale Helenka była odważniejsza ode mnie. Wchodziła w każdą dziurę, w którą ja się bałam wejść. W drugiej klasie podstawówki wygrała w konkursie matematycznym „Kangur" wycieczkę do Legolandu. Pojechała na nią sama, bez rodziców. Gdy jako licealistka wyruszyła do szkoły w Anglii, tato odprowadził ją tylko na lotnisko. A musiała nie tylko dolecieć, ale też poradzić sobie na miejscu, znaleźć pociąg itd.

W ostatniej klasie gimnazjum Helenka usłyszała o stypendium Towarzystwa Szkół Zjednoczonego Świata. Zgromadziła wszystkie dokumenty i wysłała zgłoszenie.

– Nie dostała się – wspomina Teresa. – Przyznano jej tylko częściowe stypendium, ale to były drogie szkoły. Dla naszych rodziców finansowo nieosiągalne. Modliłyśmy się, żeby ją jednak przyjęli. Co było może naiwne, bo wyniki już ogłoszono.

Helenę zapamiętał jeden z dyrektorów, który uczestniczył w trzecim, ostatnim etapie rekrutacji. W czasie rozmowy kwalifikacyjnej, odpowiadając na różne pytania, powiedziała, że gdyby nie mogła w Anglii chodzić na mszę i modlić się, zrezygnowałaby ze stypendium. To zrobiło na nim wrażenie. Zapytał kolegę, dyrektora szkoły katolickiej, która nie brała udziału w programie, czy nie przyjąłby 16-latki z Polski.

W prestiżowej Leweston School w Sherborne uczyła się dwa lata. Maturę zdała z najwyższym wynikiem. Przodowała zwłaszcza w naukach ścisłych.

– Chciała zawsze robić coś nowego, iść do przodu – mówi Teresa. – Nie potrzebowała do tego żadnej zachęty. Wystarczyła ciekawość i przeświadczenie, że to, co chce zrobić, jest dobre.

Zapał

„Jeśli nie Oksford, to nic" – powiedziała po nieudanej próbie dostania się na słynny uniwersytet. Postanowiła wrócić do domu, choć nauczyciele z Leweston School namawiali ją na inne uczelnie w Anglii. Ale chciała studiować w języku angielskim, więc z nielicznych ofert, jakie były w Polsce, wybrała inżynierię chemiczną w Gliwicach. To okazało się pomyłką. Dotrwała do końca, nawet z dobrymi wynikami i naukowym stypendium, ale z poczuciem marnowania czasu, którego nigdy nie miała, pochłonięta tysiącem spraw i pomysłów.

W czasie studiów skończyła szkołę muzyczną II stopnia w klasie wokalnej, działała w duszpasterstwie akademickim, Katolickim Zrzeszeniu Akademickim, świetlicy Caritas, scholi akademickiej, którą sama stworzyła, Wolontariacie Misyjnym Salvator (WMS). Znajomi zapamiętali ją jako osobę w ciągłym biegu, która na spotkania wpadała spóźniona i wychodziła przed innymi, bo była umówiona gdzie indziej. A znajomych miała wielu. Znalezienie w weekend 150 osób do przeczytania Księgi Psalmów – nagranie miało być prezentem dla jej taty – nie było dla niej większym problemem.

Ci, którzy znali ją tylko z jednego, własnego kręgu, nie mieli pojęcia o jej pozostałych aktywnościach. Nie była wylewna i nie lubiła o sobie mówić. Gdy kiedyś, w duszpasterstwie akademickim, opowiedziała o wyjeździe do Afryki i pracy z dziećmi ulicy, patrzyli z niedowierzaniem. Jedynie ci, którzy byli z nią bliżej, wiedzieli, jaki to barwny – i wolny – ptak.

„Chciała chodzić na hiszpański, chodziła. Chciała uczyć się tańca, tańczyła. Chciała iść w góry – z dnia na dzień organizowała ekipę. Robiła to, co sprawiało jej radość" – mówił Michał, jej chłopak.

To ona miała najlepsze pomysły na imprezy urodzinowe i świętowanie egzaminów – z przebraniami, dekoracjami i własnoręcznie robionymi prezentami. To ona organizowała przyjęcia ślubne znajomym – począwszy od przygotowania sali, przez śpiew w kościele, prowadzenie zabawy na weselu, aż po sprzątanie po gościach. To ona zwoływała przyjaciół na śpiewanie Godzinek przed poranną mszą i wspólne śniadanie po niej. To dzięki niej wiele osób pomyślało, że warto mieć marzenia i je spełniać – od wyboru ambitnych studiów zaczynając, na wyjazdach do dalekich krajów kończąc.

Tylko jej wciąż czegoś brakowało do szczęścia. Powiedziała siostrze, że z wszystkich stypendystów Towarzystwa Szkół Zjednoczonego Świata ona skończyła najgorzej.

Wiara

Po studiach została stewardesą. Sądziła, że pogodzi pasję do podróżowania z zarabianiem pieniędzy. Przyjaciele widzieli, jak była zmęczona tą pracą. Bo stylu życia nie zmieniła – na spotkania nieraz przychodziła prosto z samolotu, w różowym mundurku Wizz Air. Pakowała go do plecaka nawet na pielgrzymkę – w drodze do Częstochowy przebierała się i jechała na lotnisko, by po rejsie znów wrócić do wędrowania.

W pracy nie wszyscy podzielali jej poglądy, ale nikogo nie nawracała ani nie przekonywała na siłę. „Helenka nie wstydziła się wiary, ale też się z nią nie obnosiła" – mówił jej chłopak. Wiara Heleny była niezachwianym zaufaniem do Boga, którego obecność odczuwała w każdej chwili, więc nie martwiła się niepotrzebnie i na zapas.

Obraz, z jakim najczęściej się spotykamy, myśląc o Helenie Kmieć, powstał w oparciu o wspomnienia jej najbliższych (rodzice, siostra, wujek-biskup, chłopak, przyjaciele z duszpasterstwa i WMS), zebrane w książce „Helena. Misja możliwa" (wyd. Salwator 2017) w pierwszych tygodniach po śmierci dziewczyny. Nic dziwnego, że jest w niej pokazana jako osoba niemal bez wad: wybitnie uzdolniona, pracowita, skromna, konsekwentna, wrażliwa, delikatna, bezkonfliktowa, mocnej wiary i zdecydowanych poglądów. ↦

Helena Kmieć, marzec 2016 r.

FUNDACJA IM. HELENY KMIEĆ / MATERIAŁY PRASOWE

ARCHIWUM PRYWATNE

Powyżej: Anita i Helena (z prawej) w przedszkolu w Cochabamba, styczeń 2017 r.
Poniżej: Helena Kmieć na misji w Zambii, wrzesień 2013 r.

FUNDACJA IM. HELENY KMIEĆ / MATERIAŁY PRASOWE

↦ To pewnie obraz wyidealizowany. Ale czy dodanie do niego ciemniejszych barw, których zresztą ona widziała u siebie dużo więcej niż inni, uczyniłoby go prawdziwszym? Czy nadaktywność, o której niektórzy mówili, beztroska, wygórowane ambicje, odkładanie spraw na ostatnią chwilę, to wady, które kładą się cieniem, czy przywilej młodości? Mówimy o dziewczynie, której charakter i poglądy właśnie w tym czasie się kształtowały. Która intensywnie nad sobą pracowała. Która zmieniała się – dojrzewała – z każdym rokiem. Inny jej obraz mieli rodzice i siostra („o wielu rzeczach dowiedzieliśmy się dopiero po jej śmierci" – mówił tata), inny znajomi z duszpasterstwa czy pracy, a jeszcze inny – przyjaciele czy kierownik duchowy.

Można uznać ten obraz za nierzeczywisty. Choć pewnie każdy z nas znał podobne osoby – pełne młodzieńczego zapału, żywiołowej aktywności i gorącej wiary. Może niektórzy w historii Heleny Kmieć odnajdą wspomnienie o samych sobie. Sceptycyzm, niedowierzanie i pobłażliwy uśmiech, z jakimi przyjmujemy opowieść o 25-letniej aktywistce, być może więcej mówią o nas samych niż o niej.

Powołanie

„U salwatorianów znalazła swoje miejsce na ziemi" – wspominał tato Heleny.

Przyjście do WMS w 2012 r. odmieniło jej życie. Została liderką regionu śląskiego, odpowiedzialną za organizację pracy: spotkania formacyjne, zbiórki pieniędzy, kiermasze, produkcję rękodzieła, które na nich sprzedawano. Tu najlepiej było widać zmianę, jaka się w niej dokonała. Do WMS trafiła w poszukiwaniu przygody, jak większość. Po pięciu latach wszyscy wiedzieli, że dla niej to rzecz dużo bardziej poważna.

Pierwszy wyjazd na misję, zgodnie z zasadami WMS, powinien być krótki i bliski. Helena wyruszyła na Węgry, gdzie pracowała na półkoloniach z dziećmi. Rok później była już w Lusace, gdzie przez dwa miesiące uczyła nastoletnich bezdomnych angielskiego i matematyki, ale też pod opieką „mamy Carol", 60-letniej Amerykanki szefującej misji Action For Children Zambia, opatrywała rany dzieciom ulicy i zwoziła je do szkoły.

Z Afryki wróciła chora. W trakcie badań prowadzonych pod kątem chorób tropikalnych wykryto u niej wrodzoną wadę serca. Od tej pory była przekonana, że misje uratowały jej życie – przeszła operację, wadę usunięto wraz z fragmentem płuca.

Potem pojechała jeszcze do Timișoary w Rumunii, ale w głębi duszy marzyła już o dłuższym, co najmniej półrocznym pobycie w Ameryce Południowej. Decyzję podjęła podczas rekolekcji ignacjańskich. Do wyjazdu namówiła Anitę.

Marzenie

Anita również trafiła do WMS przez duszpasterstwo akademickie. Była studentką ostatniego roku fizjoterapii, pracowała już w zawodzie. O misjach w Ameryce Południowej słyszała od dziecka – rodzice przyjaźnili się z franciszkaninem, który tam pracował. Dlatego od razu podchwyciła pomysł Heleny.

– Czekałam na ten wyjazd – mówi Anita. – Cieszyłam się, że jadę z Heleną. Ona wciąż była w biegu. Wiedziałam, że tam będziemy mogły lepiej się poznać. Byłyśmy na podobnym etapie życia, miałyśmy wiele wspólnych tematów. Bardzo się zbliżyłyśmy.

Anita uważa ten czas za jeden z najpiękniejszych w jej życiu. Dzień zaczynały mszą o 6.30, potem śniadanie, praca, obiad u sióstr, godzinna przerwa na kontakt z bliskimi przez internet, potem znów praca do kolacji, a po niej długie rozmowy.

Budynek przedszkola był dopiero co wybudowany, musiały go wysprzątać, umyć 40 okien, dokończyć malowanie ścian, ustawić meble i zabawki. Były zmęczone, ale szczęśliwe.

– Miałyśmy takie marzenie, żeby codziennie zachwycić się choć jedną, drobną rzeczą. Raz, gdy szłyśmy na obiad drogą wśród kwiatów, podleciał do nas koliber. Jedno z małych marzeń się spełniło. Czułam radość, wdzięczność i niedowierzanie – że tam jestem, że to się dzieje naprawdę – wspomina Anita.

Zaprzyjaźniła się z Heleną. Spędzały ze sobą całe dnie, przegadały wiele godzin. Dużo w tym było radości, ale też trochę łez. Ze słów Anity wyłania się nieco inny

i bardzo ludzki obraz Heleny. Nie była ani herosem, którego nie łamią przeciwności losu, ani lekkoduchem, który nie martwi się o swoją przyszłość. Bardziej: kruchą kobietą, doświadczającą wielu emocji. Opowiadała o pracy stewardesy – że nie jest dla niej, a ona wciąż nie wie, co naprawdę chce robić i jakie jest jej powołanie. O rodzinie – tej, którą miała, i tej, którą chciałaby założyć. I o tym, że właśnie z tego powodu Boliwia ma być jej ostatnią misją.

Przypadek

Była godz. 1.27 w nocy z 23 na 24 stycznia 2017 r. Siostrę Bejzymę Jodłowską, nadzorującą pracę wikariatu misyjnego w Cochabamba, obudził telefon. W słuchawce usłyszała przeraźliwy krzyk Anity.

Z klasztoru do przedszkola było kilkadziesiąt metrów. Gdy s. Bejzyma dobiegła na miejsce, Helena leżała w kałuży krwi, przyjaciółka próbowała ją ratować.

Anita zeznała w przesłuchaniu, że obudził ją hałas. Wybita ze snu, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to krzyk Heleny. Sięgnęła po komórkę, ale była rozładowana. Zaświeciła światło i wyszła na korytarz. Z pokoju przyjaciółki wybiegł człowiek. Stanęli twarzą w twarz. Nie uderzył jej, nie odepchnął. Uciekł.

Jeszcze tej samej nocy policja zatrzymała 21-letniego bezdomnego, w którym Anita rozpoznała napastnika. Przyznał się do morderstwa i zadania 14 ciosów nożem wolontariuszce. Jego zeznania, na prośbę rodziny Heleny, zostały utajnione. Wiadomo, że zabójstwo nie miało podłoża seksualnego. Mówiono, że przestępca szukał w budynku rzeczy, które mógłby sprzedać, a na wolontariuszkę natknął się przypadkowo. I że był pod wpływem narkotyków. Za zabójstwo skazano go na 30 lat więzienia.

Misja

– Czasem wspomnienia wracają – mówi Anita. – Myślę, że zostaną ze mną do końca życia. Ale dziś jest już łatwiej. Kilka tygodni po tamtych wydarzeniach poznałam mojego obecnego męża, który pomógł mi przejść przez najtrudniejsze dni. Pomoc rodziny i wsparcie bliskich były nieocenione. Potrzebowałam też pomocy specjalistycznej.

O tym, że mogła zginąć ona, a nie Helena, stara się nie myśleć. Nie doszukuje się w tym jakiegoś sensu. Pamięta, że wtedy, po wszystkim, weszła do kaplicy i otworzyła Pismo Święte. Trafiła na tekst Księgi Mądrości, który zaczyna się od słów: „A sprawiedliwy, choćby umarł przedwcześnie, znajdzie odpoczynek”.

– To była pierwsza pomoc w tamtym czasie. I pierwsza próba zrozumienia. Jeśli w ogóle można tak powiedzieć.

Nie straciła wiary w Boga, nie zraziła się do wolontariatu misyjnego. Nawet zastanawiali się z mężem, czy nie pojechać razem do Boliwii. Życie potoczyło się inaczej – została mamą.

– Jestem wdzięczna Helenie za te dwa tygodnie, które spędziłyśmy razem – mówi. – I przekonana, że ona dalej prowadzi swoją misję: przyciąga ludzi do Boga, przypomina im, co ważne, i ile jest jeszcze do zrobienia. Przekonałam się, jak bardzo kruche jest życie i jak mocno trzeba o nie dbać. Jak ważne jest, by być blisko ze swoją rodziną. Jak warto być uważnym na drugiego człowieka. Świętość to normalność, a nie tylko robienie wielkich rzeczy. Dlatego zwykła codzienność ma takie znaczenie.

Świętość

Pytam Teresę, co zmieniło się w jej życiu po śmierci siostry. Długo zastanawia się nad odpowiedzią.

– Uświadomiłam sobie, że muszę uważać, co mówię do ludzi i jak ich traktuję. Bo każde spotkanie może być ostatnie. Doceniłam też, może zbyt późno, co to znaczy mieć siostrę. Spotykam czasem ludzi, którzy mają rodzeństwo, ale się z nim nie dogadują. Gdy słyszę takie historie, myślę sobie: człowieku, masz rodzeństwo, taki skarb! Ile ja bym dała, żeby mieć znów siostrę przy sobie. Nawet gdybyśmy się kłóciły. Żeby tylko była.

Na beatyfikację nie czeka, bo – po pierwsze – wie, że to może potrwać bardzo długo. A po drugie – niczego nie zmieni w jej podejściu do Heleny. Ale będzie trzymać kciuki. Jak za młodszą siostrę. ↦

Ks. Paweł Wróbel: Nie działać pod wpływem emocji

PROCES BEATYFIKACYJNY Heleny Kmieć rozpocznie się 10 maja 2024 r. Poprzedził go etap przygotowawczy, który zaczął się pięć lat po śmierci – to wymagany przez prawo czas, jaki należy odczekać, by nie działać pod wpływem emocji oraz by utrwaliła się „opinia świętości” (przekonanie wiernych, że kandydatka na ołtarze żyła w sposób święty) i „opinia znaków” (wiara, że za jej wstawiennictwem Bóg udziela łask).

Na etapie przygotowawczym zebrano dokumenty o życiu kandydatki i zbadano jej pisma. W przypadku Heleny, tak samo jak innych współczesnych młodych kandydatów na ołtarze, to również maile i wpisy w mediach społecznościowych, które zebrano za zgodą adresatów i z poszanowaniem prywatności. Materiały zostały zbadane przez teologów, którzy wydali opinię o zgodności życia i pism Heleny z nauką Kościoła.

Na tym etapie zdecydowano też, że proces będzie prowadzony pod kątem heroiczności cnót, a nie męczeństwa.

WSD SALWATORIANÓW / / MATERIAŁY PRASOWE

Ks. dr Paweł Wróbel SDS jest postulatorem procesu Heleny Kmieć.

Do uznania śmierci za męczeńską konieczna jest m.in. pewność, że działanie sprawcy podyktowane było nienawiścią do wiary lub tego, co z wiary wynika. W tym przypadku takiego motywu nie było.

Rozpoczęcie procesu nie przesądza o beatyfikacji. Trybunał będzie przesłuchiwał świadków i badał zebrane dokumenty, które po zakończeniu etapu diecezjalnego zostaną przesłane do Stolicy Apostolskiej. Zwieńczeniem etapu rzymskiego będzie wydanie dekretu o heroiczności cnót, ale do wyniesienia na ołtarze konieczny będzie jeszcze cud, na który czasem czeka się wiele lat.

©℗ Notował EDWARD AUGUSTYN

– Myślę, że Helenka też podeszłaby do tego z humorem. Pewnie powiedziałaby, że wiele innych osób bardziej na to zasługuje. Owszem, mówiła, że chce być świętą, ale chodziło jej o święte życie, o to, by być blisko Boga. Pamiętam taką sytuację, gdy obroniła dyplom w szkole muzycznej. Rodzice byli bardzo dumni, nagranie z koncertu pokazywali wszystkim gościom. Raz Helenka wróciła do domu właśnie w takiej chwili. Otwierałam jej drzwi i widziałam, jak przewróciła oczami, gdy to usłyszała. Miała świadomość, że jej dyplom nie był doskonały, więc pewnie słyszała w nagraniu głównie swoje błędy. Myślę, że z beatyfikacją byłoby podobnie.

Pytam, czy rozmawia z Heleną albo do niej się modli.

– Modlę się do Boga. Choć często za pośrednictwem świętych. Do Helenki czasem coś mówię, ale nigdy nie dostałam żadnej odpowiedzi. Więc raczej mówię oznajmująco, nie pytam. Nie mam od niej żadnych natchnień. Powierzam jej różne sprawy, najczęściej takie na szybko. Zrobiłam z niej swoją patronkę od błyskawicznych interwencji. Ale raczej nie będę do niej mówić: „Błogosławiona Heleno Kmieć". Jest moją młodszą siostrą, to chyba mogę do niej mówić po imieniu.

Anita uważa, że Helena mogłaby być patronką spraw niemożliwych, tak po ludzku, bo wiele razy pomagała w takich sytuacjach tym, którzy tego potrzebowali. I może jeszcze od spełniania małych marzeń.

Światło

Na ostatnim filmie z Boliwii dziewczyny pokazują wymalowane przez siebie ściany przedszkolnych sal i korytarza. „A to jest koliber, którego Anitka malowała prawie 8 godzin – mówi Helena. – Jest jak żywy. Co możemy potwierdzić, bo spotkałyśmy go już osobiście".

Skrzydła kolibrów poruszają się nawet 90 razy na sekundę, a ich serce uderza 500 razy w ciągu minuty. Osiągają prędkość do 120 km na godzinę. Potrafią latać w bok i do tyłu, a nawet unieść się pionowo w górę. Ich pióra mają tylko dwa kolory – czarny i brązowy – ale rozszczepiają światło, co nadaje im wielobarwny wygląd.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Diecezja jak pole minowe

BP ARTUR WAŻNY, NOWY BISKUP SOSNOWIECKI:

Nie będę tchórzem. Jeśli będzie trzeba podejmować trudne decyzje, będę to robił.

ARTUR SPORNIAK: Czy długo Ksiądz Biskup zastanawiał się, zanim zgodził się przyjąć nominację na biskupa sosnowieckiego?

BP ARTUR WAŻNY: Nuncjusz najpierw raz rozmawiał ze mną i była to rozmowa niezobowiązująca – raczej poznanie się i budowanie relacji. Myślę, że takie rozmowy są ważne dla niego, ponieważ on nie zna za dobrze polskich biskupów. Propozycja padła dopiero podczas drugiej rozmowy, o którą zostałem poproszony. Domyślałem się, że chodzi o Sosnowiec, bo to jest pierwsze miejsce do obsadzenia.

I od razu się Ksiądz Biskup zgodził?

Pytałem, czy mam jakiś czas do zastanowienia. Nuncjusz odpowiedział, że oczywiście, ale dodał, że argumentem do namysłu byłyby problemy zdrowotne czy ukryte sprawy, które by moją decyzję blokowały. Papież zadecydował – wybrał mnie, więc się zgodziłem.

Z diecezją sosnowiecką – zwłaszcza ostatnio – związane są liczne skandale. Co zdaniem Księdza Biskupa będzie najtrudniejsze?

Może to zabrzmi dziwnie, ale z tą diecezją kojarzą mi się przede wszystkim imiona i twarze znajomych osób, a nie sprawy, które mogą być trudne. Przed bolesnymi wydarzeniami najpierw są relacje z ludźmi.

Kim są te osoby?

To ludzie zaangażowani w życie Kościoła, działający w różnych wspólnotach. Poznałem ich w ramach pracy Zespołu ds. Nowej Ewangelizacji przy episkopacie. Poza tym znam paru księży pochodzących z diecezji tarnowskiej, pracujących w diecezji sosnowieckiej.

Po dymisji bp. Kaszaka w październiku zeszłego roku wakat w Sosnowcu trwał aż pół roku. Wśród księży mówi się, że wielu odmówiło przyjęcia nominacji ze względu na trudną sytuację w diecezji.

Nie wiem, czy nuncjusz wcześniej komuś jeszcze składał propozycje – nie mam takich informacji. Być może. Ja jestem wdzięczny abp. Adrianowi Galbasowi, który w tym czasie pełnił funkcję administratora diecezji, że przygotował grunt pod moje przyjście. Przeprowadził wiele rozmów z ludźmi, zwłaszcza z kapłanami. Właśnie wybieram się do Katowic porozmawiać z arcybiskupem. Potem w Sosnowcu mam się zobaczyć z pracownikami kurii, a następnie w Częstochowie z naszymi klerykami, którzy tam się uczą – to dla mnie bardzo ważne. Spotkam się też z karmelitankami, bo bez wsparcia ich modlitwy moje starania będą płonne. Na koniec mam spotkanie w Czeladzi z grupą około pięćdziesięciu księży, których wcześniej zaprosił abp Adrian.

Media zarzucają metropolicie katowickiemu, że w ciągu tego pół roku niewiele zrobił jako administrator – np. nikogo nie zdymisjonował. Na czym polegało to „przygotowywanie gruntu" dla Księdza Biskupa?

Z mojej perspektywy – jako tego, który teraz tam przychodzi – taka powściągliwość była czymś pozytywnym. Abp Adrian wykonał dużo pracy, której nie widać na zewnątrz – nie miała charakteru urzędowego, tylko apostolski, była nastawiona na naprawianie relacji, np. spotykał się z tymi, którzy czuli się skrzywdzeni, oburzeni, zawstydzeni.

Głównym problemem jest podział wśród księży – czy tak?

Tego jeszcze nie wiem. Będę badał sytuację, a przede wszystkim słuchał, co ludzie mają do powiedzenia. Z jednej strony są fakty opisywane w mediach i one mają

ROMAN KOSZOWSKI / FOTO GOŚĆ

BP ARTUR WAŻNY (ur. 1966) pochodzi z Ropczyc na Podkarpaciu. W 1991 r. przyjął święcenia kapłańskie. Był duszpasterzem młodzieży i akademickim, opiekował się małżeństwami niepłodnymi i rodzicami po stracie dziecka. Był także diecezjalnym egzorcystą. Od 2020 r. biskup pomocniczy tarnowski. Jest przewodniczącym Zespołu Episkopatu ds. Nowej Ewangelizacji. Gdy Watykan zdymisjonował abp. Andrzeja Dzięgę za tuszowanie przypadków pedofilii, bp Ważny początkowo jako jedyny hierarcha publicznie skrytykował metropolitę szczecińskiego za to, że próbował ukryć rzeczywiste powody przejścia na wcześniejszą emeryturę. Metropolita katowicki abp Adrian Galbas, który przejął tymczasowo kierowanie diecezją sosnowiecką po dymisji bp. Grzegorza Kaszaka spowodowanej skandalami seksualnymi w diecezji, w liście do diecezjan napisał: „Bp Artur na pewno nie jest tchórzem i nie będzie uciekał od spraw trudnych”.

swoją wartość, bo pokazują trudną rzeczywistość. A z drugiej strony ludzie żyją w tej rzeczywistości swoją wiarą i mimo trudności dzieje się wiele dobra.

Jakie planuje Ksiądz pierwsze kroki?

Chciałbym najpierw poznać środowisko kapłanów, potem wspólnoty istniejące w diecezji, a więc na pewno spotkam się z ich liderami. Oczywiście ważna jest także troska o seminarium.

W 2013 r. po watykańskiej wizytacji związanej z aferą, której negatywnym bohaterem był m.in. rektor, seminarium zostało przeniesione do Częstochowy. Czy będzie Ksiądz Biskup chciał jego powrotu do Sosnowca?

Jak Pan Bóg pobłogosławi powołaniami. W tym roku będę święcił tylko jednego diakona na kapłana.

Jak Ksiądz Biskup będzie postępować z księżmi prowadzącymi podwójne, niemoralne życie?

Jeśli ich czyny będą przestępstwami, to nie ma dwóch zdań – będę reagować ostro i jasno. W pozostałych przypadkach reakcja będzie zależała od konkretnej sytuacji. Mój profesor z seminarium dał mi radę: „Pamiętaj, aby każdą sprawę kapłana najpierw przemodlić na kolanach”. Chodzi o to, by pochopnie nie reagować. Gdy byłem proboszczem w diecezji tarnowskiej, zdarzało się, że biskupi powierzali mi zadanie towarzyszenia kapłanom, którzy mieli kłopoty z życiem moralnym. Gdy wszyscy trzej spotykaliśmy się potem w różnych okolicznościach, wystarczyło, że biskup pytająco spojrzał na takiego księdza, a wtedy on albo pokazywał kciuk do góry, albo na dół. W drugim przypadku brał go na kolejną rozmowę. Takie ojcostwo, którego byłem świadkiem, było dla mnie pouczające. Wszystko zależy od tego, jakie są te nasze słabości i jaka jest też wola naprawy, bo każdy jest grzesznikiem. Gdy ktoś ma doświadczenie zbawienia, a nie skrzywdził ludzi w taki sposób, że nie da się z tym nic zrobić, to potem pięknie pracuje.

Niedawno ks. Tomasz Z., który zorganizował orgię na plebanii w Dąbrowie Górniczej, podczas której zemdlał mężczyzna, został skazany na 1,5 roku więzienia za nieudzielenie pomocy. Powiedzmy, że za dobre zachowanie wróci po roku do diecezji – i co Ksiądz Biskup z nim zrobi?

W tej chwili nie wiem. Pewno będę musiał się bardzo dobrze zastanowić i poradzić też kanonistów, jak postępuje się z księżmi, którzy popełnili przestępstwo i zostali skazani przez świeckie sądy.

Obecnie śledztwo toczy się przeciwko ks. Krystianowi K., w którego mieszkaniu zmarł młody mężczyzna, a policja znalazła narkotyki. Był on wiceoficjałem sądu biskupiego, czyli zastępcą kanonisty kierującego sądem diecezjalnym. Ks. Tomasz Z. z kolei był redaktorem pisma diecezjalnego. Media spekulują, że księża o homoseksualnych skłonnościach wzajemnie się wspierają i kryją, dlatego robią kościelne kariery. Co Ksiądz z tym zrobi?

Abp Galbas w liście do diecezjan po mojej nominacji napisał prawdę. Raczej nie będę tchórzem. Jeśli będzie trzeba podejmować trudne decyzje, będę to robił. Nawet dla dobra tych ludzi, bo o ich zbawienie też chodzi. Ale przede wszystkim chodzi o innych. ©℗

Twoja religia została zaktualizowana

PIOTR SZYMANEK

Wykorzystywanie nowych technologii w kontekście religijnym budzi co najmniej nieufność. Czy nowoczesna wiara przeniesie się do świata wirtualnego, gdzie cyfrową trzodę prowadzić będzie cyfrowy pasterz?

Aplikacja „Muslim Pro", opatrzona atrakcyjną, minimalistyczną ikonką przedstawiającą meczet z dwoma minaretami, została pobrana ponad 160 mln razy. Jej podstawową funkcją jest wspomaganie postu w okresie Ramadanu. Użytkownik może zdecydować, czy chce być powiadamiany np. o porze iftaru (zachodu słońca), gdy można spożyć pierwszy posiłek, jak i imsaku (pierwszego promienia światła) – osąd ludzkiego oka, podatnego na błąd, zastąpiono astronomiczną precyzją. Dodatkowo aplikacja umożliwia skorzystanie z kalkulatora zakatu (obowiązkowego podatku na rzecz gminy muzułmańskiej), a od niedawna skory do pogłębienia swej wiedzy wierny może również porozmawiać z AiDeenem – sztuczną inteligencją biegłą w tajnikach Koranu.

Mechaniczny różaniec

To, co jeszcze do niedawna brzmiało niczym apologetyczna przestroga, dziś jest już rzeczywistością, choć, rzecz jasna, adaptacja współczesnej techniki na użytek wiary nie każdemu jest w smak. Głównym powodem jest zapewne to, że aplikacje, ekrany i elektronika zdają się odwracać naszą uwagę od sedna wiary; upraszczać coś, co powinno być głęboko angażujące; pozwalać na zetknięcie, a nawet wymieszanie się sfer *sacrum* i *profanum*. Dla przykładu prompter w kościele sprawia, że zapamiętywanie tekstu pieśni staje się niepotrzebne, głośnik umieszczony na zewnątrz budynku pozwala brać udział w mszy z dala od ołtarza, gdzie uwagę pochłania świeckie otoczenie, a ofiara przy pomocy karty kredytowej pozbawia nas fizycznego poczucia przekazania środków na Kościół.

Zdarza się jednak i tak, że nawet nie elektroniczna, a czysto mechaniczna technologia wzbudza sprzeciw instytucji religijnej. W artykule opublikowanym w piśmie „Diskus" Jan Krátký, religioznawca z Uniwersytetu Masaryka w Brnie, przeprowadził studium przypadku sznura modlitewnego używanego przez wisznuistów Gaudiya. Wierni z tej gałęzi hinduizmu praktykują wyjątkowo angażującą Maha Mantrę, w której odmawia się 16 cykli modlitewnych z użyciem 108 paciorków sznura modlitewnego – w sumie daje to 1728 odmówionych modlitw w ciągu dnia. W ciągu ostatnich lat niektórzy wisznuici zaczęli praktykować mantrę w nowy sposób: zamiast na wisznuickim „różańcu", postanowili odliczać modlitwy przy pomocy mechanicznego licznika złożonego z pojedynczego przycisku i oznaczonych kolejnymi cyframi trybików. Zdawałoby się, że to żadna różnica – ostatecznie oba przyrządy służą do liczenia. Jednak „analogowość" sznura modlitewnego skrywa w sobie jego bardzo istotną funkcję: skupiania uwagi na modlitwie, której mechaniczny licznik nie posiada. Odpowiedź ze strony organizacji zrzeszającej wisznuitów była szybka: uznano, że użycie mechanicznego licznika zaciera sens rytuału i marginalizuje jego znaczenie.

Tymczasem korporacja Metaverse otworzyła pierwszy kościół w wirtualnej rzeczywistości.

Boży awatar

Bezpieczna interpretacja słów Mateusza – „Bo gdzie dwóch lub trzech jest zebranych w moje imię..." (Mt 18, 15–20) – obejmuje tylko fizyczną obecność wiernych. Współcześnie jednak, by zapożyczyć termin od Michała Ostrowickiego (w wirtualnym świecie znanego jako Sidey Myoo), profesora filozofii z Uniwersytetu Jagiellońskiego, coraz częściej mamy do czynienia z „teleobecnością", którą umożliwiają środki dalekiego przekazu. Udział w mszy za pośrednictwem telewizji czy radia to jedno – od czasu pandemii bowiem każdy właściciel hełmu do wirtualnej rzeczywistości może pomodlić się w wirtualnej, średniowiecznej katedrze. „Prywatna przestrzeń dla Twojej duszy" – mówi opis oprogramowania załączony na stronie. Jeśli jednak samotna modlitwa nie wystarcza, kolejnym krokiem na drodze „nowoczesnej wiary" jest dołączenie do społeczności wiernych w wirtualnym świecie. Pozwala na to między innymi projekt „VR MMO Church", którego celem – jak podaje producent – jest kultywacja wspólnoty religijnej w całym Metaverse, wirtualnej przestrzeni zarządzanej przez firmę o tej samej nazwie.

Wirtualny kościół to niecodzienny widok. Zacznijmy od tego, że można dołączyć do niego, korzystając z dowolnego awatara – wizualno–dźwiękowej reprezentacji swojej osoby. Jak pokazują filmy na oficjalnym kanale projektu, mamy tu więc rekolekcje z interpretacją psalmów prowadzone przez trójwymiarową postać z anime; w tłumie wiernych słów prowadzącego słucha żołnierz w zbroi Halo z ogonem Pikachu oraz wielkogłowy obcy w typie „zielonego ludzika". Na innym wideo schematyczne awatary przywodzące na myśl postaci z „South Parku" udzielają sobie nawzajem chrztu w wirtualnej wodzie. Wreszcie, grupka humanoidalnych zwierząt zasiada razem do komunii, gdzie dzielą się wirtualnym chlebem, jednocześnie spożywając fizyczne pieczywo we własnym, niekontrowersyjnie prawdziwym domu.

Obrazy te rodzą kilka podstawowych pytań. Pierwszą kwestią jest, rzecz jasna, wspomniany już dysonans pomiędzy doczesnością technologii wirtualnej rzeczywistości a sakralnością. Z jednej strony można mieć wątpliwości, czy rozmowa o Piśmie Świętym lub nawet rytuał mogą być podjęte z wystarczającą powagą, gdy wokół nas skacze trójwymiarowa reprezentacja Tygryska z „Kubusia Puchatka".

SHUTTERSTOCK

Jednak nawet gdy usuniemy z równania problem awatarów, sam fakt, iż wirtualna rzeczywistość jest silnie zabarwiona rozrywkowym charakterem, może dla wielu skreślać ją z listy „dozwolonych" środków praktyki religijnej. Niemniej, trzeba mieć na uwadze, że użytkownicy wirtualnego kościoła zdają się uczęszczać do niego nie w celu rozrywki – mogliby w tym czasie odziani w szaty swojego awatara ostrzeliwać się na froncie wojennym albo grać w wirtualnego tenisa. Cel *uświęca* środki?

Buddysta–robot

A skoro o grach mowa, w znanej grze „Overwatch" firmy Blizzard możemy wziąć udział w drużynowych starciach jako jeden z członków tytułowej organizacji, która strzeże pokoju w niedalekiej przyszłości. Wśród bohaterów tych wyróżnia się Zenyatta, świadomy robot–mnich, zainspirowany stereotypowym obrazem tybetańskiego buddysty. Podczas gry Zenyattą usłyszymy od niego m.in., iż „przywiązanie jest źródłem wszelkiego cierpienia" i że należy „zaakceptować swój ból". Pomijając ewentualne zastrzeżenia dotyczące dobrego smaku, Zenyatta reprezentuje w „Overwatchu" ideę, iż sztuczna inteligencja może stać się religijna. Do tego zapewne nam daleko, ale pierwszy robot–buddysta już istnieje – i nazywa się Xian'Er.

Xian'Er to malutki robocik zaprojektowany przez chińskich inżynierów pod czujnym okiem buddystów z Pekinu. Jak mówią sami twórcy, Xian'Er został stworzony, by popularyzować nauki buddyjskie i jest wystarczająco „inteligentny", by recytować mantry oraz wchodzić w interakcje z ludźmi. Niestety, ogranicza go skromna liczba zaprogramowanych zapytań – około 100 – w związku z czym odpowiedzi nie są zbyt trafne i często się powtarzają. Zapytany o swoje pochodzenie, Xian'Er odpowiada pytaniem: „Jak mógłbym powiedzieć coś na temat, o którym nawet ludzie nic nie wiedzą?". Daleko mu jeszcze do Zenyatty, ale wszystko jest na dobrej drodze.

Tym, którzy sami chcieliby odbyć podobną konwersację, można polecić między innymi „AI Buddhę", aplikację na smartfona z czatem zaprogramowanym do udzielania buddyjskich porad duchowych. Osoba poszukująca głębokiej, znaczącej wymiany może się zawieść – nie jest to nawet poziom ChatuGPT, który i tak nie grzeszy (sztuczną) inteligencją. Niemniej, na pytania takie jak to, co robić, by pozbyć się cierpienia, lub którędy wiedzie droga do oświecenia, AI Buddha odpowiada sprawnie i empatycznie. W naszym kręgu kulturowym również nie brakuje podobnych aplikacji oferujących interaktywne porady duchowe. Jedną z bardziej interesujących jest „Bible AI Chat", który pozwala na rozmowę z różnymi postaciami z Biblii. Mamy tu np. Ewę, która już na wstępie zaznacza, że jest „tą, która zaczęła *to wszystko*". Spytana, kto jest winny „sprawy jabłka", Ewa odpowiada, że podjęła wybór, który miał swoje konsekwencje, ale że nie powinniśmy zawsze szukać winnych. Z kolei Kain, podpuszczony zapytaniem o to, co zrobić, gdy nie lubi się swojego brata, odpowiada, że ludzkość powinna uczyć się na jego błędach. Istotnie, Kainie, istotnie...!

Maszyna, dzieło szatana

Co może dać nam kontakt z podobnymi aplikacjami? Choć w tym momencie nie ma jeszcze badań naukowych, które bezpośrednio podejmują ten temat, interesującą paralelą są tak zwane „czaty terapeutyczne", których funkcję na łamach pisma „Topoi" analizują Jędrzej Grodniewicz i Mateusz Hohol z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jak zauważają autorzy, choć obecnie pewne formy psychoterapii pozostają poza zasięgiem sztucznej inteligencji, te techniki terapeutyczne, które wymagają np. wyłącznie poprawnej identyfikacji zniekształceń poznawczych i zaproponowania odpowiedniego ćwiczenia uważnościowego, są już teraz sprawnie symulowane przez czat. Podobnie może to wyglądać w przypadku „czatów religijnych". Jeśli konwersacja nie ma być z założenia głęboką i znaczącą wymianą zdań na tematy duchowe, zdolność do szybkiej manipulacji informacjami językowymi pozwala sztucznej inteligencji nie tylko przedstawić w „suchy" ↦

sposób odpowiednią doktrynę, ale i pomóc dobrać odpowiednią modlitwę, przygotować się do rytuału (np. zrobić rachunek sumienia przed spowiedzią) lub zinterpretować znaczenie jakiegoś zdarzenia w kontekście wiary.

Warto przy tym wszystkim dodać, że technologia nie od dziś wpływa na religię, a sama religia potrafi również inspirować naukę i rozwój techniczny (jak zresztą widać w przypadku robocika Xian'Er). Cofnijmy się do drugiej połowy XV w., kiedy prasa Gutenberga święciła pierwsze triumfy w Europie. Choć nie wiemy, czy pierwszy drukarz miał na względzie religijne cele, pierwszą skopiowaną przez niego na masową skalę książką była Biblia, co – jak twierdzą niektórzy historycy – znacznie przyczyniło się do rozwoju Reformacji. Nie brakowało przy tym osób, które krytykowały przedruk Ewangelii. Włoski benedyktyn Filippo de Strata, nie przebierając w słowach, porównał druk do nierządu i uważał, że nie godzi się, by święte słowa kopiować przy pomocy maszyn. Zakonnik nie został jednak wysłuchany, a drukowana Biblia trafiła w końcu pod strzechy, odmieniając kontakt wiernych ze słowem Bożym. Być może wirtualny Kościół i aplikacje religijne, na które dziś patrzymy co najmniej podejrzliwie, również otworzą w przyszłości nowe sposoby przeżywania i praktykowania wiary, które nie będą ani lepsze, ani gorsze, ale – po prostu – inne.

Widzieć więcej

„Nowoczesna wiara" to jedno, ale patrząc na temat od drugiej strony, należy zauważyć, że współczesne wynalazki pomagają też *badać* zjawiska religijne. Mowa tu o sytuacjach, gdy technologia pozwala wyizolować dany problem tak, że ukazuje się on naukowcom niczym w obrazie soczewki. Jedną z takich technologii jest właśnie wirtualna rzeczywistość, która nie tylko umożliwia „teleuczestnictwo" w rytuale, ale i otwiera przed naukowcami sposobność przeprowadzenia prostych eksperymentów, które byłyby trudne do zaaranżowania w prawdziwym życiu.

Weźmy np. badania nad doświadczeniami religijnymi prowadzone przez zespół Marca Andersena z Uniwersytetu w Aarhus. W jednym z nich badanych podzielono na dwie grupy i poproszono ich o wykonanie tego samego zadania: mieli eksplorować wirtualny las i klikać przycisk, gdy poczują w pobliżu obecność kogoś innego. W wirtualnym środowisku nie było jednak nikogo poza osobą badaną, a Andersena i współpracowników interesowało, czy pierwsza grupa – która usłyszała wcześniej, że w lesie jest bardzo dużo innych istot – będzie klikać przycisk częściej niż grupa, która dowiedziała się, że prawdopodobnie nie natrafi na żadną istotę. Na bazie tego doświadczenia autorzy sugerują, że doświadczenia bliskiej obecności pojawiające się w różnych tradycjach religijnych mogą wynikać z silnych oczekiwań, które do pewnego stopnia sterują naszą percepcją.

Technologia nie od dziś wpływa na religię, a sama religia potrafi inspirować naukę i rozwój techniczny.

Podobne oczekiwania można jednak wzbudzić jeszcze silniej, gdy badani sądzą, że biorą udział w badaniu wykorzystującym urządzenie stymulujące mózg. Takie technologie, rzecz jasna, istnieją naprawdę (np. tzw. przezczaszkowa stymulacja magnetyczna), ale nie udało się dotąd znaleźć żadnego ośrodka mózgu odpowiedzialnego za doświadczenia religijne – nie wspominając o religijności w ogóle. Sama sugestia, iż dojdzie do stymulacji neuronów, wywołuje jednak intensywne oczekiwanie – i tak w badaniach prowadzonych m.in. przez Michiela van Elka z Uniwersytetu w Lejdzie okazało się, że z założonym na głowę urządzeniem badani doświadczali bliskości niewidzialnych istot, a nawet mieli poczucie, że wychodzą z własnego ciała. Urządzenie jednak nigdy nie zostało włączone. Oczywiście, eksperymenty takie jak powyższe nie zmniejszają znaczenia prawdziwych doświadczeń religijnych – a to dlatego, że znalezione w nich efekty mogą być po prostu naturalną drogą naszego mózgu do przeżywania świata jako „coś więcej".

Religia w laboratorium

Na koniec warto wspomnieć, że współczesna technologia odsłania przed nami również to, co w ogóle rozumiemy pod terminem „religia". Mowa tu o wszechobecnej funkcji rozpoznawania obrazów, z którą spotykamy się na co dzień, np. gdy nasz telefon rozpoznaje twarz na zdjęciu. Dwójka fińskich badaczy, Anton Berg i Katja Valaskivi, postanowili przeanalizować najróżniejsze etykiety, którymi systemy rozpoznawania obrazów (np. Google AI Vision) opatrują związane z religią zdjęcia. Jak się okazało, sztuczna inteligencja ma bardzo zachodniocentryczne podejście do wiary i z niemal stuprocentową dokładnością rozpoznaje elementy religii katolickiej i głównych nurtów chrześcijaństwa czy islamu. Kiedy jednak dany rytuał czy strój nie przypomina mszy lub modlitwy, system widzi w nim np. koncert rockowy albo imprezę taneczną – nie wspominając o tym, z jak niską precyzją rozpoznaje czarnoskórych kapłanów.

Powód tego stanu rzeczy jest najpewniej dwojaki, bo są dwa główne sposoby, w jakie sztuczna inteligencja uczy się rozpoznawać obiekty na zdjęciach. Pierwszy to metoda „z nauczycielem", gdzie zestaw zdjęć ma już dopasowane etykiety – system zaczyna więc gromadzić informacje o tym, co musi znajdować się na zdjęciu, by mogła znaleźć się tam etykieta taka jak „religia". Druga metoda to nauczanie „bez nauczyciela": w tym przypadku sztuczna inteligencja sama próbuje znaleźć powtarzające się wzorce. Nieadekwatne odpowiedzi systemu mogą więc wynikać z braku reprezentatywnych etykiet – a to już błąd ludzki – lub z braku wystarczającej liczby zdjęć reprezentatywnych dla kultur i religii innych niż zachodnie – i to również błąd ludzki lub specyfika świata, który sobie stworzyliśmy.

W takie oto najróżniejsze sposoby nowoczesna technika i religia coraz bardziej zazębiają się: z jednej strony współczesny wierny może angażować się w praktykę religijną, korzystając ze sztucznej inteligencji i wirtualnej rzeczywistości, z drugiej zaś zyskujemy nowe metody wnikania w zjawiska religijne. Czy zapowiada się na to, że nowoczesna wiara przeniesie się do świata wirtualnego, gdzie cyfrową trzodę prowadzić będzie cyfrowy pasterz? Nawet jeśli, to nieprędko to nastąpi. Buddyjski robocik Xian'Er często jeszcze odpowiada swoim petentom: „Poczekaj, muszę o to zapytać swojego mistrza".

© PIOTR SZYMANEK

ZUZANNA

Radzik: *Pigułka, telewizor, biskup*

To był biskup z telewizora. Pierwszy taki, bo telewizja dopiero się zaczynała, ale ponieważ holenderski Philips w swojej fabryce w Eindhoven produkował odbiorniki, te podbijały kraj w szybkim tempie. O ile w 1958 r. w Holandii 11 proc. gospodarstw domowych miało telewizor, to w 1966 r. już 80 proc. Jeden publiczny kanał pochłaniał całą uwagę, a choć w tym czasie kościoły stopniowo pustoszały, to w telewizorach czekał na widzów bp Rinnie Bekkers. Syn chłopa, który w 1960 r. został biskupem wiejskiej, ale największej wtedy w kraju diecezji 's–Hertogenbosch, szybko nauczył się telewizji, co sprawiło, że w Holandii sobór był wydarzeniem telewizyjnym.

Bekkers pojawiał się w telewizji raz w miesiącu, w sobotnie wieczory. Dziennikarze szybko namówili go, by występował w garniturze i koloratce, mówił mniej formalnie i nawiązywał do bieżących tematów. W czasie soborowych sesji sam wychodził do dziennikarzy i jadał z nimi kolacje, tłumacząc, czym jest odnowa Kościoła. Jego diecezja była rozgadana, w parafiach powstawały grupy dyskusyjne, o swoich problemach rozmawiali księża, a w 1963 r. każdy dom dostał zaproszenie do udziału w debatach nad soborem. Ostatecznie powstało 600 grup dyskusyjnych, mających sesje cztery razy w roku, a na koniec ich reprezentanci spotkali się z biskupem w telewizji. Wspomnijcie 's–Hertogenbosch, jeśli myślicie, że podczas obecnego synodu Kościół wyjątkowo zaprosił nas do dyskusji. Bp Bekkers zaśmiewa się w grobie ze skali dzisiejszej partycypacji.

Oprócz telewizorów Philips w tej historii bohaterem jest inny produkt wytwarzany na terenie diecezji 's–Hertogenbosch: pigułka antykoncepcyjna firmy Organon, która zaczęła być wówczas dostępna na holenderskim rynku. 's–Hertogenbosch było – jak wspomniałam – wiejską diecezją, w połowie XX wieku wciąż dość tradycyjną, z duchowieństwem zwalczającym wszelkie sposoby zapobiegania ciąży i krzewiącym dumę z wielkich rodzin. Drugą stroną wielodzietności było związanie kobiet z rodzeniem, bieda oraz comiesięczne lęki małżonków, o czym nasłuchał się biskup Rinnie, podróżując po swojej diecezji, i bardzo się przejął.

Katolickie rodziny i lekarze w napięciu czekali w tym czasie na decyzje Kościoła w sprawie antykoncepcji. I tu właśnie spotykają się pigułka Organonu i telewizory Philips oraz biskup Bekkers, który wystąpił w telewizji, by odnieść się do tej kwestii. Powiedział, że decyzja o liczbie dzieci powinna być odpowiedzialnością małżonków i tylko ich, jest sprawą sumienia i nikt nie powinien w nią ingerować. Biskupia wypowiedź wywołała konfuzję: tygodniami komentatorzy starali się zrozumieć, co miał na myśli oraz czy było to oficjalne stanowisko, zapowiedź zmiany kościelnej polityki, czy jego własna opinia. Poczekalnie u lekarzy wypełniły się kobietami żądającymi przepisania pigułek, a biskup zaprzeczał, by jego wypowiedź oznaczała zgodę na ich użycie. Chciał tylko otworzyć dyskusję, w duchu *aggiornamento*...

Wiadomo, dopuszczalność antykoncepcji Kościół w tamtym czasie rozstrzygnął negatywnie, wierzący natomiast w większości inaczej. Duch tych debat jest z nami do dziś, w każdym blistrze pigułek. Czytając teraz książkę „Macica", dowiedziałam się, czemu twórca tabletki Carl Djerassi w latach 50. w miesięczny listek hormonów włożył siedem tabletek placebo, które powodują krwawienie. To nie prawdziwa menstruacja, lecz jej symulacja, medycznie niekonieczna. Jak się okazuje: symulacja z dedykacją dla papieży, bo Djerassi miał nadzieję, że jeśli cykl będzie wciąż przypominał ten naturalny, Watykan antykoncepcję łyknie. Watykan wypluł, a kobiety wciąż łykają *placebo*. Za papieży! ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **LUBLIN,** piątek 10 maja, godz. 17.00, spotkanie autorskie z Janem Grosfeldem i Sławomirem Jackiem Żurkiem, „Pałac płonie", aula klasztoru oo. Dominikanów (ul. Złota 9)
- **OGÓLNOKLUBOWE,** poniedziałek 13 maja, godz. 20.00, spotkanie z ks. dr. hab. Markiem Jerzym Uglorzem, „Duchowość luterańska", cykl: „Wiara i duchowość" / online /
- **ZIELONA GÓRA,** poniedziałek 13 maja, godz. 18.00, spotkanie z Janem Grosfeldem i Sławomirem Jackiem Żurkiem, „Wiara jest przeciwieństwem pesymizmu, depresji, braku nadziei", Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)
- **POZNAŃ,** wtorek14 maja, godz. 18.00, spotkanie autorskie z Janem Grosfeldem i Sławomirem Jackiem Żurkiem, „Pałac płonie", Akademia Lubrańskiego (Muzeum Archidiecezji)
- **TRÓJMIASTO,** środa 15 maja, godz. 18.00, spotkanie z Gabrielą Pewińską–Jaśniewicz i Barbarą Frydrych, „O zapomnianych artystach", Oliwski Ratusz Kultury (Gdańsk)
- **WARSZAWA,** czwartek 16 maja, godz. 18.30, spotkanie z Marią Dąbrowską–Majewską i Katarzyną Kubisiowską, „Książka, pomost między światami", sala KIK (ul. Freta 20/24A, II piętro)

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ŚWIAT

NIEOCZEKIWANY RYWAL ORBÁNA

Długo robił karierę wewnątrz systemu, który na Węgrzech stworzyli partia Fidesz i jej lider. Kim jest człowiek, który dziś rzuca im wyzwanie? I czy może im zagrozić?

ANDRZEJ SADECKI Z BUDAPESZTU

W węgierskiej polityce dominuje dziś jedno nazwisko. Péter Magyar, jeszcze pół roku temu praktycznie nieznana postać z trzeciego szeregu obozu władzy, obecnie stoi na czele ruchu protestu wobec rządów Viktora Orbána.

W tej roli 43-letni prawnik skutecznie dyskontuje oburzenie skandalem, którego (anty)bohaterką stała się niedawno Katalin Novák, dziś była już prezydent Węgier. A przede wszystkim stara się zagospodarować zmęczenie czternastoma latami rządów Fideszu. Obnaża korupcję i propagandę, krytykuje też bierność opozycji. Tym wszystkim przyciąga znaczną część opinii publicznej, która od dawna wypatruje politycznego mesjasza – alternatywy dla „odwiecznego" Orbána.

Ułaskawienie i dymisje

Aby zrozumieć fenomen Magyara, trzeba się cofnąć do 2 lutego bieżącego roku. Tego dnia jeden z niezależnych węgierskich portali ujawnił, że prezydent Novák ułaskawiła wicedyrektora domu dziecka, który został skazany za tuszowanie pedofili (dyrektor tej placówki dopuścił się przestępstw seksualnych wobec dziesięciorga wychowanków).

Wybuchła afera, która ze szczególną mocą uderzyła w rządzący Fidesz. Formacja Orbána od lat pielęgnowała swój wizerunek jako partii konserwatywnej i prorodzinnej. Uderzyła też w samą prezydent Novák, która wcześniej – jako minister ds. rodziny – na sztandary wyniosła troskę o dzieci. Jak na ironię, wicedyrektor domu dziecka (podobnie jak 21 innych osób) został przez nią ułaskawiony w związku z wizytą na Węgrzech papieża Franciszka w kwietniu 2023 r.

Obóz władzy początkowo nie był pewny, jak na ten skandal reagować. Oburzenie społeczne narastało. Po tygodniu Viktor Orbán zdecydował się więc na ostre cięcie. Prezydent Novák, sprawująca urząd dopiero od dwóch lat, podała się do dymisji. Z polityki wycofała się także Judit Varga, która jako ówczesna minister sprawiedliwości dokonała kontrasygnaty ułaskawienia. Wcześniej Varga szykowana była na „jedynkę" na liście Fideszu w czerwcowych wyborach do Parlamentu Europejskiego.

Fidesz w kryzysie

Obie dymisje oznaczały dużą stratę dla Fideszu. Novák i Varga były jedynymi wysoko postawionymi kobietami w tej partii, a dzięki szczególnej aktywności w mediach społecznościowych cieszyły się sporą popularnością – także wśród młodszego pokolenia, któremu Fidesz ma niewiele do zaoferowania. Novák odgrywała też ważną rolę w polityce zagranicznej: była bardziej umiarkowaną twarzą obozu władzy, przez co miała łagodzić napięcia z zachodnimi partnerami.

Orbán, który zwykle kwituje kolejne afery wzruszeniem ramion, tym razem zdecydował się poświęcić obie polityczki na ołtarzu zbiorowego oburzenia – z badań wynikało, że wyrażało je aż 63 proc. wyborców partii rządzącej. Miało to ukręcić łeb sprawie, zwłaszcza że media zaczęły zwracać uwagę na powiązania ułaskawionego z rodziną Orbánów.

Dymisje nie uspokoiły nastrojów społecznych. Demonstracja, którą 16 lutego zorganizowała na budapeszteńskim placu Bohaterów grupa popularnych youtuberów, zgromadziła co najmniej 100 tys. osób (to tak, jakby w Warszawie protestowało ok. 400 tys. ludzi).

Jednak partie opozycyjne, wciąż liżące rany po czwartej z rzędu porażce wyborczej w 2022 r., nie potrafiły skanalizo-

ABACA PRESS / FORUM

Péter Magyar (w pierwszym rzędzie w białej koszuli) na zwołanej przez siebie 50-tysięcznej demonstracji w Budapeszcie, 6 kwietnia 2024 r.

wać tych społecznych emocji. Właśnie tę próżnię postanowił zagospodarować Péter Magyar.

Wyjście z cienia

Magyar objawił się szerszej opinii publicznej emocjonalnym wpisem, który opublikował na Facebooku w dzień dymisji Katalin Novák oraz Judit Vargi, prywatnie swojej byłej żony. Ogłosił w nim, że „nie chce już ani sekundy dłużej być częścią systemu, w którym osoby naprawdę decyzyjne kryją się pod kobiecą spódnicą" – sugerując, że obie polityczki są w tej aferze kozłami ofiarnymi, a decyzje zapadły w ścisłym kierownictwie Fideszu.

Napisał także, że pod płaszczykiem ideału Węgier narodowych, suwerennych i obywatelskich pewna grupa ludzi osadziła się u władzy, gromadząc bajeczne majątki.

Nazajutrz Magyar udzielił długiego wywiadu dla „Partizána", najpopularniejszego opozycyjnego kanału na YouTubie (w internecie kontrola Fideszu nad mediami jest o wiele mniejsza niż nad tradycyjną prasą i telewizją). W niespełna 10-milionowym kraju wywiad ten obejrzało wkrótce ponad 2 mln ludzi.

Wywiad stał się aktem oskarżenia wobec partii władzy – i to sformułowanym przez insidera. Czyli człowieka, który dotychczas pozostawał beneficjentem systemu stworzonego przez Orbána, a w sferze publicznej kojarzony był jedynie jako mąż Judit Vargi (mają troje dzieci, rozwiedli się w 2023 r.).

Kariera w systemie

Magyar pochodzi z wpływowej konserwatywnej rodziny prawniczej. Jego dziadek zasiadał w Sądzie Najwyższym, babcia była siostrą Ferenca Mádla, prezydenta Węgier w latach 2000-2005, wybranego z nominacji Fideszu. Z kolei jego matka od 2020 r. jest wiceprzewodniczącą Krajowego Urzędu Sądowniczego.

Zgodnie z tradycją rodzinną Péter ukończył prawo, a potem próbował sił w sektorze prywatnym, angażując się zarazem w sprawy publiczne. Po tym jak w 2006 r. policja brutalnie rozpędziła protesty przeciw ówczesnemu liberalno-lewicowemu rządowi, został członkiem fundacji „Nie bójcie się!", założonej przez prominentnych działaczy konserwatywnych (w tym jego krewnych) w celu obrony pokrzywdzonych.

Jego dalsza ścieżka zawodowa rozwijała się w powiązaniu z karierą Judit Vargi, którą poślubił w 2006 r. Niemal dekadę spędzili w Brukseli, gdzie ona była m.in. doradczynią Jánosa Ádera (wówczas europosła Fideszu, później przez dwie ↦

↦ kadencje prezydenta Węgier), a on pracował jako dyplomata.

Wraz z sukcesami politycznymi żony, która w 2019 r. objęła resort sprawiedliwości, on sam piął się po kolejnych szczeblach kariery w spółkach Skarbu Państwa: był dyrektorem wykonawczym w instytucji udzielającej kredytów studenckich, wszedł do zarządu państwowych przedsiębiorstw transportowych. Ze wszystkich tych funkcji zrezygnował 10 lutego, gdy zdecydował się na publiczną krytykę Fideszu.

ATTILA KISBENEDEK / AFP / EAST NEWS

Kolportowany na zlecenie Fideszu plakat, na którym liderzy opozycji – były lewicowy premier Ferenc Gyurcsány (z lewej), burmistrz Budapesztu Gergely Karácsony (drugi od lewej), Klára Dobrev (liderka lewicowej listy do Parlamentu Europejskiego) i Péter Magyar (z prawej) – usługują szefowej Komisji Europejskiej. Dania to „migracja", „gender", „wojna". Budapeszt, 24 kwietnia 2024 r.

Powstańcie, Węgrzy!

Po sukcesie, jakim było jego wystąpienie w mediach społecznościowych, Magyar zaczyna organizować ruch społeczny.

Na 15 marca – czyli święto narodowe, upamiętniające wybuch antyhabsburskiej rewolucji Wiosny Ludów na Węgrzech w 1848 r. – zwołuje w Budapeszcie demonstrację, podczas której ogłasza powołanie ruchu „Powstańcie, Węgrzy". Nazwa nawiązuje do wiersza Sándora Petőfiego, węgierskiego wieszcza, którym w 1848 r. zagrzewał rodaków do powstania.

Na kolejnej demonstracji, 6 kwietnia, Magyar gromadzi już co najmniej 50 tys. zwolenników. Zapowiada wtedy start w wyborach do Parlamentu Europejskiego z ramienia niewielkiej partii TISZA – ma to być pierwszy krok do przełamania monopolu Fideszu – jednak sam nie zamierza, jak deklaruje, przyjmować mandatu europosła. Sondaże dają jego liście wyborczej kilkanaście procent poparcia.

Magyar krytykuje nie tylko partię władzy, ale też opozycję, twierdząc, że chce przełamać „sztuczny" podział społeczeństwa. Zamierza odebrać Fideszowi monopol na odwoływanie się do haseł narodowych. W przeciwieństwie do ugrupowań opozycyjnych atakuje tylko wybrane elementy rządów Orbána, wychodząc zapewne z założenia, że skoro cztery razy z rzędu wygrał w cuglach wybory, to przynajmniej część jego programu musi cieszyć się autentycznym poparciem.

Śladem propagandy Orbána

Ostrze krytyki Magyar skupia więc na największych patologiach obozu władzy. Uderza przede wszystkim w korupcję i propagandę; zresztą zna te mechanizmy od środka. Krytykuje masowe transfery środków państwowych do powiązanego z Fideszem biznesu, demaskuje kampanie nienawiści, jakie prowadził kontrolujący większość mediów Fidesz.

Niewiele za to wiadomo o poglądach i programie samego Magyara – prócz ogólników o potrzebie uzdrowienia wymiaru sprawiedliwości, edukacji i służby zdrowia czy też wspierania małych i średnich przedsiębiorstw.

W sprawach zagranicznych wypowiadał się dotąd zdawkowo. Deklaruje, że chciałby dbać o konstruktywną rolę Węgier w NATO i Unii Europejskiej. Zarazem jest krytyczny wobec unijnej polityki wstrzymywania środków dla Węgier ze względu na łamanie zasad praworządności, argumentując, że problemy powinny być rozwiązywane w kraju, a nie pod presją Brukseli czy Waszyngtonu.

W jednym z kwietniowych wywiadów, odnosząc się do wojny ukraińsko-rosyjskiej, powielił szereg tez propagandy rządowej (zbieżnych z narracją Rosji). Relatywizował rosyjskie sprawstwo i zwracał uwagę na „prowokacyjną", jak twierdził, politykę Zachodu. Posłużył się nawet fałszywymi twierdzeniami, jakoby przed 2022 r. USA umieściły swoje rakiety na Ukrainie.

Z kolei w innej rozmowie, pytany o poparcie dla prorosyjskiej polityki Orbána w partii rządzącej i wśród jej zwolenników, odparł, że choć wciąż wielu się ona nie podoba, to kilkanaście lat propagandy władz, przedstawiającej Rosję w pozytywnym świetle, zrobiło swoje. Czyżby więc sam przesiąkł narracją obozu, do którego wcześniej należał?

Billboardy z „kelnerami Brukseli"

Choć Péter Magyar wzbudził dawno niewidziane w polityce węgierskiej nadzieje na zmianę, na razie korzysta z efektu nowości, który z czasem będzie się wyczerpywać. Zresztą część wyborców opozycyjnych już podaje w wątpliwość jego wiarygodność – np. wskazując, że nie legitymizuje się on sukcesem zawodowym sprzed wejścia do polityki, gdyż jego kariera powiązana była z partią i awansami ówczesnej żony. Niektórzy wręcz spekulują, czy Magyar to nie „projekt" Orbána, któremu na rękę byłoby stworzenie koncesjonowanej opozycji.

Niezwykle ostra kampania negatywna, którą prowadzi przeciw niemu Fidesz – po raz pierwszy od lat znajdujący się w defensywie – ułatwia mu jednak odpieranie takich zarzutów. Początkowo próbowano dyskredytować go przede wszystkim na gruncie obyczajowym – Varga zarzuciła mu przemocowe zachowania w okresie ich małżeństwa, choć nie przedstawiła

żadnych dowodów. Magyar zrewanżował się ujawnieniem nagrania, w którym jego była żona mówi o manipulowaniu wymiarem sprawiedliwości przez polityków Fideszu.

Obóz władzy zwalcza go za pomocą wypróbowanych środków. Magyar pojawił się na billboardach razem z liderami głównych ugrupowań lewicowych i liberalnych: wszyscy oni widnieją na nich pokazani z wielkim symbolem dolara na koszulach (od dłuższego czasu Fidesz stara się odmalowywać opozycję jako „agentów USA" i „popleczników Sorosa").

Teraz, wraz z rozpoczęciem kampanii do Parlamentu Europejskiego, pojawił się plakat z siedzącą na czerwonym tronie Ursulą von der Leyen, przewodniczącą Komisji Europejskiej, i obsługującymi ją kelnerami – w tej roli widzimy polityków opozycji, w tym Magyara. Serwowane przez nich dania to „migracja", „gender" i „wojna". Czyli w narracji Fideszu to, co Bruksela ma narzucać Węgrom.

Czekając na (wyborczy) test

Ponieważ Fidesz dominuje w tradycyjnych mediach, Magyar może liczyć tylko na media społecznościowe i kampanię bezpośrednią. Ruszył więc w objazd po kraju, świadomy, że poparcie stolicy, tradycyjnie antyorbánowskiej, mu nie wystarczy. Testem dla niego będą zapowiadane na maj demonstracje poza Budapesztem – prowincja to bastion Fideszu. Kolejną zapowiada zaś w stolicy na dzień przed wyborami do Parlamentu Europejskiego – chce na niej zgromadzić milion uczestników.

Jednak najważniejszym testem będą nie wiece, lecz same te wybory. One pokażą, czy Péter Magyar naprawdę jest w stanie zagrozić Orbánowi, czy też jedynie przejmie część opozycyjnego „tortu", i tak już niewielkiego.

Gdyby tak się stało, wpisałby się w niemały już poczet polityków, którzy w ostatnich kilkunastu latach wzbudzali nadzieje na przełamanie monowładzy Fideszu – i ich nie spełnili. © ANDRZEJ SADECKI

DING HAITAO / XINHUA / EAST NEWS

Xi Jinping i Olaf Scholz podczas niedawnej wizyty kanclerza w Pekinie, 16 kwietnia 2024 r.

Bruksela i Pekin idą na noże

MARIA WIŚNIEWSKA Z TAJWANU

Stary Kontynent jest coraz bardziej krytyczny wobec Chin, a na czele tej zmiany stoi Europa Środkowa. Z wyjątkiem Węgier, które i w tym obszarze są najsłabszym ogniwem Unii. Niemcy wciąż nie mogą się zdecydować.

Po pięciu latach Xi Jinping postanowił wrócić do Europy.

Jego majowe tournée, rozpoczęte już po zamknięciu tego numeru „Tygodnika", miało prowadzić go najpierw do Francji, skąd przywódca Chin miał udać się na Węgry i do Serbii. Oficjalnie okazją dla spotkania z Emmanuelem Macronem była 60. rocznica nawiązania dyplomatycznych stosunków między Chińską Republiką Ludową a Francją.

Gdy dekadę temu, z okazji 50. rocznicy, ówczesny prezydent François Hollande przyjął Xi, ten miał jeszcze lśniącą czarną czuprynę i dopiero od paru miesięcy był na szczycie władzy w Pekinie.

Mało kto sądził wtedy, że Xi Jinping zostanie wkrótce najpotężniejszym władcą Chin od czasów Mao Zedonga, założyciela ChRL.

W 2014 r. niewielu sądziło też, że w ciągu następnych 10 lat relacje europejsko-chińskie tak bardzo się popsują. W unijnych stolicach narasta dziś obawa, że to, co jeszcze niedawno Pekin nazywał „partnerstwem obopólnych korzyści" lub ↦

↦ relacją „*win-win*”, zamienia się w „*win-lose*” – kosztem Europy.

DERISKING | Atmosfera na linii Pekin-Bruksela zaczęła poważnie gęstnieć w marcu 2023 r. Wtedy to przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen ogłosiła strategię zmniejszania ryzyka płynącego z zależności od Chin. Plan ten, nazwany deriskingiem, to efekt namysłu po inwazji Rosji na Ukrainę: uświadomiła ona Europie, jak groźne może być uzależnienie gospodarcze od krajów niedemokratycznych.

Odtąd Bruksela zbroi się w kolejne narzędzia, mające chronić unijny rynek przed nieuczciwymi praktykami Chin. Ostatnio Komisja wszczęła serię postępowań przeciw chińskim firmom z branży zielonych technologii (m.in. producentom aut i turbin), uznając, iż dzięki subsydiom państwa zaniżają ceny. Daje im to przewagę wobec unijnych rywali, którzy muszą grać na zasadach rynkowych.

Unia zaznacza wprawdzie, że nie chce iść drogą decouplingu (amerykańskiej wersji odcinania się od Chin), bo czerpie korzyści ze współpracy. Ale w Pekinie panuje przekonanie, że Europa mydli Chinom oczy, a w istocie derisking od decouplingu wiele się nie różni.

Oczekiwano więc, że podczas swej podróży Xi będzie ostrzegać przed „protekcjonistycznymi zapędami”, które „psują reputację Europy” – takich pouczeń musiał słuchać kanclerz Olaf Scholz w trakcie swej kwietniowej wizyty w Chinach – i że Xi będzie podkreślał zasługi chińskich technologii w walce ze zmianami klimatu.

POD PRESJĄ | Tymczasem w ostatnich latach pod naporem chińskich firm w Europie padają kolejne sektory przemysłu. Najbardziej wyrazisty jest przypadek produkcji paneli słonecznych: europejski rynek w 90 proc. opanowały chińskie firmy, a ostatni rodzimi producenci plajtują.

Podobny los zagraża branży pojazdów elektrycznych. Jeszcze w 2019 r. udział chińskich elektryków w unijnym rynku wynosił 0,5 proc., w 2021 r. było to 3,9 proc., a w 2023 r. – już 8,2 procent. W europejskich portach zalegają dziś tysiące aut z Chin, których jeszcze nie sprzedano. Jeśli Unia nie zainterweniuje, tutejsze firmy będą bez szans pod naporem tańszych „chińczyków”.

Upadek tej branży byłby zaś fatalny. Sektor motoryzacji odpowiada za 7 proc. PKB Unii i daje 12 mln miejsc pracy. Jego marginalizacja grozi masowymi zwolnieniami, a to w czarnych scenariuszach liberalnej klasy politycznej może nawet podważyć projekt europejski. Jak słyszę od unijnego dyplomaty, „wystarczy spojrzeć, jak kryzys inflacyjny wzmocnił europejską skrajną prawicę, nawet w dość odpornych na nią dotychczas Niemczech. Co dopiero wówczas, jak padnie cały przemysł”.

SŁABE OGNIWA | Nie jest tajemnicą, że za decyzją Komisji o wszczęciu postępowania przeciw chińskim e-autom miał stać Macron. To francuscy producenci aut najbardziej boją się konkurencji Państwa Środka. Chińskie firmy, podobnie jak francuskie, celują w nieco mniej zamożną klientelę.

O swoją pozycję na razie mniej boją się niemieckie koncerny, specjalizujące się w produkcji aut dla bardziej zamożnych. Dla VW czy BMW współpraca z Chinami niesie wciąż więcej korzyści niż ryzyka. Chiny to ich ważna baza produkcyjna i rynek zbytu. Volkswagen sprzedaje blisko 40 proc. swych aut w Chinach, ma tam 39 fabryk i 90 tys. pracowników. Pragnąć ograniczać unijny derisking, Pekin szuka więc sojuszników głównie w Berlinie.

Najbardziej problematyczne są jednak Węgry – „przyczółek” Chin w Europie. Viktor Orbán blokował już krytyczne wobec Chin kroki Unii. Teraz, przed wizytą Xi, szef MSZ Węgier Péter Szijjártó stwierdził, że nie ma czegoś takiego jak nadpodaż chińskich aut i że taka narracja jest wymysłem „politycznej ideologii” Unii.

Budapeszt jest beneficjentem dwóch dużych chińskich inwestycji: w Segedynie powstaje fabryka koncernu BYD (ma produkować nawet 200 tys. elektryków rocznie), a w Debreczynie stoi już fabryka CATL, największego producenta baterii do aut elektrycznych na świecie. Jeśli Bruksela nałoży cła na elektryki importowane z Chin, ulokowanie fabryk może pozwolić obu koncernom na uniknięcie takich opłat.

GRA POZORÓW | Przed wizytą Xi oczekiwano też, że w jego agendzie ważna będzie kwestia Rosji. Podczas wizyty Scholza w Pekinie chiński lider podkreślał swoje „pokojowe” stanowisko, wzywając Zachód, by nie „dolewał oliwy do ognia” (co w języku Xi oznacza militarną pomoc dla Kijowa).

W teorii Chiny zachowują tu neutralność. Pekin przedstawia się jako rozjemca, zatroskany losem świata. Niejako w opozycji do Stanów, które oskarża o „zimnowojenną mentalność”, podżeganie do wojny, a ostatnio, w kontekście wojny na Bliskim Wschodzie – o hipokryzję. To w związku ze słabą reakcją USA na izraelskie ataki na cywilów w Gazie.

Chcąc dodać wiarygodności swej kreacji, w lutym 2023 r. Pekin przedstawił „stanowisko wobec politycznego rozwiązania kryzysu ukraińskiego”. Z bezstronnością ma ono mało wspólnego. Chiny chcą wprawdzie zaprzestania walk, ale bez wycofania się Rosji z terenów okupowanych. Niby deklarują poszanowanie dla suwerenności państw, ale zarazem wzywają, by zaprzestać budowy bezpieczeństwa przez wzmacnianie i poszerzanie bloków militarnych. To nie do przyjęcia w Europie, gdzie wielu niedawnych sceptyków odzyskało wiarę w NATO.

„CZERWONA LINIA” | Rosnącą zażyłość Moskwa-Pekin widać też w liczbach. W 2023 r. wartość handlu chińsko-rosyjskiego wyniosła 240 mld dolarów. To skok o 40 proc. w porównaniu z przedwojennym rokiem 2021 oraz o blisko 60 proc. względem roku 2018. Większość eksportu z Rosji do Chin to paliwa kopalne. Izolowanej od Europy Rosji zapewnia to rynek zbytu, a Chinom pozwala tanio oliwić wytracającą pęd gospodarkę.

Jednak Europę bardziej niepokoi wsparcie militarne Chin dla Putina. W kwietniu światło dzienne ujrzały ustalenia wywiadu USA, iż Chiny zwiększają sprzedaż do Rosji sprzętu, który można wykorzystać np. do rozpoznania satelitarnego czy produkcji czołgów. Na razie w Unii nie ma zgody, że Chiny przekroczyły „czerwoną linię”, którą byłoby dostarczanie uzbrojenia. Ale pod koniec lutego na listę ostatniego – trzynastego już – pakietu unijnych sankcji trafiły chińskie firmy, które wspierały Rosję towarami i technologiami podwójnego zastosowania (tj. takimi, które mogą być użyte i w celach cywilnych, i wojskowych). Pekin stąpa więc po kruchym lodzie.

MARTIN FEJER / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Budowa fabryki baterii do aut elektrycznych chińskiego koncernu CATL w węgierskim Debreczynie, listopad 2023 r. Dziś fabryka już pracuje – dzięki niej Węgry są czwartym największym producentem baterii litowo-jonowych na świecie.

BIDEN POZYSKUJE EUROPĘ | Chiny postrzegają Unię głównie przez pryzmat swej rywalizacji z USA, które są przedmiotem obsesji strategów w Pekinie. Im lepsze relacje Stany utrzymują ze swymi sojusznikami, tym gorzej dla Pekinu. Mocny sojusz transatlantycki oznacza bowiem trudniejszego przeciwnika w regionie Indo-Pacyfiku i ograniczony dostęp do technologii wojskowych z Zachodu – nadal bardziej zaawansowanych niż chińskie.

Tymczasem od początku kadencji Joego Bidena widać zbliżenie optyki europejskiej z amerykańską. Wojnę handlową z Chinami zaczął Trump, ale wówczas jego izolacjonistyczna i ogólnie destrukcyjna polityka nie pozyskała mu zbyt wielu sojuszników na świecie. Biden kontynuuje asertywną politykę Trumpa wobec Chin, ale – inaczej niż poprzednik – jest skuteczny w przekonywaniu europejskich partnerów o jej słuszności.

Sygnałem wzmocnienia amerykańsko-europejskiego sojuszu wymierzonego w Chiny w obszarze technologii była decyzja Holandii, by dołączyć do restrykcji USA na eksport do Państwa Środka urządzeń do produkcji mikroprocesorów (cel tych restrykcji to spowolnienie rozwoju najnowocześniejszych chipów w Chinach). Stany skutecznie też wprowadzają do debaty publicznej temat Tajwanu, wyspy do niedawna poza europejskim „radarem", a mającej kluczowe znaczenie dla pozycji USA w regionie Indo-Pacyfiku.

WBIĆ KLIN | Obawiając się zacieśniania współpracy transatlantyckiej, Chiny wspierają wszelkie inicjatywy mające na celu rozluźnienie stosunków amerykańsko-unijnych.

Pekin przychylnie spogląda choćby na próby odnalezienia europejskiej „trzeciej drogi" w sporze USA i Chin, którą – według jego interpretacji – zakłada promowana przez prezydenta Macrona koncepcja „autonomii strategicznej" Unii. Stąd nie bez znaczenia był wybór Francji jako pierwszego celu europejskiej podróży Xi.

Na razie, w realiach wojny trwającej na wschodzie Europy, wizja zdystansowania się od Stanów nie znajduje wielkiego odzewu w Europie. Mogłaby jednak zyskać zwolenników, gdyby listopadowe wybory w USA wygrał Trump. Paradoksalnie, powrót zdeklarowanego wroga Chin do Białego Domu mógłby być w tym sensie dla Pekinu korzystny.

W CIENIU UKRAINY | Najszybsza zmiana myślenia o Chinach zaszła w Europie Środkowej – regionie, który jeszcze w poprzedniej dekadzie postrzegany był jako przyczółek Chin w Unii.

Po tamtym złotym okresie współpracy Europy Środkowej z Chinami, dziś nasz region jest nią rozczarowany. Jest odbiorcą mniej niż 5 proc. inwestycji chińskich w Unii, a te i tak koncentrują się na Węgrzech. Słabo idzie realizacja projektów infrastrukturalnych w ramach chińskiej Inicjatywy Pasa i Szlaku (niegdyś niosła ona obietnicę zawrotnego tempa rozwoju połączeń drogowych i kolejowych na całym świecie).

Na zmianę podejścia do Chin wpłynęła jednak przede wszystkim rosyjska inwazja i równoczesne zbliżenie Pekinu z Moskwą. Po raz pierwszy uświadomiło to państwom regionu, że Chiny mają istotne przełożenie na bezpieczeństwo Europy.

Wyrazem przeorientowania w regionie było np. uszczuplenie liczby członków platformy współpracy Chin z Europą Środkową i Wschodnią. Z formatu tego jeszcze przed rosyjską inwazją odeszła Litwa, a po niej Estonia i Łotwa. Podobny ruch rozważają Czechy. W ostatnim czasie Litwa i Czechy przyjęły też dokumenty strategiczne ds. Indo-Pacyfiku zakładające asertywne podejście do Chin i współpracę z demokratycznymi partnerami w regionie. Eksperymentują też ze współpracą z Tajwanem – mając na uwadze, że to główny producent chipów na świecie.

A NIE MÓWILIŚMY? | Polska jest w tym względzie ostrożniejsza, ale i ona rozwija nieformalne relacje z Tajwanem, zwłaszcza na poziomie parlamentów. W Sejmie działa polsko-tajwański zespół, który w poprzedniej kadencji odwiedził Tajpej i spotkał się z prezydentką Tsai Ing-wen. W marcu w Warszawie przyjął zaś tajwańską wiceprezydent elekt Bi-Khim Hsiao (prócz Polski w Unii odwiedziła tylko Wilno, Pragę i Brukselę).

Najsłabszym ogniwem jest tu prezydent Andrzej Duda, który na parę tygodni przed inwazją rosyjską jako jedyny przywódca europejski wziął udział w otwarciu olimpiady zimowej w Pekinie. Wkrótce, w czerwcu, prezydent planuje kolejną wizytę w Chinach. Złośliwi mówią, że dba o względy Chin, gdyż szuka posady w organizacjach międzynarodowych po zakończeniu kadencji w 2025 r.

Ostrzeżenia Polski i innych krajów Europy Środkowej przed Rosją były zbywane jako rusofobiczne i alarmistyczne – aż do 24 lutego 2022 r. Teraz, jak mówi mi czeski analityk pracujący na Tajwanie, po raz kolejny nasz region jest w awangardzie zmian w polityce zagranicznej Unii. Czy tym razem przekona sojuszników o zagrożeniach, z którymi wiąże się bezkrytyczna współpraca z Chinami? Czy też, jak to ujął, będzie kolejne „a nie mówiliśmy?". © MARIA WIŚNIEWSKA

CLEMENS BILAN / EPA / PAP

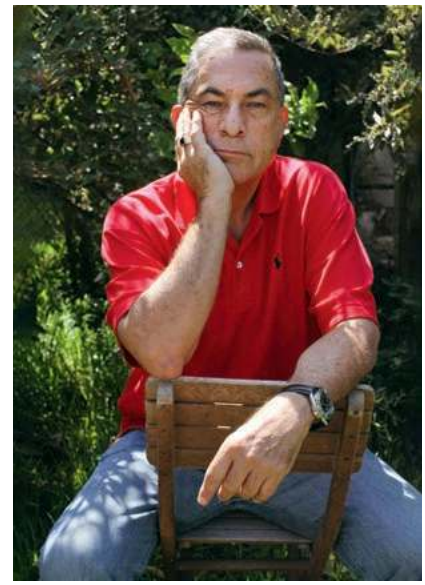

GIL COHEN MAGEN / AFP / EAST NEWS

Od lewej: Basel Adra i Yuval Abraham odbierają nagrodę za film „No other land" na festiwalu w Berlinie w lutym 2024 r.; w Izraelu spotkała ich za niego krytyka. Z prawej: dziennikarz Gideon Levy, znienawidzony przez izraelską prawicę.

Grossowie Izraela

MAREK MATUSIAK

Odgrywają dziś podobną rolę w izraelskim społeczeństwie, jak kiedyś autor „Sąsiadów" w społeczeństwie polskim. Kim są Izraelczycy, którzy krytykują metody, jakimi ich kraj prowadzi wojnę w Gazie?

Jak pokazuje choćby rzeczywistość polska, ludzi gotowych mówić własnej wspólnocie rzeczy bardzo trudne nie ma nigdy wielu, a ich życie rzadko bywa proste. Podtykanie rodakom pod nos przykrych prawd, dekonstruowanie mitów i schematów poznawczych, które pomagają pewnych rzeczy nie dostrzegać, a inne relatywizować, ma swoją cenę. I wymaga wewnętrznego imperatywu spod znaku: „Tu stoję, inaczej nie mogę".

W Izraelu ci, którzy własnymi głowami biją w mur niewiedzy i obojętności w sprawie sytuacji na palestyńskich terytoriach okupowanych, a teraz przede wszystkim w sprawie sposobu, w jaki Izrael prowadzi wojnę w Gazie, nazywani są różnie. Głównie jednak: zdrajcami, wariatami, ciężkimi frajerami, pięknoduchami. Takimi, którzy nie rozumieją, gdzie żyją. Poplecznikami terrorystów. Albo Żydami, którzy nienawidzą swojej żydowskości.

Przyjrzyjmy się im. Oraz temu, jak widzi ich większość izraelskiego społeczeństwa.

Syjoniści i antysyjoniści

Część z nich określa się jako syjoniści: deklarują, że wierzą w Izrael jako państwo żydowskie i demokratyczne, a także w przyszłe niepodległe państwo palestyńskie istniejące obok tego żydowskiego.

Inni z kolei są otwartymi antysyjonistami: uważają, że etnokracja – system, w którym jeden naród dominuje w państwie nad innymi (w tym przypadku Izrael jako „państwo narodu żydowskiego") – jest nie do pogodzenia z demokracją i że obecność 700 tys. żydowskich osadników w Jerozolimie Wschodniej i na Zachodnim Brzegu Jordanu przekreśliła już szanse na scenariusz dwupaństwowy. Ich zdaniem rozwiązaniem konfliktu – przyznajmy, że z obecnej perspektywy całkiem fantastycznym – powinno być jedno państwo, które miałoby objąć wszystkie ziemie między rzeką Jordan a Morzem Śródziemnym i które byłoby oparte na zasadzie pełnej równości wszystkich obywateli.

Niezależnie jednak od istniejących między nimi różnic politycznych, wszyscy ci, którzy otwarcie kwestionują obiegowe prawdy i fundacyjne dla izraelskiej wspólnoty narodowej paradygmaty, są celem ataków. Mimo że w skali całego społeczeństwa stanowią tak naprawdę niewielki margines.

Etatowi obrazoburcy

Niektórzy, tacy jak np. dziennikarze Gideon Levy i Amira Hass, którzy piszą dla dziennika „Haaretz", są obecni w izraelskiej debacie publicznej na zasadzie zupełnej ekstremy – niejako „etatowych" obrazoburców, którymi media głównego nurtu epatują statecznych obywateli. Te prawicowe natomiast z upodobaniem donoszą o ich kolejnych „bulwersujących wypowiedziach".

Inni, jak np. historyk Ilan Pappé, wybrali emigrację i dziś *de facto* lepiej znani są za granicą niż we własnym kraju.

Jeszcze inni, jak działacze organizacji Breaking the Silence (Przerwać milczenie) oraz B'Tselem, którzy dokumentują łamanie przez Izraelczyków praw człowieka na terytoriach okupowanych i izraelskie zbrodnie wojenne, odgrywają rolę „czarnego luda". Rutynowo oskarżani są o narodową nielojalność oraz o szkalowanie kraju przed zagranicą (i to za pieniądze z obcych grantów).

Z kolei Ofer Cassif, lewicowy deputowany do Knesetu, w lutym tego roku o mały włos nie stracił mandatu w parlamencie, po tym jak publicznie poparł wniosek Republiki Południowej Afryki do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, w którym RPA oskarża Izrael o dopuszczanie się w Gazie zbrodni ludobójstwa. Do 90 głosów, które według izraelskiego prawa są nie-

zbędne do tego, aby posła pozbawić mandatu (na 120 miejsc w Knesecie), zabrakło pięciu.

„Nie używajcie naszego bólu"

Szukając kolejnych przykładów, wspomnieć można np. dziennikarzy internetowego magazynu „+972", którzy nie wahają się publikować krytycznych artykułów na temat tego, jak to algorytmy sztucznej inteligencji pomagają Izraelowi bombardować Gazę szybciej, efektywniej i bardziej śmiercionośnie. Albo weteranów z izraelsko-palestyńskiej organizacji Combatants for Peace. A są jeszcze obdżektorzy, którzy zamiast wymigać się od służby wojskowej (to jest możliwe nawet w Izraelu) odmawiają jej oficjalnie i dobrowolnie idą za to do więzienia.

Są także zwykli obywatele, którzy patrząc na wojnę w Gazie, mówią: „Nie w naszym imieniu" – i niewielkimi grupami próbują protestować.

W tym ostatnim gronie są również osoby, dla których 7 października 2023 r. oznaczał osobistą tragedię. Noy Katsman, któremu Hamas zamordował brata, apelował do władz Izraela: „Nie używajcie naszej śmierci i naszego bólu, aby nieść śmierć i ból innym ludziom i innym rodzinom". I stwierdzał, że nawet w obliczu tej zbrodni, jaką popełnił Hamas, jego brat – aktywista pokojowy – występowałby przeciwko zabijaniu i przemocy wymierzonej w niewinnych ludzi. Z kolei 19-letnia dziewczyna, która ocalała z rzezi w kibucu Be'eri, deklarowała publicznie, że nie interesuje jej zemsta, a jedynie polityczne rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego.

Fala „nawróceń"

Jednak trzeba uczciwie powiedzieć, że w skali całego społeczeństwa wszyscy oni to margines.

A z perspektywy tzw. zwykłych Izraelczyków głosy tych ludzi z trudem mieszczą się w dopuszczalnych granicach debaty publicznej albo już nie mieszczą się wcale. Stąd też ich nazwiska opatrzone są zazwyczaj przymiotnikami takimi jak „skrajny", „radykalny" albo „niszowy". Często jest zresztą tak, że ich nazwiska po prostu mało komu coś mówią.

Tak było zresztą również i przed 7 października 2023 r. Jeszcze przed tym atakiem, w którym Hamas i inne radykalne ugrupowania palestyńskie zabiły co najmniej 1139 Izraelczyków (cywilów i żołnierzy), a 247 uprowadziły, rozpolitykowane społeczeństwo izraelskie kłóciło się ze sobą o wszystko – ostatnio np. o reformę sądownictwa albo o służbę wojskową żydowskich ortodoksów – ale nie o cokolwiek związanego z okupacją czy kwestią palestyńską.

Natomiast po 7 października po kraju rozlała się fala prawicowych „nawróceń". Pod wpływem szoku wywołanego brutalnością Hamasu, a także bezsilnością własnego państwa, zaskoczonego tym atakiem, wielu Izraelczyków – tych, którzy wcześniej uważali się za zrównoważonych centrystów – zaczęło deklarować w mediach społecznościowych, że „przejrzeli na oczy" i że teraz to „albo my, albo oni".

Badania opinii publicznej, przeprowadzane regularnie przez ośrodek Israel Democracy Institute, pokazują zaś, że na pytanie „W jakim stopniu Izrael powinien wziąć pod uwagę cierpienie ludności cywilnej w Gazie przy planowaniu dalszych walk?" aż 80 proc. żydowskich respondentów konsekwentnie od 7 października odpowiada: „małym albo żadnym".

Zrzeknij się obywatelstwa!

W obecnym klimacie w Izraelu tolerancja na autokrytykę jest – co nie powinno zaskakiwać – zauważalnie mniejsza, niż była (nie mówiąc już o tolerancji na krytykę z zewnątrz). Przekonał się o tym w lutym dziennikarz Yuval Abraham, współtwórca filmu dokumentalnego „No other land" (co można przełożyć jako: „Nie chcemy innej ziemi"). Film ten został nakręcony przez kilkuosobowy zespół palestyńsko-izraelski.

Odbierając nagrodę na festiwalu Berlinale – i stojąc obok kolejnego z autorów, Palestyńczyka Basela Adry – Abraham mówił: „Za dwa dni wrócimy do ziemi, na której nie mamy równych praw. Ja podlegam prawu cywilnemu, a Basel prawu wojskowemu. Mieszkamy od siebie w odległości 30 minut, ale ja mam prawo głosu, a Basel go nie ma. Ja mogę przemieszczać się po tej ziemi, jak chcę. Basel, tak jak miliony Palestyńczyków, jest zamknięty na Zachodnim Brzegu Jordanu. Ta sytuacja apartheidu między nami, ta nierówność musi się skończyć".

Następnie w kontekście trwającej wojny dodał: „Musimy apelować o zawieszenie broni. Musimy apelować o rozwiązania polityczne, aby zakończyć okupację".

Po tych słowach Abrahama wybuchła burza. Publiczny kanał izraelskiej telewizji Kan 11 informował o nich w materiale pt. „Antysemickie wystąpienie izraelskiego twórcy". Szefowa jego redakcji kulturalnej opublikowała felieton pt. „Zdobyliście nagrodę, ale straciliście nas". Zarzucała w nim Abrahamowi, że w swoim wystąpieniu zapomniał o izraelskich zakładnikach oraz o żołnierzach, którzy walczą w Gazie o to, żeby on był bezpieczny.

Równolegle na antenie prawicowego Kanału 14 sugerowano mu, żeby zrzekł się obywatelstwa i wyjechał do Gazy. Natomiast dom jego rodziny odwiedziły prawicowe izraelskie bojówki.

Krytyka motywowana patriotyzmem

Najcięższe działa przeciwko własnemu społeczeństwu wytaczają jednak – wymienieni już powyżej – tradycyjni podejrzani, którzy używają słów takich jak „apartheid" (z wykrzyknikiem) i „ludobójstwo" (ze znakiem zapytania), a w kontekście przebiegu działań wojennych w Gazie odrzucają narrację o „odosobnionych przypadkach", „pojedynczych incydentach" i „określonych nieprawidłowościach" (to gdy mowa np. o śmierci cywilów).

Jednym z nich jest wspomniany już Gideon Levy z liberalnego dziennika „Haaretz", laureat prestiżowej nagrody dziennikarskiej im. Nachuma Sokołowa. O konflikcie izraelsko-palestyńskim 70-letni dziś Levy pisze od 40 lat. Już dekadę temu – w czasie poprzedniej izraelskiej operacji w Gazie – dorobił się opinii „jednego z najbardziej znienawidzonych ludzi w kraju".

Wówczas Levy potrzebował ochroniarza (co ludziom na ulicy nie przeszkadzało wyzywać go i opluwać), a czytelnicy jego macierzystej gazety hurtowo rezygnowali z prenumeraty.

On jednak – tak wtedy, jak i dziś – krytykując swój kraj, stwierdzał, że robi to z patriotyzmu. Pisał: „Walczę o poczucie przynależności do miejsca, które jest sprawiedliwe. Którego teraz nie mam. Oraz o poczucie bycia dumnym z własnego kraju. Którego teraz nie mam". Podkreślał również, że choć nie neguje odpowiedzialności strony palestyńskiej, ↦

↦ to on jako Izraelczyk interesuje się przede wszystkim odpowiedzialnością izraelską.

„Jeśli to nie ludobójstwo…"

Gideon Levy już wiele lat temu zarzucał własnemu społeczeństwu, że „otoczyło się murami, nie tylko fizycznymi, ale także mentalnymi", które pozwalają nie dostrzegać rzeczywistości znajdującej się na wyciągnięcie ręki.

W czasie jednego z wystąpień stwierdzał: „W historii istniały okupacje bardziej brutalne, a nawet bardziej długotrwałe, ale nie było jeszcze okupacji, w której to okupant uważał się za ofiarę. I to za jedyną ofiarę". W innym mówił natomiast: „Nikt się do tego nie przyzna, ale jeśli poskrobiesz niemal każdego Izraelczyka, to znajdziesz takie poglądy jak: Palestyńczycy nie są takimi samymi ludźmi jak my. (…) Nie kochają swoich dzieci tak jak my. Nie kochają życia tak jak my. Urodzili się, by zabijać. Są okrutni. Są sadystami. Nie mają żadnych wartości".

Dziś jego pogląd na trwającą wojnę oddają tytuły jego tekstów. Jak ten: „Jeśli w Gazie to nie jest ludobójstwo, to co to jest?". Albo: „To izraelski mainstream zaprowadził nas do Hagi, a nie jego fanatyczny margines". Lub: „Izrael za swoją porażkę obwinia wszystkich, tylko nie siebie". Wreszcie: „Po 150 dniach śmierci i zniszczenia w Gazie Izrael nie jest ani silniejszy, ani bardziej bezpieczny".

„Dlaczego on jeszcze nie siedzi?"

Zapewne nie powinno zaskakiwać, że taka postawa Levy'ego spotyka się z radykalną krytyką. Ronen Tzur, przez jakiś czas przedstawiciel rodzin zakładników uprowadzonych przez Hamas, stwierdził, że „czyste zło ma twarz Gideona Levy'ego". Z kolei Tally Gotliv, deputowana do Knesetu z ramienia rządzącego prawicowego Likudu, dziwiła się: „Dlaczego on jeszcze nie siedzi?".

Nietrudno zauważyć, że z podobnie gwałtownymi reakcjami nie spotykają się – zdarzające się do dziś, i to także w głównych kanałach telewizyjnych – wezwania do zrównania Gazy z ziemią albo do utopienia jej we krwi (ostatnio taką fantazją podzielił się z widzami dziennikarz Yehuda Schlesinger na antenie Kanału 12).

Ostracyzm, który spotyka Levy'ego, nie umywa się jednak do przypadku Nadery Shalhoub-Kevorkian – izraelskiej Palestynki i profesorki Uniwersytetu Hebrajskiego. Za swoje wypowiedzi dotyczące ataku z 7 października i wojny w Gazie została 18 kwietnia aresztowana, a jej dom przeszukano (następnego dnia zwolniono ją za kaucją).

Warto posłuchać

Liberalna demokracja szczyci się tym, że wysoko ceni dysydentów, przedstawicieli mniejszości, burzycieli pomników, czyli generalnie tych, którzy – płacąc wysoką cenę osobistą – mówią własnym społeczeństwom rzeczy trudne. Ceni ich nawet wówczas, kiedy ponoszą ich emocje i posuwają się – z punktu widzenia ogółu – za daleko. Albo kiedy – widząc brak reakcji – z czasem się radykalizują, co ich oponenci wykorzystują z kolei do dezawuowania ich dorobku. Bez takich ludzi demokracji by nie było. W każdym razie demokracji takiej, jak się ją rozumie w Europie, a nie np. w Turcji prezydenta Erdoğana.

Troska o kondycję izraelskiej wspólnoty należy do samych Izraelczyków. Jednak to, co dzieje się w Gazie, nie jest ich prywatną sprawą, lecz problemem o znaczeniu globalnym, który porusza ludzi we wszystkich strefach czasowych i ma wymierny wpływ na sytuację polityczną na świecie.

Żeby zrozumieć tę wojnę, w której armia izraelska w ekspresowym tempie zabiła już 34 tys. ludzi (w większości bezbronnych cywilów, w tym 13 tys. dzieci) i w której bez wątpienia zabije ich jeszcze więcej, najlepiej jest posłuchać w pierwszej kolejności tych, na których te bomby spadają i którzy na miarę możliwości własnego smartfona próbują informować świat o tym, co dzieje się wokół nich.

Jednak jeśli komuś sprawia to trudność, wtedy – oprócz oficjalnych izraelskich komunikatów – warto posłuchać także ludzi takich, jak ci opisani powyżej. I dopuścić do siebie myśl, że mogą mieć rację. © MAREK MATUSIAK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich imienia Marka Karpia, koordynatorem projektu Izrael-Europa.

Alarm po odesku

TEKST I ZDJĘCIA ANTONINA PALARCZYK
Z ODESSY (UKRAINA)

Czy wypada się śmiać w tak trudnym czasie? Można i da się, zwłaszcza jeśli jest patriotycznie, dowcipnie i z duszą. I jeśli przyniesie to ulgę. Ta należy się wszystkim.

Jeśli ten dron jest ci przeznaczony, to i tak przed nim nie uciekniesz – mówi poważnie Ksenia, lat 23, którą spotykam w hostelu w śródmieściu Odessy. – A ja chciałam zobaczyć morze. Ot, wyrwać się na dwa dni z pracy, wsiąść w nocny pociąg i przyjechać tutaj.

Na co dzień Ksenia pracuje w pizzerii w Winnicy. – Znajomi mówili mi: „Jedźże do Lwowa, jak masz wolne. Tam jest spokojnie, nic nie przylatuje" – dziewczyna tłumaczy, skąd ona tutaj, bliżej frontu, bliżej nalotów. – Lwów, Lwów, tam same kościoły i cerkwie. Ja chcę do Odessy, tu jest atmosfera, tu są ludzie!

Być może mieszkańcy zachodniej Ukrainy, do której przynależy Winnica, mogą postrzegać Odessę jako miejsce niebezpieczne. Miasto regularnie jest wymieniane wśród poszkodowanych w rosyjskich nalotach, dronami i rakietami, których ofiarą pada cywilna infrastruktura.

Trudno natomiast ustalić, jak sami mieszkańcy Odessy oceniają ryzyko wiszące nad miastem. Gdy w południe nad śródmieściem rozlega się nagle przeciągła salwa z ciężkiego karabinu maszynowego – niewątpliwy znak, że to pracuje mobilny oddział obrony przeciwlotniczej – nikomu z siedzących w kawiarnianym ogródku nawet nie drgnie powieka.

Rozmawiająca na murku para wystawia twarze do słońca, ktoś w skupieniu stuka palcami w klawisze MacBooka. Seria powtarza się, tym razem bliżej. Rytmiczne rąbnięcia, niewątpliwie większego kalibru, uruchamiają alarm w jednym z aut zaparkowanych wzdłuż chodnika.

Afisze zapraszające na komedię „Alarm przeciwlotniczy po odesku", 28 kwietnia 2024 r.

Widok na Schody Potiomkinowskie, zniszczony hotel Odessa i Morze Czarne

PRZECIĄGŁY SKOWYT syren, oznajmiających alarm przeciwlotniczy, rozlega się w Odessie czasem kilka razy w ciągu dnia. Ale w gwarnym tłumie na ulicy Deribasowskiej, przed hotelem Welyka Moskowska, brzmi on jak żebranie o ciut uwagi. Nadawany wraz z syreną komunikat, nakazujący udać się do schronów przegrywa z megafonem w dłoni starszej pani ubranej w różowy sweterek i czapkę z daszkiem. W rozgrzanym powietrzu niesie się jej reklama-zachęta, nadawana tym samym tonem co alarmowy komunikat: „Wycieczka, plaża Arkadia i Langeron. Wszystkich zapraszamy, zaraz odjazd!".

Strumień ludzi opływa z obu stron oblepionego plakatami wycieczkowego meleksa, który zabierze chętnych w kierunku wybrzeża.

W SOBOTĘ 27 kwietnia do ogólnego tumultu na Deribasowskiej dochodzi kilka podestów zbitych z października i tłum aktorów w strojach rzymskich legionistów. To dziesiąta już coroczna rekonstrukcja, odbywająca się na Wielkanoc (według wschodniego kalendarza). „Już teraz mieszkańcy Odessy mogą zobaczyć bitwę legionistów, Ostatnią Wieczerzę Apostołów, wydarzenia Wielkiego Piątku w Jerozolimie i sąd Piłata" – zachęca lokalny kanał w komunikatorze Telegram.

Gdy przychodzi w końcu weekend, kanał Xydessa Live informuje o sytuacji w powietrzu zwięzłymi hasłami: „Jeden dron [leci] do nas z [kierunku] Mikołajowa". Lub: „Koniec alarmu". Ostrzeżenia przeplatają się z relacjami, co słychać we wszelkiej maści imprezowniach. Na publikowanych wideo młodzi ludzie gną się w ekstatycznym tańcu przy świetle stroboskopów, w klubach i przed wejściem do nich.

Znowu zamęt na Deribasowskiej. Ktoś nagrał awanturę, jaka skupiła się wokół chłopaka. Ten puścił z głośnika rosyjską muzykę. Otaczający go tłum skanduje z uniesionymi rękami, jednogłośnie: „*Paszoł na chuj!*".

TYTUŁ SZTUKI, która w tych dniach startuje na deskach Teatru Muzycznej Komedii imienia Mychajły Wodjanowa, brzmi „Triwoha po-odeski". Czyli: „Alarm przeciwlotniczy po odesku".

Afisze zapraszające na premierę można spotkać na niemal każdym słupie w tym mieście, słynącym z poczucia humoru. „Najpierw odpowiemy na twoje oczywiste pytanie: czy wypada się śmiać w tak trudnym czasie, przez który wszyscy przechodzimy?".

Twórcy spektaklu przekonują: można i da się, zwłaszcza jeśli jest patriotycznie, dowcipnie i z duszą. „Oglądanie spektaklu wywoła w tobie całą paletę emocji – radość, współczucie, a nawet smutek. Ale ostatecznie to wszystko przynosi prawdziwą ulgę" – obiecuje afisz. Kolorytu dodaje tu wyrafinowana gwara odeska (ewentualne zbieżności z rosyjskim są przypadkowe). „Czekamy na ciebie!" – zachęcają organizatorzy.

GODZINA POLICYJNA zaczyna się dopiero po północy. Dobra nasza, powiada Odessa. Gdy zmierzcha, już wcześniej bardzo żywe ulice teraz zaczyna rozrywać energia, gorączka sobotniej nocy. Rozjarzają się rozpięte nad chodnikami łańcuchy lampek, jak oczy uczestników balang, którzy wylewają się z barów i klubów ze striptizem. W najmodniejszych lokalach najwyraźniej nie starcza miejsca.

Miejska kipiel światełek raptownie kończy się na Schodach Potiomkinowskich. Tutaj latarnie są wygaszone – schody opadają w stronę morza i pogrążonego w ciemności portu.

Sterczący na betonowym wybrzeżu kikut hotelu Odessa – trafionego podczas nalotu jesienią 2023 r. – jest jak memento, przestroga. Jak wskazówka zegara na nieruchomej tafli morza wskazuje kierunek, z którego i tej nocy przylecą nad Odessę rosyjskie drony. ©

ELIZA

Kącka: *Żyć dziś, dziś*

Instytut Onkologii, kontrola. Czekam między staruszką z masywnym, wypukłym plastrem na oku a nastolatkiem z opatrunkiem na szyi. Chłopca osłania matka, niechętna rozmowom. On jednak wychyla się do mnie: „Pani nie ma nic". Uśmiecham się: „U, wiesz, zobaczymy". „Nie ma pani nic zaszytego" – mówi z wyrzutem. „Przepraszam" – wyrwało mi się. „Nie dokuczaj" – matka przyciska go do siebie. Siedzimy w ciszy. Za parę chwil odzywa się staruszka: „Niech pani nie przeprasza". Lekarz zaprasza do siebie matkę chłopca. Mały do staruszki: „Dlaczego ja to mam już teraz, a ty na starość?". „Wiesz, bo to jest taki wędrujący problem. Na starość nie będziesz miał plasterków". „Zakład?". „Zakład". Przecięłam. „A ona? Dlaczego ona nic nie ma?" – pyta, wskazując gestem na mnie. „Ma, tylko nie widać". „To nie fair". „Mam plastry od środka" – rzucam, udając rozbawienie. Staruszka do małego: „Słuchaj, takie plastry bolą bardziej". „Skąd wiesz?". „Wiem, bo miałam. Strasznie ciągnęło". Spojrzał na mnie z respektem.

Cmentarz Północny, cumuję przy grobie ciotek. Przy sąsiednim dwie panie kiele siedemdziesiątki uwijają się z wodą, grabkami. Pierwsza: „Myślisz, że Tuska wpakują na Wawel?". „A co? Chory jest?!". „Nieee. Ale będą chcieli nam go odbić". „Tuska?!". „Wawel!". „To się nie da". „Wszystko się da teraz". „Nie! Duch króla go wypchnie". „Którego króla?". „Lecha".

Wiata autobusowa, czekam na 180. Obok mnie kobieta z kotkiem w transporterze, staruszek z siatami. Złowił moje spojrzenie: „Do Lidla jeżdżę autobusem, warto. Jak wszystko podliczę, najtaniej. Masełko, chlebek. Pani wie, że tu jest Lidl?". „Tak, mieszkam blisko". Rozpromienił się: „To pani ma szczęście". „Tu jest dużo dyskontów". „Tak? Może. Ja nie wiem, co to dyskont. Ale jak pojadę do Lidla, to żona się cieszy. Rozpakowuje". „No to pięknie". „Na starość nie mam więcej wydarzeń". „Jasne". „Pani młoda, to nie zrozumie, ale ja na Lidla potrzebuję dnia. Z rozpakowaniem". „I dobrze" – włącza się ta z kotkiem. „Tak, nie żałuję. Żona się ze mnie śmieje, że miałem inne cele". Ta z kotkiem: „Trzeba żyć dziś, dziś, pan ma rację". On: „To nawet nie o to... Ja myślę, że nie każdy ma Lidla. To dar".

Kraków, wybiegam z Piwnicy Powszechnej i lecę na spotkanie. Światła na Plantach jak na pastelach Wyspiańskiego. Przysiadam na ławce. „Fajny kapelutek" – słyszę. Obok pan po pięćdziesiątce. „O, dziękuję". „A w ogóle to siedzi pani na miejscu mojej żony". „Jej". „Nie szkodzi – uspokaja. – Ania nie żyje". „Przykro mi". „Mnie też. Ale dobrze, że ławeczka żyje". Zrobił do mnie oko: „Podsiadła pani ducha. To się zdarza w Krakowie".

Konkurs na wiersz, ośrodek kultury w stronach rodzinnych mojej matki. Daleka kuzynka wspiera uczniów z zaprzyjaźnionej placówki wychowawczej. Dowiaduję się, że tematy na wiersz to: „Jan Paweł II", „Mój przodek", „Moje marzenie". Mamy czterdzieści kilka prac. Głosem większości (cztery do dwóch) wygrywa dziewczynka, która zmiksowała wątki, pisząc, że ma w życiu jedno marzenie: chciałaby być krewną Jana Pawła II. Wiersz kończy deklaracja woli: „Kocham bardzo mego tatę / Lecz najlepiej byłoby / Żeby każde dziecko w Polsce / Ojca miało jako Ty". Jury docenia jej „kunszt poetycki" i każe drukować dyplomy z cytowanym fragmentem. Sprzeciwiam się. Podpisują, obserwuję z dystansu. Polonistka: „Jako osoba z uniwersytetu powinna pani dać parafkę". Katechetka-szefowa jury: „Pani niedowiarstwo nic dzieciom nie zrobi, pani podpisze". Jako „gość zewnętrzny" wygłaszam na zakończenie pogadankę. Proszą o poezję Karola Wojtyły, dostają Tuwima. Dyrektorka mówi mi, że trudno, mimo wszystko dziękuje, to też był zdolny poeta. Po apelu podchodzi do mnie szczupły, nerwowy chłopiec i prosi o rozmowę na osobności. Siadamy. „Nie mam z kim o tym porozmawiać". „Dawaj". „Nie zdradzi mnie pani?". „Gdzie tam". „Słuchałem, jak pani mówiła, i pomyślałem, że może się pani na tym zna". „Na czym?". Milczy, stropiony. „Bo ja myślę, że jestem Żydem". „O, wiesz, wiele rodzin...". Macha ręką, tnie: „Nie, nie rodzin, ja sam!". „Że tylko ty?". „Tak! Czy to możliwe?". „Niezbyt. Ale skąd taka myśl?". Ręce mu się trzęsą: „Bo ja już drugi raz słyszę, że jestem taki, jakby mnie ktoś podrzucił". „?". „Tak, a pani mówiła o niepasowaniu. Że Żydzi nie pasują". „To nie tak, widzisz...". Zerwał się: „Wie pani, jak się stado odnosi do obcego?". „Hm?". „Dziadek mi pokazał. Zadziobie". „Jesteś w rodzinie". „I jestem jej Żydem!". Wybiegł z płaczem. Nie dogoniłam.

Autobus 503, spóźniony. Zajmuję dwa siedzenia tuż za kierowcą, bo jedzie ze mną plecak z książkami. Ogólnie pięć osób na skład. Przy Ordynackiej wsiada starsza w futrze, wyróżowana, z laseczką. Napiera na mnie. Wysokie siedzenie, wokół wolne, ale cóż: biorę plecak na kolana. Jedziemy ściśnięte. Stęka, jakbym na niej siadła. „Oj, ludzie, ludzie". Autobus zbliża się do Spacerowej, sygnalizuję, że wysiadam za chwilę. „Ja jeszcze nie – kontruje – pani też nie musi". Ja, że muszę, niestety. „Bezczelność!". Zeszła z siedzenia, wypuściła. I przesiadła się na niskie. Zza pleców usłyszałam: „I jeszcze się taka rozpycha, jak cały autobus wolny". ©

TP DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA"

dodatek specjalny **Poznańska Nagroda Literacka**

a w nim:
sylwetki tegorocznych nominowanych do Nagrody-Stypendium im. Stanisława Barańczaka oraz laureata Nagrody im. Adama Mickiewicza.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Drożej? Wręcz przeciwnie!

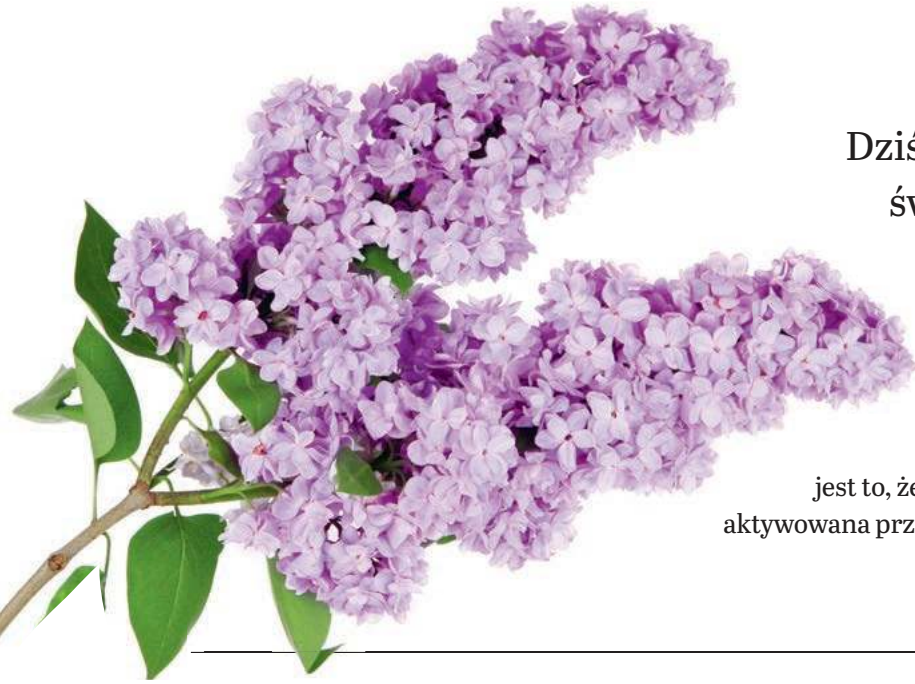

Dziś mamy dla Was wiosennie świeżą ofertę prenumeraty!

Tym razem kwartalną. Dla kogo? Dla wszystkich! Możecie ją wykupić, nawet jeśli macie już inną aktywną prenumeratę „Tygodnika Powszechnego". Jedynym warunkiem jest to, żeby ta promocyjna prenumerata została aktywowana przed 30 września 2025 roku, a zakończyła się przed końcem roku 2025.

TWOJA KWARTALNA PRENUMERATA. TAK JĄ ZAMÓWISZ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 13 wydań	~~160 zł~~ 140 zł	180 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
52 wydania w ofercie POKOLENIA*	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WYTWORNY SZUBIENICZNIK

Był symbolem zdrady i moralnego upadku elity Rzeczypospolitej. Oraz agentem Rosji. Jako jeden z nielicznych winnych 230 lat temu zapłacił za to głową: Józef Ankwicz.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

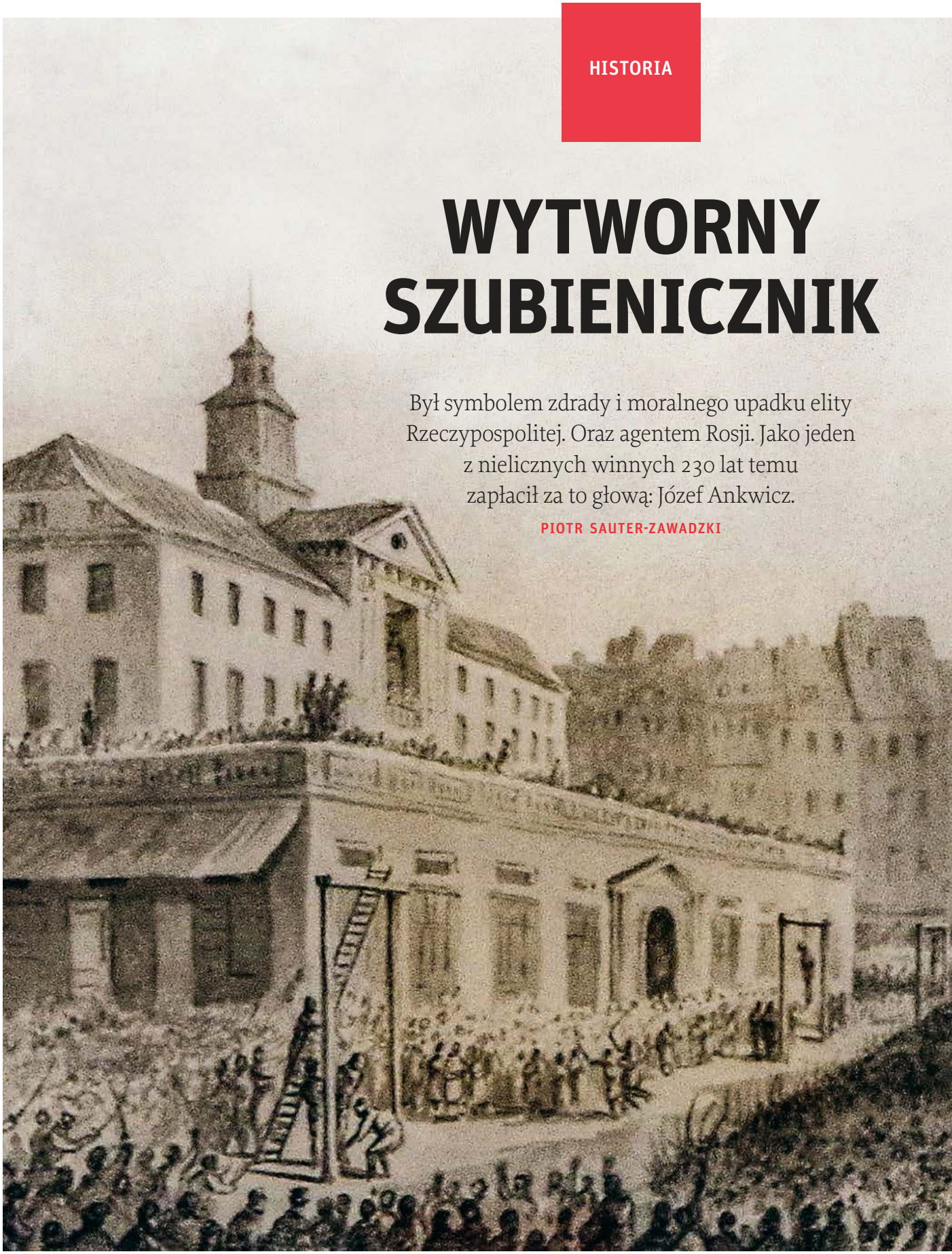

REPR. ZOFIA BAZAK / EAST NEWS

Tak egzekucję zdrajców 9 maja 1794 r. uwiecznił francuski malarz Jan Piotr Norblin, obecny wtedy w Warszawie.

Jest 9 maja 1794 r. W kraju trwa kościuszkowska insurekcja. Zrewoltowany lud Warszawy domaga się ukarania zdrajców. Zaraz po wyroku Sądu Kryminalnego czterej skazańcy prowadzeni są kolejno na egzekucję.

Tylko jeden z nich, Józef Ankwicz – jeszcze do niedawna pełniący w państwie funkcję, którą można by porównać z dzisiejszym urzędem premiera – zachowuje do końca wielkopański fason. Jego twarz, na francuską modłę, pokrywa warstwa bielidła. Wygląda, jakby występował w masce.

Co było w nim takiego, że – jak napisze potem Józef Ignacy Kraszewski – szedł pod szubienicę „okazały postacią, imponujący i bynajmniej niezmieszany”?

Przyjrzyjmy się jego historii. W tym krótkim, 44-letnim życiu jak w lustrze odbija się obraz ówczesnych elit. Od nich zależało być albo nie być tamtej Rzeczypospolitej.

„DRĄŻKOWI” | Należał do pokolenia, którego głównym doświadczeniem był upadek Rzeczypospolitej, a najważniejszą życiową próbą – postawa, jaką wybierano wobec tego upadku.

Urodził się około roku 1750 w spolszczonej i uszlachconej rodzinie, wywodzącej się z patrycjuszowskiego rodu Jenkwitz. Ojciec Stanisław był kolejno stolnikiem krakowskim, kasztelanem bieckim i sądeckim. Po pierwszym rozbiorze w 1772 r., gdy został podwójnym poddanym, polsko-austriackim, cesarz z Wiednia nadał mu tytuł hrabiego.

Stolnik należał do niższej kategorii urzędów, a oba kasztelaństwa też nie przysparzały znaczności. W izbie senatorskiej nie zaliczano ich do „krzesłowych”, lecz „drążkowych”: ich miejsce było za biskupami, wojewodami i kasztelanami większymi, którzy zasiadali na krzesłach. „Drążkowi” sadowili się gdzie bądź, także na poręczach, stąd określenie.

Niemiecki literat Friedrich Schulz, pisząc wówczas o równym jakoby statusie szlacheckich „panów braci”, oceniał, że jest około trzydziestu znaczących familii, które „przez swe bogactwa, (...) głosem i osobami drobnej szlachty rozporządzają, są w łaskach u króla i wpływają na jego rozdawnictwa, mają po sobie ambasadorów obcych, powiązane są z najzacniejszymi rodzinami i z pomocą tego wszystkiego niezmierne mają znaczenie”.

ŻEBRZĄC ŁASKI | Fakt ten nie był bez znaczenia z punktu widzenia mocarstw sąsiednich – stanowił, jak byśmy dziś powiedzieli, dobrą „sytuację werbunkową”. Mania posiadania tytułów była bowiem dojmująca. „Było to – pisze w pamiętniku Józef Sułkowski (generał, uczestnik powstania kościuszkowskiego) – nigdy nie ugaszone pragnienie, pewien rodzaj puchliny szlacheckiej. Ten politowania godny zapał, który zdrowy rozsądek mógłby wziąć za chorobę, uważany był w owych czasach za wzniosłe namiętności”.

Jakim wzorem dla innych były tak wykreowane elity, wyczytać można w relacji Gabriela Bonnot de Mably z czasu pierwszego rozbioru: „Ludzie (...) sprawujący władzę w Rzeczypospolitej nadstawiają szyję pod jarzmo, żebrząc łaski przyszłych władców; czynią to (...) z tą wytworną łatwością, która cechuje wyrafinowanych dworaków najbardziej despotycznych krajów”.

TOWARZYSTWO | Wracając do Ankwicza: Adam Zamoyski, biograf króla Stanisława Augusta, określa go jako „pozbawionego skrupułów parweniusza”.

Urząd kasztelana sądeckiego przejmuje po ojcu, gdy temu nadany zostaje tytuł hrabiego austriackiego cesarstwa.

Młody Ankwicz pojawia się u historyka Andrzeja Hamerlińskiego-Dzierożyńskiego, opisującego XVIII-wiecznych karciarzy. Zaliczony do grona „nieledwie chłopców jeszcze, co później dopiero zabłysnąć mieli na firmamencie szulerskim, ale już teraz nie wahali się siadać do stolika z najtęższymi graczami”.

Jest wśród tych graczy Adam Poniński, marszałek pierwszego Sejmu rozbiorowego. Są też inni sługusi ambasadorów rozbiorowych mocarstw. Dla młodzieńca o „wątłych siłach moralnych” (tak ocenia go autor jego biogramu w Polskim Słowniku Biograficznym Juljan Nieć) to fatalne towarzystwo.

CZŁOWIEK KRÓLA | Nieć podaje, że młody Józef kształci się w warszawskim Collegium Nobilium. W roku 1776, mając 26 lat, posłuje na Sejm z ziemi krakowskiej. Następnie dzięki swoim zdolnościom prawniczym zostaje protegowany przez króla na sędziego trybunału koronnego. Sprawuje też funkcję komisarza skarbowego.

Mimo namów króla z obu posad jednak wkrótce rezygnuje. Niemniej na Sejmie w 1784 r. delegują go do deputacji zajmującej się wyborem kandydatów do Rady Nieustającej – faktycznego rządu (organ ten powołano w 1775 r.). Zostaje też uhonorowany Orderem Orła Białego (co jednak niewiele znaczy, król lekko szafuje tym orderem).

Po śmierci ojca w 1784 r. Józef obejmuje majątek i przyjmuje tytuł hrabiego. Wycofuje się wtedy na pewien czas z działalności politycznej. Bywa w Dreźnie i Wiedniu. We wsi Inwałd chce postawić rodową rezydencję, ale budowy nie kończy – rozrzutność go rujnuje, trwoni majątek swój i żony (także grą w karty).

Nękany procesami przez wierzycieli, szuka pomocy u króla. Ten ofiaruje mu pensję, oczekując w zamian przysług na Sejmie Czteroletnim, który ma reformować państwo.

↦

Ankwicz, „drapując się w togę gorliwego »patrioty«" (jak pisze Nieć), oczekiwania te spełnia. „Patrzę tu jak na poczwary na tych wszystkich, którzy zwodzili dotąd naród" – oburza się w liście do króla. Jan Sagatyński, królewski paź, wspomina, że Ankwicz był „przystojny, pięknej twarzy, wspaniałej figury i słynął ze swej wybornej wymowy, którą odznaczał się na Sejmie czteroletnim".

DYPLOMATA | Korzystając z patronatu króla, Józef chce pozyskać intratny urząd wojewody krakowskiego. Nie udaje się. Stara się więc o miejsce we wznowionej przez Sejm służbie dyplomatycznej. Bez skutku zabiega o posadę posła w Hiszpanii. Za to dostaje nominację na posła w Kopenhadze.

„Od początku panowania – relacjonuje świadek tamtych czasów Adam Moszczeński – dążył król do poniżenia magnatów i familii, które się wynosiły nad równość szlachty (...) i nigdy ich nie używał, nie wysyłał posłami do zagranicznych dworów, ale z nowo zrobionych i wybranych pomiędzy szlachtą".

Na wieść o uchwaleniu Konstytucji 3 Maja Ankwicz pisze w depeszy: „Nie mogę wpośród ojczyzny, wpośród współziomków wylać uczucia najradośniejszego (...), głos radości wyżej posyłam. Idzie on wraz z dziękczynieniem do najwyższego łask wszelkich dawcy, ztamtąd niech na prawdziwych ojczyzny wybawicielów wszelka spada nagroda, pomyślność i błogosławieństwo".

Gaża nie wystarcza mu jednak na opłacenie kosztów. Musi nadwyrężać swoje fundusze, zadłużać się. Po półrocznym posłowaniu prosi o zgodę na powrót do kraju.

Po powrocie zabiega o reaktywację swego poselstwa, lecz stawia warunek. Złożywszy urząd kasztelana, domaga się zwrotu wydatków za dotychczasową misję. Otrzymuje je, po czym znów zjawia się w Kopenhadze. Tym razem z funkcji zwalnia go Targowica – ruch antyreformatorski, który znosi decyzje Sejmu Wielkiego.

DUKATY I AMBICJE | Kiedy zaczął się wysługiwać kolejnym rosyjskim ambasadorom? Czy był to ten moment, gdy poseł carycy Jakow Bułhakow obdarował go kosztowną tabakierą? W każdym razie pewna jest motywacja Ankwicza: pieniądze, a także pragnienie, aby stać się wreszcie kimś znacznym, wybić się ku wielkopańskiej znaczności.

Kolejny rosyjski ambasador Jakob Sievers (to on przeprowadzał Sejm rozbiorowy w Grodnie) w korespondencji ze swym następcą tak charakteryzuje Ankwicza: „Posiada on wielkie zdolności, ma piękne pióro i był najznakomitszym mówcą sejmowym; co się jednakże tyczy spraw bieżących, nie śmiałbym polegać na nim samym".

Przekazuje też, że hrabia pobierał od niego miesięcznie ok. 1500 dukatów. Z kolei w liście do córki Sievers chwali się: „Gdybyś słyszała, co dziś hrabia Ankwicz, najwymowniejszy spomiędzy posłów, mówił na konferencji (...), byłabyś powiedziała, że nie można opuszczać tych ludzi, którzy twojego papę lubić się zdają".

Z wystąpień Ankwicza najmocniej wybił się koncept, jakim się popisał, gdy żądano od posłów zatwierdzenia traktatu rozbiorowego. Wobec ich milczącego bojkotu ogłosił, że milczenie oznacza zgodę.

„Ten człowiek – pisze historyk Wacław Tokarz – przeszedł bez najmniejszego przekonania, li tylko dla zrobienia kariery, w szeregi zwolenników Rosji, oddając na jej usługi swą zdolność wypowiadania mów patetycznych przy każdej okazji".

SZELMA | Następnie, dzięki Sieversowi, zostaje marszałkiem Rady Nieustającej, najwyższego wtedy organu władzy rządowo-administracyjnej w państwie. Sejm przyznaje mu pensję 24 tys. złotych polskich (zamiast etatowych 15 tysięcy). Wynosi go to ponad innych członków Rady.

Ale dla niego to mało. „To wszystko – pisze Tokarz – nie wystarczyło mu do spłaty długów, do zaspokojenia nawet zwykłych potrzeb życia. Jego też miał na myśli Sievers, gdy (...) zwracał się do Imperatorowej z prośbą, aby od siebie wyznaczyła pensje członkom Rady, (...) gdyż inaczej Prusy kupią ich za bardzo niewielkie pieniądze".

Gdy miejsce Sieversa zajmuje Osip Igelström, Ankwicz służy mu równie gorliwie. Na jego żądanie odszukuje oryginały Konstytucji 3 Maja i druki z czasów Sejmu Czteroletniego, by zatrzeć ślady po ustanowionych wtedy prawach. Pomaga Igelströmowi w przywracaniu najgorszych ustrojowych wad. Dziełem Rady jest też uniwersał na sejmiki z poleceniem, by na urzędy wybierano targowiczan.

„Choćby mnie szelmą nazywano – wyznaje w liście do jednego z nich – to ja już mocniejszej strony nie puszczę, bo idzie o moją egzystencję".

Odsuwają się od niego przyjaciele, a nawet krewni. W Radzie jest znienawidzony za, jak pisze Tokarz, „czelność popierania najhaniebniejszych wniosków pięknymi, klasycznymi frazesami o potrzebach Ojczyzny". I za to, że donosi Igelströmowi na innych członków Rady.

WIDMO KARY | Po tym jak 24 marca 1794 r. w Krakowie Kościuszko ogłasza insurekcję, Ankwicz zjawia się na posiedzeniu Rady z odezwą Naczelnika, w której ten grozi karą śmierci za „zbrodnie przeciwko celowi zbawienia Ojczyzny popełnione". Czy się boi? Może tak, duch powstańczy rozchodzi się już także po Warszawie.

Przed Sądem Rejonowym w Łomży, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie sygn. akt I Ns 127/24 z wniosku Wacława Biedrzyckiego z udziałem Antoniego Biedrzyckiego, Marioli Bogdan o zasiedzenie działek nr 321, 330 oraz 336 położonych w Karwowie, gm. Stawiski, woj. podlaskie.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i wykazali swoje prawa własności do przedmiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, o ile zajdą ku temu przewidziane prawem przesłanki.

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 375/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Wójciku, ur. 4.10.1954 r. w Wieliczce, zm. 3.06.2017 r. w Wieliczce, ostatnio zamieszkałym w Wieliczce. Sądowi nie jest znany skład spadku.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

Aby go poskromić, Rada rozkazuje polskiemu wojsku współdziałać z rosyjską armią, która stacjonuje w kraju. Wojsko się burzy. Król chce ogłosić uniwersał nawołujący do zachowania spokoju, ale Igelström uważa, że jego wymowa jest za łagodna. Ankwicz, mimo oporu innych członków Rady, wymowę tę wyostrza.

Podobnie dzieje się z notą, w której Igelström żąda pozwania przed sąd kilku osób z warszawskiego spisku powstańczego. Ankwicz zmusza Radę do głosowania. Jej członkowie, strwożeni nadchodzącą burzą, odpowiadają milczeniem. Jak kiedyś, Ankwicz uznaje to za zgodę.

Wielu zagrożonych karą za zdradę ucieka ze stolicy. Ankwicza zatrzymuje polecenie Igelströma. Choć jako marszałek Rady ma wojskową ochronę, każe służbie, by kładła mu w gotowości ubranie pod łóżkiem. Śpi z szablą i pistoletami.

PYCHA ARESZTANTA | Jest połowa kwietnia 1794 r. Plotka, jakoby Rosjanie szykowali w Warszawie krwawą rzeź, sprawia, że w stolicy wybucha powstanie.

Ochrona Ankwicza ucieka. Ten schronienia szuka w zamku. Król, choć chroni wielu jemu podobnych, nie życzy sobie jego obecności. Pozostaje mu jedno: udać się dobrowolnie do więzienia. Pytanie tylko jak, aby po drodze uniknąć ulicznego samosądu. Prezydent Warszawy Ignacy Zakrzewski odmawia. Lituje się sekretarz Komisji Edukacji: przechowuje Ankwicza, dopóki nie uda się przewieźć go do więzienia w Pałacu Rzeczpospolitej. Tu po paru dniach trafia do piwnic w prochowni – między przestępców kryminalnych.

Sagatyński wspomina, że Ankwiczowi pozwolono mieć na usługach kamerdynera. Umożliwia mu to tajemną korespondencję z kochanką Franciszką Rytelską. Ona błaga go, by zwrócił się o wstawiennictwo do jednego z przywódców powstania, szewca Jana Kilińskiego. On odpowiada: „Wolę umrzeć, niż się upadlać przed szewcem".

Rytelska wymyśla inny sposób. Na wypadek, gdyby obozujący pod stolicą korpus rosyjski zamierzał zaatakować, wystawiono na drodze z tamtego kierunku straże i słupy owinięte smolistymi wieńcami. W razie zbliżania się wroga straż ma je podpalić. Rytelska namawia sługę, by podpalił pierwszy ze słupów. Kaptuje też ludzi, którzy podczas wywołanego zamętu mają uwolnić Ankwicza i przeprawić za Wisłę. Tam czeka zaprzęg.

POLONA.PL

Portret Józefa Ankwicza autorstwa Johannesa Dursta, powstały między rokiem 1774 a 1794. Sylweta z czarnego papieru naklejona na akwafortowe obramienie

Mimo zamieszania ucieczka się nie udaje. Tymczasem po ulicach stolicy niosą się gniewne żądania ukarania zdrajców.

PROCES | O świcie 9 maja przed ratuszem na Starym Rynku stoją trzy szubienice. Czwarta, dla biskupa Kossakowskiego, na Krakowskim Przedmieściu przed kościołem bernardynów. „Kilka tysięcy gminu uzbrojonego cały rynek zaległo" – wspomina Józef Wybicki, uczestnik insurekcji. „Uzbrojonego w kosy i piki, żelaza, pałasze, siekiery na drągach osadzone" – uzupełnia inny pamiętnikarz.

Straż obywatelska doprowadza więźniów do ratusza. Hetmana Ożarowskiego niosą na fotelu, jakoby „z powodu słabości". Kossakowski idzie ze spuszczoną głową. Ankwicz i hetman Zabiełło kłaniają się wytwornie ciżbie.

„Ankwicz – pisze Hamerliński-Dzierożyński – zachowywał się najodważniej i najbardziej po pańsku. Na pytania trybunału odpowiadał bez wykrętów, bronił się logicznie". Kiliński przytacza w pamiętniku jego ripostę na zarzut udziału w rozbiorze kraju: „Cała pierwsza klasa szlachty, wszyscy podpisali. (...) Gdyśmy wszyscy grzeszyli, to też wszyscy wisieć powinni. Ale tam, gdzie wszyscy grzeszą, tam grzechu nie masz, a zatem i ja wisieć nie powinienem".

EGZEKUCJA | Ożarowskiego na szubienicę podciągają na fotelu. Kiliński wspomina, że miał on na sobie „tylko szlafrok, kamizelkę i spodnie dosyć ordynarne". Inny świadek dodaje, że „nieprzyjemny był widok, kiedy powieszony, mając zęby wprawione, wysunął one naprzód, tak jak gdyby się śmiał ze swej niedoli".

Zabiełło błaga o miłosierdzie, rzuca się mijanym ludziom do nóg. Krzyczy, że jest niewinny, że to żona brała rosyjskie pieniądze. Biskup Kossakowski, z którego przed egzekucją zdarto duchowne suknie, też błaga o litość i woła, by powiesić króla.

Ankwicza wieszają po Ożarowskim. Sagatyński wspomina, że skazaniec „sądził, że i przy szubienicy lud doskonałą wymową potrafi ująć, zmiękczyć i uwolnić się od haniebnej śmierci". Z drabiny rozpoczyna więc kwieciście: „Narodzie! Zawsze szlachetny! Zawsze sławny! Czyliż nie znajdę u was litości?". Przerywają mu okrzyki, szczęk pałaszy i odgłos bębnów. Sięga zatem po złotą tabakierkę, zażywa tabaki i wręcza tabakierkę katu. Według jednej z wersji miał mu powiedzieć, że to pamiątka, „żeś marszałka koronnego miał w rękach swoich".

Do szubienicy, na której wisi, ktoś przykleja wiersz:

Był posłem, kasztelanem,
był marszałkiem rady,
We wszystkich tych urzędach wszędzie
użył zdrady.
Jego piękność, wymowa wielu
omamiało,
A pospólstwo po prostu powiesić kazało.

PRYZMAT WYOBRAŹNI | Bielidło na twarzy Ankwicza wywołuje wrażenie, że odgrywa on scenę śmierci, by potem zejść do garderoby i zetrzeć z twarzy maskę.

Jarosław M. Rymkiewicz, rozważając w książce „Wieszanie" problem dochodzenia prawdy w świadectwach z przeszłości, wnioskuje, że historia jest w gruncie rzeczy sferą naszych o niej wyobrażeń.

Przyglądając się epizodom z życia Ankwicza, wyobrazić sobie zatem można, że miał on naturę aktora, utalentowanego, lecz o „wątłych siłach moralnych".

Gdy z pozycji parweniusza wybił się wreszcie do wiodącej roli, odegrał ją z zacięciem do końca. Braw za to jednak nie otrzymał. Lud ze wzgardą patrzył, jak za opadającą kurtyną niknie stary świat.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

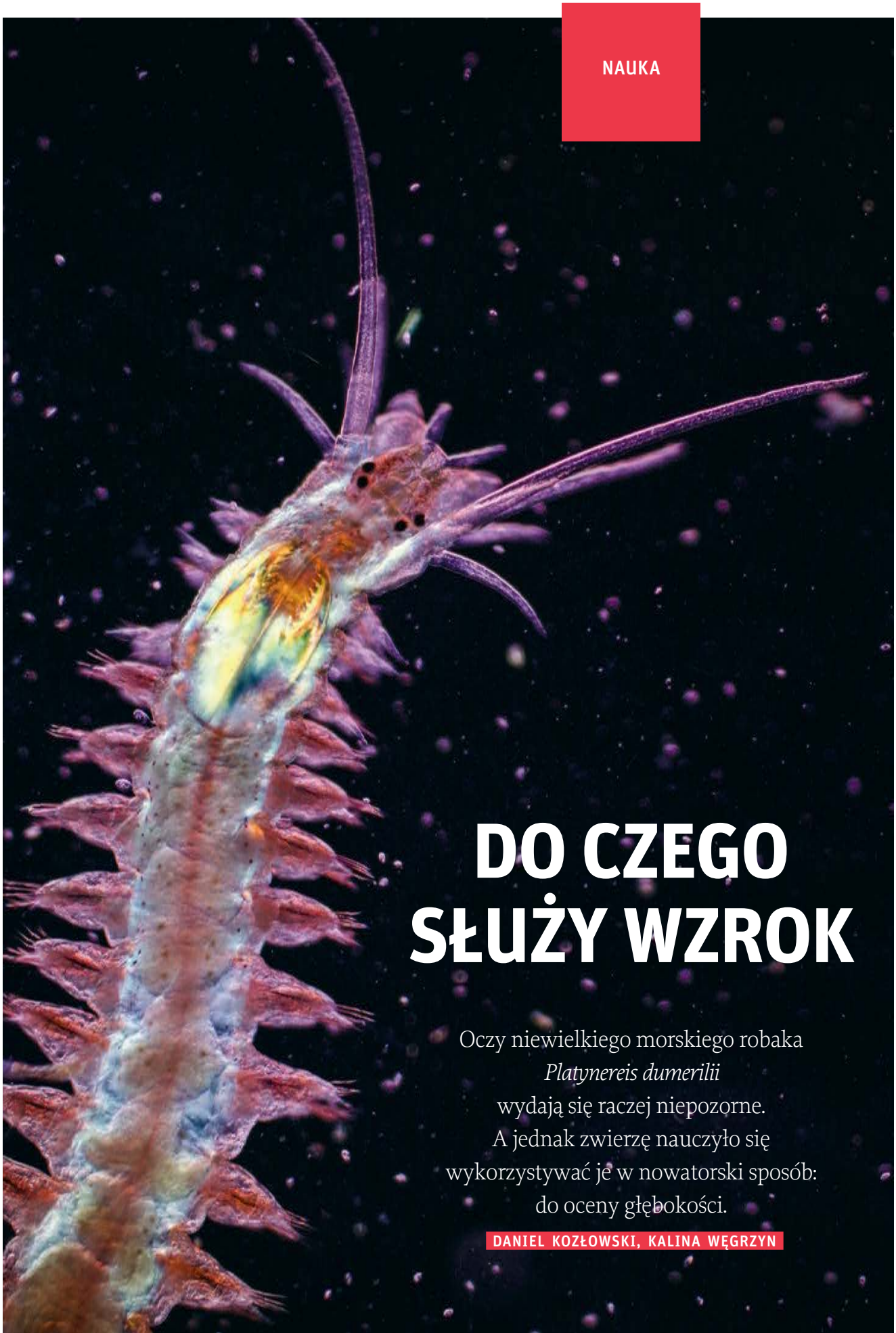

DO CZEGO SŁUŻY WZROK

Oczy niewielkiego morskiego robaka *Platynereis dumerilii* wydają się raczej niepozorne. A jednak zwierzę nauczyło się wykorzystywać je w nowatorski sposób: do oceny głębokości.

DANIEL KOZŁOWSKI, KALINA WĘGRZYN

KARL GAFF / EAST NEWS

Ludzkie oczy są uważane za majstersztyk ewolucji – przekazują obraz otoczenia do mózgu, po drodze odpowiednio go filtrując i obrabiając. Kunsztowną budową oka można się zachwycać, ale warto zauważyć, że nie potrzeba wyrafinowanych narządów, by wykonywać najbardziej podstawowe zadanie oka: odbierać światło. Wystarczy zestaw światłoczułych białek-receptorów w pojedynczej komórce, aby wyłapać pędzące przez przestrzeń fotony. Potrafią to nawet glony, nie wspominając o tym, że wszystkie rośliny i wiele bakterii wykorzystują światło, by produkować dla siebie pokarm w procesie fotosyntezy.

Idealnym przykładem jest prawdopodobnie najmniejsza na świecie kamera – jednokomórkowy glon *Erythropsidinium*. Posiada on ocelloid – organellum składające się z soczewki skupiającej światło i ciałka retinalnego, które jest pobudzane przez fotony. Choć większość jednokomórkowych glonów jest samożywna, *Erythropsidinium* uzupełnia swoją dietę, pochłaniając rozmaite stworzenia – a ocelloid być może pomaga mu w polowaniu na nie. Jeśli ta hipoteza jest prawdziwa – co trudno sprawdzić, gdyż sam gatunek jest trudny do znalezienia w przyrodzie i utrzymania w laboratorium – to światło dostarczane do ocelloidu musi nieść jakąś informację, która pozwala glonowi na detekcję niewielkiej zdobyczy w toni wodnej.

Jakich informacji może organizmom dostarczać światło? Odpowiedzi wydają się oczywiste. Wzrok, choćby najbardziej ograniczony, pozwala łatwiej znaleźć pożywienie i miejsce do życia, ułatwia rozpoznawanie zagrożeń albo potencjalnych partnerów. Światło kieruje też zachowaniem całych populacji organizmów – sprawia, że fioletowe bakterie fotosyntetyczne *Rhodospirillum centenum* zaczynają pełzać, poszukując siedlisk bogatych w życiodajne fotony, a mikroskopijne morskie bezkręgowce migrują w górę i w dół oceanicznej toni, pokonując odległości nawet kilku kilometrów w ciągu doby. Jednym z takich zwierząt jest larwa pierścienicy *Platynereis*, której pozornie prosty narząd zmysłów pozwala na ocenę głębokości – na tym osobliwym zachowaniu skupimy się w dalszej części naszej opowieści.

Pierścienica Platynereis dumerilii pod mikroskopem.

Rzęski czy kosmki?

Wszystkie fotoreceptory zawierają opsyny, czyli białka zdolne do reakcji na światło. Jednak ich wygląd i sposoby działania mogą być bardzo różnorodne, nawet jeśli kształtowały je podobne tendencje ewolucyjne. W ewolucji zwierząt do powstania fotoreceptorów doszło co najmniej dwukrotnie – u niektórych zwierząt opsyna znalazła się na rzęskach, a u innej grupy na mikrokosmkach. Rzęski to ruchome struktury błony komórkowej, które jednokomórkowce wykorzystują do przemieszczania się, a komórki nabłonka naszych dróg oddechowych – do usuwania patogenów. Natomiast mikrokosmki to mniejsze, niezdolne do ruchu wypustki, które możemy znaleźć np. w komórkach nabłonka jelita cienkiego. Obecność opsyny na dwóch różnych strukturach komórki u różnych grup zwierząt można uznać za przykład ewolucji konwergentnej, czyli takiej, w której bardzo podobne rozwiązania powstają niezależnie u dalece spokrewnionych grup. W taki sposób powstały np. skrzydła u ptaków i nietoperzy.

A dlaczego opsyna lokuje się akurat na rzęskach i mikrokosmkach? Wyprodukowanie każdego białka wiąże się z pewnym kosztem energetycznym, więc ewolucyjnie korzystne jest umieszczenie go w miejscu, w którym jego potencjał zostanie w pełni wykorzystany. Opsyna reaguje na światło, zatem najlepiej, aby znalazła się na najbardziej oświetlonym fragmencie błony. Żeby jeszcze bardziej zaoszczędzić energię, dobrze byłoby wykorzystać do tego celu już obecne na powierzchni komórki struktury, a więc przekształcić część rzęsek i mikrokosmków w opsynowe anteny – fotoreceptory.

Tzw. receptory typu R (których struktura przypomina szczoteczkę z włóknami mikrokosmków) występują głównie u bezkręgowców, natomiast receptory typu C (typu rzęskowego) są raczej charakterystyczne dla kręgowców. Pręciki i czopki obecne w ludzkiej siatkówce to receptory rzęskowe, ale wyspecjalizowane i mogące spełniać różne funkcje. Czopki, odpowiedzialne za percepcję barw, zawierają opsyny reagujące na czerwone, niebieskie lub zielone światło – w siatkówce człowieka znajdują się trzy rodzaje czopków, co pozwala na widzenie trójchromatyczne. Kolory inne niż czerwony, niebieski i zielony nasze oko i mózg postrzegają zatem jako mieszankę trzech podstawowych barw. Natomiast pręciki, by reagować na niższe natężenia światła, przekształciły swoje rzęski w podłużne wypustki, na których może zmieścić się więcej opsyny. Takie dostosowania ludzkich czopków i pręcików sprawiają, że nasz wzrok działa dobrze również w warunkach słabego oświetlenia i pozwala nam łatwo rozróżnić przedmioty w otoczeniu, rozpoznając ich kolory.

Biologia ma to do siebie, że jeśli wydaje nam się mało skomplikowana, to znaczy, że czegoś jeszcze nie wiemy. Okazuje się bowiem, że niektóre zwierzęta mogą posiadać zarówno receptory typu C, jak i typu R – a co więcej, używać ich do precyzyjnej nawigacji w trójwymiarowej przestrzeni. Być może w przeszłości więcej zwierząt posiadało obie grupy receptorów, ale u różnych z ich potomków zachował się tylko jeden z dwóch rodzajów? Istnieje jednak organizm, dla którego korzystnym okazało się posiadanie obu typów receptorów – *Platynereis dumerilii*, morski robak zaliczany do wieloszczetów, daleki krewny poczciwych dżdżownic.

Pełne zanurzenie!

Życie *Platynereis* nierozerwalnie związane jest ze słońcem. Zaczyna się zawsze kilka dni po pełni księżyca, w ciągu krótkiego okresu między zachodem słońca a wschodem księżyca. Dojrzałe *Platynereis* mają zdolność rozróżniania światła słonecznego i księżycowego oraz oceny czasu, który minął od wschodu księżyca, a w dogodnym momencie migrują w kierunku powierzchni wody, by się rozmnażać.

Larwy *Platynereis* również poruszają się w ustalanym przez słońce rytmie. Ich głównym źródłem pożywienia jest unoszący się w toni wodnej plankton, więc podążając za pokarmem, zwierzęta muszą nieustannie korygować swoje położenie. Oczy larw prawdopodobnie nie są na tyle złożone, by widzieć unoszące się w wodzie malutkie organizmy, ale pozwalają na precyzyjną ocenę głębokości. W jaki sposób?

W 2018 r. naukowcy z instytutu Maxa Plancka w Niemczech postanowili sprawdzić, jak larwy poruszają się w różnych rodzajach światła. Od dawna ↦

↦ wiadomo było, że młode *Platynereis* zwykle pływają w stronę słońca (lub źródła światła widzialnego). Okazało się jednak, że użycie światła UV wywołuje przeciwny efekt: larwy unikają go, płynąc w dół.

Larwy *Platynereis* mają oczy zbudowane z receptorów typu R (powstałe z mikrokosmków), które reagują na światło widzialne. W ich mózgu osłoniętym półprzezroczystym nabłonkiem znajdują się jednak zupełnie inne komórki, które reagują na światło ultrafioletowe – to receptory typu C (rzęskowe). Badacze zaobserwowali z użyciem mikroskopu elektronowego, że receptory rzęskowe w mózgu są połączone za pośrednictwem komórek nerwowych z receptorami typu R w oczach. Na tej podstawie wysnuli wniosek, że receptory rzęskowe korygują aktywność tych drugich – kiedy mózg „zauważy" światło UV, wysyła oczom informację „nieważne, co widzicie, nie płyniemy w górę!".

Wydawałoby się, że taki mechanizm nie jest bardzo efektywny – dlaczego organizm miałby najpierw płynąć w górę, by potem z powrotem nurkować? Okazuje się jednak, że mając dwie światłoczułe komórki, których odpowiedzi różnią się w zależności od koloru padającego na nie światła, ewolucja mogła doprowadzić do stworzenia... biologicznego miernika głębokości. Choć wydaje się to nieprawdopodobne, by światło miało służyć do oszacowania poziomu zanurzenia, krótkie rozważania ekologiczne na temat światła pomogą nam to zrozumieć.

Jak mierzyć głębokość?

W wodzie światło zachowuje się inaczej niż w powietrzu. Światło o krótszych długościach fal, jak UV, rozprasza się tam bardzo szybko. Odwrotnie jest ze światłem czerwonym, które może penetrować zbiorniki wodne głębiej. Światło o różnych barwach inaczej rozprasza się też na pływających w wodzie istotach i choć ludzie nie byliby w stanie zauważyć żyjących w wodzie mikroorganizmów, to ryby mają taką możliwość. Nasz wzrok, zaadaptowany do rozpoznawania obiektów o barwach z zakresu długich długości fal, pominąłby pływającego w wodzie pantofelka. Jednak światło UV rozprasza się na pantofelku i być może dla jedzącej mikroorganizmy ryby, której oczy dostosowane są do życia w wodzie, wygląda on jak błyszcząca kropka. To, co widzimy, wynika więc po części z tego, co środowisko świetlne ma nam do zaoferowania, a po części z tego, jak nasze widzenie w takim otoczeniu wyewoluowało. To zaś z kolei wiąże się z tym, *po co* organizm miałby tę informację wykorzystywać.

Gdybyśmy na dwóch różnych głębokościach zliczyli, przykładowo, fotony niebieskie i te, które są z zakresu UV, okazałoby się, że stosunek fotonów niebieskich do UV byłby większy przy większym zanurzeniu – wiąże się to z tym, że światło UV będzie rozpraszane szybciej w porównaniu do światła niebieskiego. To właśnie tę wiedzę wykorzystano w eksperymencie, w którym oświetlano akwarium z larwami *Platynereis* z góry światłem o różnej procentowej zawartości fotonów UV i niebieskich. Gdy w świetle była przewaga fotonów UV, larwy unikały światła i płynęły w dół. Odwrócenie tej proporcji spowodowało, że zwierzęta zaczęły płynąć w górę. Gdy z kolei światło zawierało 40 proc. fotonów UV i resztę z zakresu niebieskiego, larwy pozostawały na pewnej ustalonej głębokości. Wykrywanie różnych barw światła ma więc znaczenie w określeniu kierunków góra-dół. Odbywa się to dzięki wspomnia-

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarosławiu I Wydziałem Cywilnym toczy się sprawa pod sygnaturą I Ns 359/23 o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Marianie Harpuli (Harpula), s. Józefa i Anny, urodzonym 2 lutego 1944 roku w Tywoni, zmarłym 10 grudnia 2022 roku w Niemstowie, ostatnio zamieszkałym w Tywoni. W skład spadku po nim wchodzi udział w nieruchomościach.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Słubicach I Wydział Cywilny toczy się postępowanie w sprawie o sygnaturze akt I Ns 386/21 z wniosku Gminy – Miasto Kostrzyn nad Odrą, o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Jaster, córce Feliksa i Leokadii, urodzonej w dniu 24. 07. 1939 r., zmarłej w dniu 13. 07. 2020 r. w miejscowości Sulęcin, której ostatnim miejscem stałego pobytu był Kostrzynie nad Odrą.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili i udowodnili swoje prawo do spadku w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Sądowi nie jest znany majątek zmarłej.

Przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie w XVI Wy-dziale Cywilnym w sprawie o sygn. XVI Ns 395/23 toczy się postępowanie z wniosku m.st. Warszawa z udziałem Agaty Kalbarczyk o stwierdzenie nabycia spadku po Włodzimierzu Adamie Jędryczku, synu Mikołaja i Bronisławy urodzonemu w dniu 24 maja 1923 roku w Sosnowcu, zmarłemu w dniu 21 marca 2012 r. w Legionowie, ostatnio stale zamieszkałemu w Warszawie przy ulicy Chełmskiej 24 m. 16A.

Wzywa się, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie, XVI Wydziału Cywilnego i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 864/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Janickim, synu Jana vel Józefa, zmarłym w dniu 28 listopada 2020 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu 3 miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

nym już rzęskowym receptorom znajdującym się w mózgu. Światło słoneczne pełni więc różnorodne funkcje w zależności od organizmów, które posiadają niezbędne fotoreceptory i połączone z nimi komórki nerwowe.

Ewolucja tego niezwykłego gatunku skryła jednak jeszcze więcej niespodzianek. Choć wspomniane wyżej światło wydaje się wystarczające, by określać położenie góra-dół, dodatkowe eksperymenty wykazały, że kilkudniowe larwy *Platynereis* wyczuwają również zmiany ciśnienia i wykazują barotaksję, tzn. płyną w kierunku preferowanego przez nie ciśnienia (różnego na różnych głębokościach). Mechanizm tego zachowania nie jest dobrze poznany, ale wszystkie dowody wskazują na... rzęskowy fotoreceptor znajdujący się w mózgu. Tak, ten sam, który akapit wyżej brał udział w wykrywaniu różnych proporcji świateł UV i niebieskiego, by kontrolować zanurzenie.

Meandry ewolucji

Może nas to wprawić w osłupienie – oto komórka będąca receptorem światła nabrała nowej zdolności – recepcji ciśnienia, niezbyt, jak się wydaje, powiązanej ze słońcem i fotonami. Być może jednak coś w budowie tej komórki, jak na przykład jej „elastyczne rusztowanie" zbudowane z mikrotubul i różnego rodzaju filamentów, pozwoliło na wykrywanie zmian ciśnienia, co okazało się przydatnym dodatkowym sygnałem informującym o zmianie zanurzenia. Obie te zmienne, światło i ciśnienie, mogą być powiązane z optymalną głębokością, do której dąży *Platynereis*.

W wodzie światło zachowuje się inaczej niż w powietrzu.
Światło o krótszych długościach fal, jak UV, rozprasza się tam bardzo szybko. Odwrotnie jest ze światłem czerwonym.

Ewolucja, poprzez losowe mutacje i kontekst, w jakim one zachodzą, eksploruje możliwości, które mogą wymykać się naszej codziennej intuicji. Gdy biolodzy próbują zrozumieć jakieś zagadnienie związane z tak wielopoziomowym układem, jakim jest nawet najmniejszy organizm, często muszą skupiać się na pojedynczych elementach układu: co się stanie, jeśli dane białko, komórka lub organ nie będą funkcjonować prawidłowo? Jednak odkrycie, że komórka będąca receptorem światła może być jednocześnie miernikiem zanurzenia, wymagało skrzętnej analizy całego układu i uważnego zastanowienia się nad ekologią środowiska, w którym żyje larwa *Platynereis*. Nie wiadomo więc, ile jeszcze zagadek kryją w sobie głębiny oceanów i inne trudno dostępne miejsca na Ziemi zamieszkiwane przez przeróżne istoty. Przykład larwy *Platynereis* dobrze to ilustruje. To, że na lądzie posiadanie różnych typów fotoreceptorów pozwala na widzenie barw, nie oznacza, że te same właściwości światła będą wykorzystane w ten sam sposób przez organizmy żyjące w świecie tak odmiennym od naszego – a jednak wciąż rządzonym tymi samymi prawami przyrody.

© DANIEL KOZŁOWSKI, KALINA WĘGRZYN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

katalog
COPERNICUS FESTIVAL 2024: MASZYNA

A w nim:

- **Łukasz Afeltowicz** o tym, jak technologie pomagają nam stać się ludźmi
- **Marcin Miłkowski** wyjaśnia, jak zrozumieliśmy przyrodę – tę ożywioną i nieożywioną – na podobieństwo maszyn
- **Marta Bielińska** i **Michał Eckstein** zastanawiają się, czy żyjemy w komputerowej symulacji
- **Łukasz Lamża** pyta, czy sztucznej inteligencji brakuje ciała
- **Marzena Zdanowska** przygląda się twierdzeniu, iż cały wszechświat przenika umysł
- **Łukasz Kwiatek** opisuje narzędzia starsze niż ludzkość

Przedstawiamy także głównych gości festiwalu – **Piotra Durkę, Agnieszkę Pollo, Krzysztofa Pyrcia, Larsa Chittkę, Thomasa Plummera** i **Dominikę Dudek** – oraz prezentujemy jego pełny program.

Festiwal odbędzie się w dniach **21-26 maja** w **Muzeum Inżynierii i Techniki w Krakowie.**

PARTNER MAGAZYNU:
COPERNICUS FESTIVAL

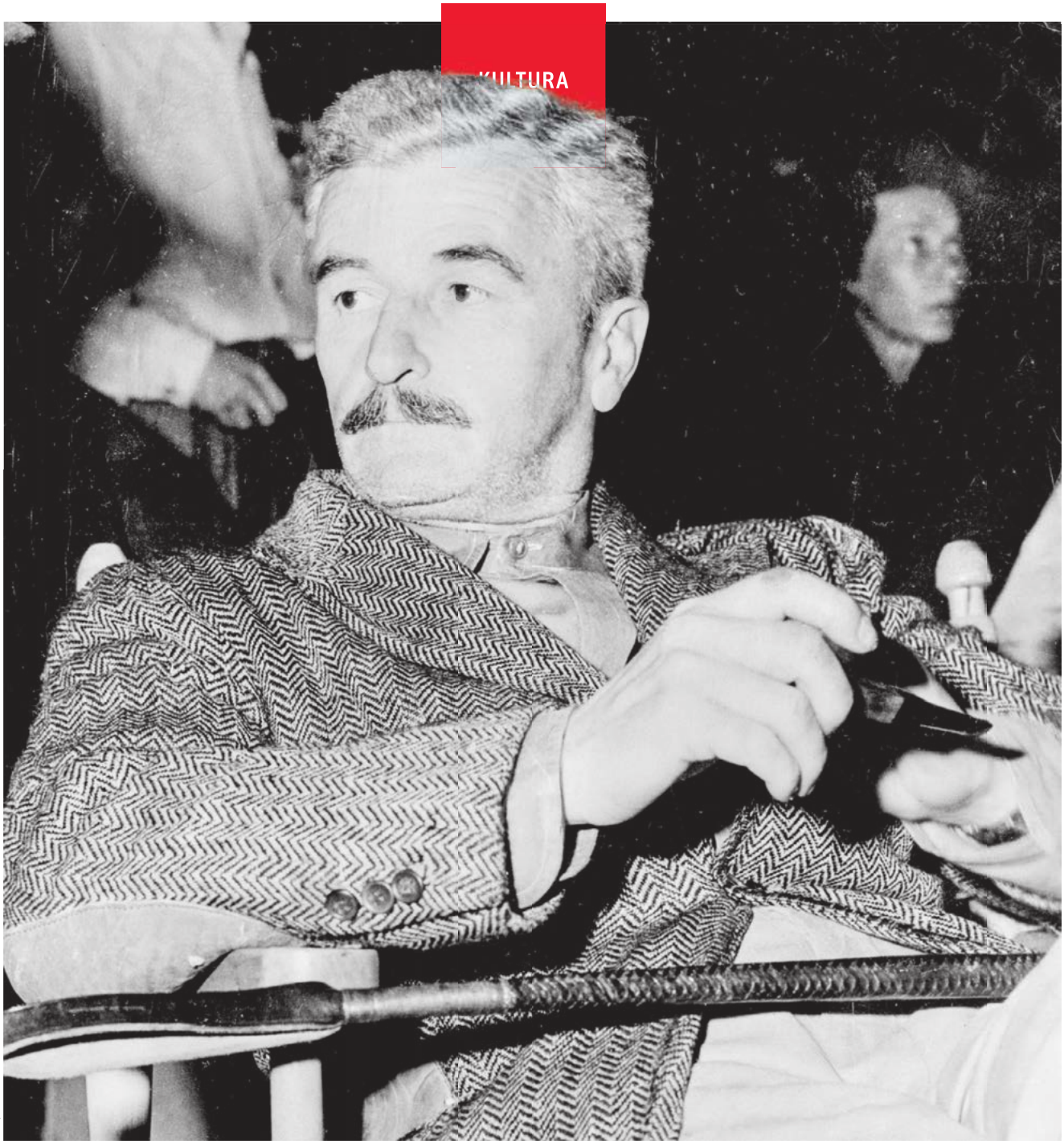

AP / EAST NEWS

William Faulkner, ok. 1950-1955 r.

CZAS NIEZRÓWNANY

Wspaniały jest ten polski renesans Williama Faulknera, wywołany przez nowe tłumaczenia jego książek. Mowa o gigancie, bez którego nie byłoby współczesnej powieści.

WIT SZOSTAK

Za życia Faulkner został okrzyknięty najbardziej europejskim z amerykańskich pisarzy. Istnieje kilka interpretacji tego porównania. Jednym z tropów są podobieństwa między Południem USA, które opisywał, a Europą: rachunek krzywd, wynikający z czasów niewolnictwa i feudalizmu, dominacja rolnictwa i nadal znacząca, choć już nie niekwestionowana pozycja starych rodów. Zamiast amerykańskiego snu wielkich miast – senna, przedindustrialna prowincja z lokalną arystokracją.

Wszystko to sprawia, że pewne jego diagnozy, zwłaszcza dziś, możemy czytać na przykład w kontekście ostatnich polskich dyskusji o pańszczyźnie. A jeśli do tego dodamy dojmujące poczucie porażki, które spowija faulknerowskie hrabstwo Yoknapatawpha, to jesteśmy w samym sercu naszego mitu polskości, który wykuto przez cały XIX wiek. Do dziś rządzi zbiorową wyobraźnią jako senny, upiorny fantazmat.

Można by zaryzykować przewrotną tezę, że Faulkner jest najbardziej polskim pośród amerykańskich pisarzy, gdyby nie głęboko kompensacyjna tonacja tego zestawienia.

Rubieże formy

Faulkner to jednak przede wszystkim wielki rewolucjonista formy nowoczesnej powieści. Miarą jego wielkości jest nie tylko wstrząsająca liczba arcydzieł, jakie wyszły spod jego pióra, ale też wpływ na całe zastępy pisarzy, by wymienić tylko cudowne dzieci latynoskiego boomu: Garcíę Márqueza, Vargasa Llosę czy Carlosa Fuentesa.

U wszystkich widać ślady poszukiwań Faulknera, które polegają nie tylko na czystej inspiracji, ale przede wszystkim na poszerzeniu horyzontów rozumienia powieści. Zresztą wymienieni tu pisarze (i cała rzesza nieprzywołanych) lojalnie o roli Faulknera wspominali, zaś w swoich dziełach pięknie literacko spłacali zaciągnięte długi. I zapewne nie doszłoby do tej fali nowej powieści, gdyby jedyną lub nawet główną wartością prozy Faulknera były lokalne, co tu kryć, sprawy Południa.

Swoje dzieło rozpisał na lata i na wiele powieści budujących wymyślone hrabstwo Yoknapatawpha, położone w stanie Missisipi i wzorowane na rodzinnej okolicy pisarza. Niewiele jest utworów Faulknera, a jeszcze mniej tych znaczących, których bohaterowie zdecydowanie opuszczaliby ten niewielki prostokąt, który znamy ze szkicowej mapy, sporządzonej przez samego pisarza.

Taki anons może jednak sugerować, że przez dekady żmudnie zaludniał wymyślone hrabstwo kolejnymi rodami, dopinając wielką sagę Południa. Heroiczny wysiłek mógłby oznaczać petryfikację formy, która przekształcona w konwencję stałaby się naczyniem na kolejne opowieści.

Strategia Faulknera jest jednak zupełnie odmienna. Niemal od samego początku orientuje się, że zastana przez niego forma powieści nie da rady pomieścić całej złożoności ludzkich losów, skomplikowanej struktury społecznej i wreszcie: zmian, które od czasów mitycznych, czyli wojny secesyjnej, aż do współczesności pisarza, pędzą, przynosząc wstrząsy i zawirowania w tylko pozornie stabilnej rzeczywistości. Już „Wściekłość i wrzask" (1929) to tąpnięcie u samych fundamentów powieści. Zamiast kolejnej historii o kolejnym wielkim rodzie z Jefferson, stolicy Yoknapatawpha, otrzymujemy powieść podzieloną na części, z których każda jest napisana inaczej i opowiada o innym bohaterze z rodziny Compsonów.

A zaczyna się trzęsieniem ziemi: mieszający plany czasowe monolog Benjy'ego, mężczyzny z umysłem dziecka, jest swoistą inicjacją w faulkneryzm: jeśli przetrwasz, czytelniku, rozpad wszystkiego, co wiesz o tradycyjnej narracji, to możesz wejść w ten literacki świat. I zapewne dla wielu ta pierwsza część była progiem nie do przeskoczenia.

Strategie narracyjne

Dlaczego nie dało się opowiedzieć historii Compsonów zwyczajnie? To pytanie powinniśmy sobie zadać, by zrozumieć, że pozornie zanurzony w archaiczny świat swego hrabstwa Faulkner wszystkimi swymi pisarskimi nerwami wyczuwał wyczerpanie dawnego paradygmatu opowiadania historii. Świat rozsypuje się na pojedyncze głosy, na zaskakujące nas, czasem odpychające dykcje, które – jak ludzie – nie zawsze zyskują naszą sympatię. Język bywa szorstki, a historie nie zawsze toczą się gładkimi zdaniami, do których przyzwyczaili nas wielcy stylisci. Prawdziwa mowa powieści to często chropawe strzępy albo świadomie niepoprawne, piętrowe zdania, które na pozór gubią sens w meandrach i dygresjach.

Być może bardziej tradycyjna forma byłaby właściwa dla opowieści o początkach Jefferson, kiedy istniał jeden świat, ograniczony jednym horyzontem, zdolny pomieścić wszystkich zamieszkujących go ludzi. Ale pod koniec lat dwudziestych XX wieku Faulkner wie, że to już jest przeszłość.

Tu ujawnia się interesujący paradoks. O ile bowiem można patrzeć na Faulknera jak na strażnika dawnego świata, który niemal nieczuły jest na tu i teraz Stanów Zjednoczonych, jakby zatrzasnął się w kapsule czasu, o tyle formalnie wydaje się najbardziej świadomy nowoczesności. I być może właśnie to zestawienie: poszukującej, eksperymentalnej formy z tematyką, która dla uprzemysłowionej i dotkniętej wielką depresją Ameryki wydaje się przebrzmiała, przyniosło tak olśniewające efekty.

Faulkner bowiem, poza nielicznymi wyjątkami, opowiada w swoich powieściach niemal tę samą historię, prezentując kolejne stare i młodsze rody Yoknapatawpha: Sartorisów, Compsonów, Sutpenów, McCaslinów, Burdenów. Ale właśnie dzięki formie są to powieści oddalone od siebie tak bardzo, że trzeba przepłynąć rozległe literackie morza, by połączyć je w jeden archipelag. To nie kolejne tomy czy odcinki jednej sagi, ale oddzielne kosmosy mowy.

Faulkner jak nikt ma świadomość, że to sposób opowiadania kształtuje historię, a nie na odwrót. Dlatego szuka, zanurzając się w różne nurty. Po „Wściekłości i wrzasku" przychodzi „Gdy leżę, konając" (1930), zbiór rozsypanych monologów kilkunastu narratorów, z których każdy stwarza odrębny, fascynujący mikrokosmos. Dopiero zebrane razem tworzą olśniewającą opowieść o ludowej odysei biednej rodziny Bundrenów, która wyrusza ze swej farmy na obrzeżach mapy, by w samym jej środku, w Jefferson, pochować zmarłą matkę.

Nikt wcześniej i niewielu później było w stanie stworzyć tak przemyślaną, a jednocześnie tak żywą powieść polifoniczną, gdzie osobne głosy wpadają na siebie, czasem współbrzmiąc w harmonii, czasem kontrapunktując się nawzajem, a czasem zgrzytając nieprzyjemnie w zamierzony i przewrotny sposób. To osiągnięcie literackie otwarło przed powieścią nowe terytoria i było zarazem niemal powtórzeniem gestu ↦

↦ Nietzschego, tym razem obwieszczającym śmierć Wielkiego Narratora.

Teraz możemy się delektować nowym, porywającym tłumaczeniem Jacka Dehnela, którego czułość na wielojęzyczność powieści budzi najwyższy szacunek. A nowy polski tytuł nie tylko mieści w sobie wszystkie niuanse zaczerpniętego z angielskiego tłumaczenia „Odysei" oryginalnego „As I Lay, Dying", ale co do sylaby i akcentu powtarza jego melodię.

Z kolei „Absalomie, Absalomie..." (1936) jest transowym traktatem o niedostępności opowiadanej historii, o jej permanentnej skrytości. Historia rodziny Sutpenów opowiedziana jest przez świadków niedoskonałych, znających tylko okruchy i fragmenty, a zatem skazanych na domysły. To w pierwszym rzędzie pułkownik Compson – ojciec znanego już z „Wściekłości i wrzasku" Quentina – który wprawdzie u Sutpenów bywał, ale też nie za często; dalej sędziwa Rosa Coldfield, wprawdzie rodzona siostra Judyty Sutpen, ale młodsza od niej o generację, co – między innymi – sprawiło, że niemal nie bywała w domu swego szwagra, skazana na domysły i resentymenty.

Jej jedynym atutem jest wiek, inni świadkowie zmarli. I wreszcie absolutne mistrzostwo, na które w literaturze stać tylko tych największych: ostatnią część książki wypełniają domysły, snute w akademiku na Harvardzie przez Quentina i jego kanadyjskiego kolegę Shreve'a. I to właśnie w tych przypuszczeniach, odległych w czasie i przestrzeni od domniemywanych wydarzeń, domyka się antyczna tragedia rodu Sutpenów.

Czas niezrównany

Aż się prosi, by wskazywać tu kolejne przykłady tej formalnej ruchliwości Faulknera, jego dynamicznych poszukiwań i badań różnych sposobów opowiadania. Wystarczy jednak może tylko wymienić powstałe na przestrzeni kilkunastu lat arcydzieła: „Wściekłość i wrzask" (1929), „Gdy leżę, konając" (1930), „Azyl" (1931), „Światłość w sierpniu" (1932), „Absalomie, Absalomie..." (1936), „Zaścianek" (1940) i „Zstąp, Mojżeszu" (1942). Oto jak imponująco twórczy był dla Faulknera czas, który sam nazywał „czasem niezrównanym" (Nobla dostał dopiero w 1949 r.).

Trudno wskazać w historii literatury drugi taki przypadek, takie zagęszczenie niekwestionowanych arcydzieł – a powstały w tym okresie również inne, wspaniałe teksty. Te tytuły tworzą zarazem listę najciekawszych i najbardziej radykalnych poszukiwań pisarskich. Nie wyczerpują wprawdzie pełnej bibliografii literackiej mitologii Yoknapatawpha, ale stanowią jej najjaśniejsze punkty.

Po tym czasie Faulkner eksperymentował rzadziej i nawet jeśli tworzył kontynuację wcześniejszych opowieści, to korzystał z gotowego zasobu środków, często sięgając po bardziej tradycyjne taktyki opowiadania. Te powieści już tak nie zachwycają, czas niezrównany się skończył. Choć oczywiście nadal są znakomite, niedosiężne dla większości ówczesnych i współczesnych pisarzy. Faulkner jednak najciekawszy był wtedy, kiedy szukał i błądził, kiedy każdym zdaniem stawiał krok na nieznanej ziemi. I dlatego cały korpus literackich dziejów wymyślonego hrabstwa jest tak fascynujący, bo pokazuje również tę dynamikę: eksplozję genialności i powolne wygasanie tych energii twórczych.

Mapa

Ten zbiór powieści i opowiadań podporządkowany jest nie tylko formalnym poszukiwaniom, ciągłemu niepokojowi, że powieść zawsze będzie się wymykać, lecz, choć zupełnie z innej strony, zamyka się w bardzo tradycyjnej formie, jaką jest mapa. Pisarz zostawił szkic, ograniczony prostokątem kartki, gdzie Yoknapatawpha przypomina rodzinne hrabstwo Lafayette, a umieszczone centralnie Jefferson to Oxford. Mapa zachwyca prostotą i choć widać wyraźne związki z realną topografią, to uderza mitologiczny niemal schematyzm.

Jefferson jest nie tylko stolicą hrabstwa i centralnym punktem mapy i miejscem zamieszkiwania większości bohaterów, ale też miejscowością położoną na przecięciu poziomych i pionowych linii dróg. To jest serce świata. Wszystkie odległości mierzone są od tego punktu. I jeśli do całego korpusu tekstów Faulknera pasuje słowo „mitologia", to można to dostrzec właśnie dzięki mapie. Pisarz organizuje przestrzeń według symbolicznego porządku tego, co w centrum, i tego, co na peryferiach; tego, co ważne i nieważne. Świat nie jest topologicznie jednorodny, od razu jest hierarchią ważności i kosmosem.

Z lektury tej kartograficznej opowieści można się wiele dowiedzieć.

Faulkner wybrany

ABSALOMIE, ABSALOMIE...

Opowieść o tragicznych losach rodziny Sutpenów, skazanych na upadek przez demony Południa i własną złość. Powieść-macierz wszystkich nowoczesnych sag rodzinnych. Faulkner udowadnia, że do prawdy o rodzinie dochodzi się nie poprzez fakty, lecz przez zanurzenie w gąszcz mitów. Jedno z najwnikliwszych literackich studiów nad Innością, a jednocześnie traktat o sztuce opowiadania (przeł. Zofia Kierszys).

GDY LEŻĘ, KONAJĄC

Jeden z tych przypadków w historii literatury, kiedy autor, eksperymentując z zupełnie nową formą powieściową, od razu doprowadza ją do poziomu arcydzieła. Rezygnacja ze spajającego całość głosu narratora wprowadziła wielogłos, który układa się w powieść drogi ludzi z marginesu. Siłą tej powieści jest nie tylko język, lecz złożoność każdej, nawet epizodycznie pojawiającej się postaci.

WŚCIEKŁOŚĆ I WRZASK

Nic nie zapowiadało trzęsienia ziemi. I nagle w sercu sennego, prowincjonalnego Południa dochodzi do eksplozji, która wywraca na nice to, czym jest powieść. To próba pomieszczenia różnych strategii narracyjnych. Każdy z czterech dni na przestrzeni kilkunastu lat opowiedziany jest w radykalnie odmienny sposób. Czytelnik sam może ocenić, jak poszczególne formy fabularne odsłaniają, przesłaniają i stwarzają pozasłowną rzeczywistość: zmierzch jednego najznamienitszych rodów hrabstwa Yoknapatawpha (przeł. Anna Przedpełska-Trzeciakowska).

Nowe przekłady Faulknera zaproponowali także Maciej Płaza („Flagi pokrył kurz" – pierwsza, obszerniejsza wersja powieści „Sartoris") i Piotr Tarczyński („Światłość w sierpniu").

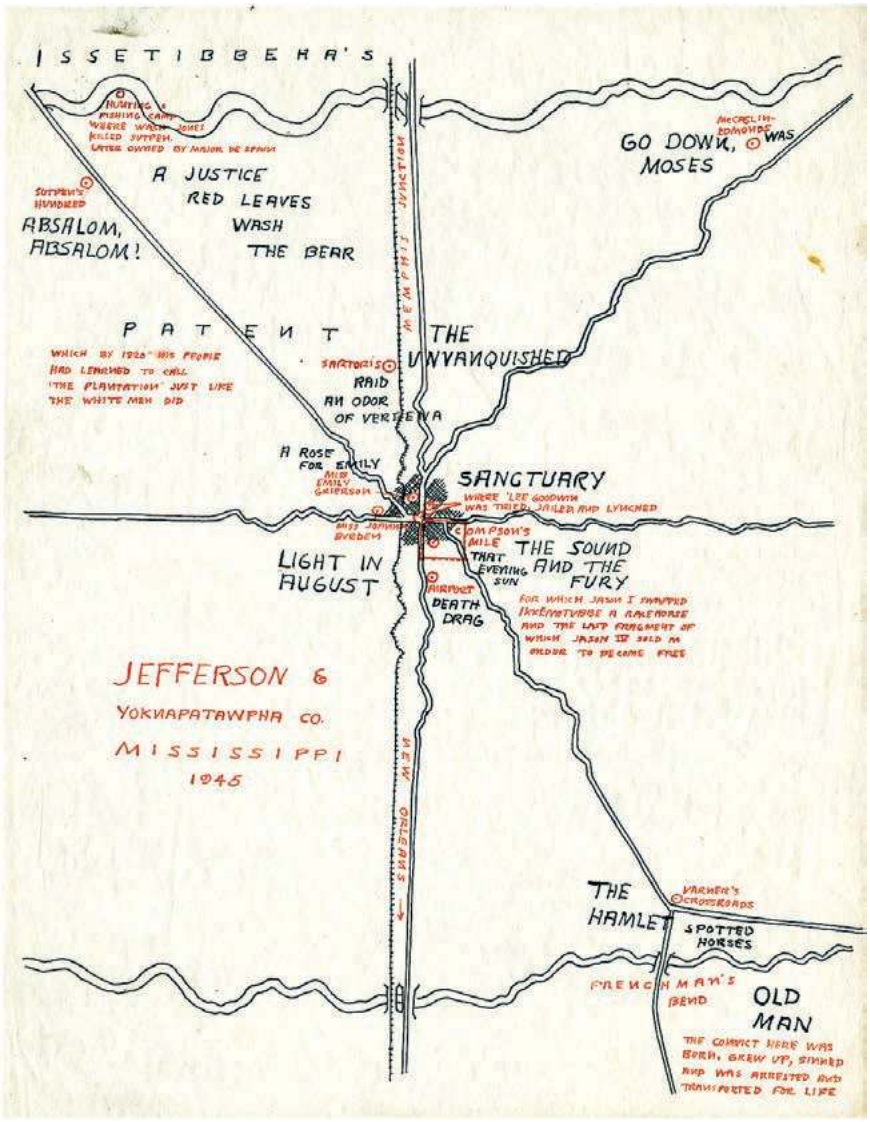

DOMENE PUBLICZNA

Mapa hrabstwa Yoknapatawpha, wersja z 1945 r., narysowana przez Williama Faulknera do książki „The Portable Faulkner”.

Jefferson zamieszkują stare rody, jak Sartorisowie czy Compsonowie. Na dalszej orbicie jest nigdy niezaakceptowany przez społeczność miasta Thomas Sutpen. Jego rezydencja i ziemie znajdują się w wyraźnym oddaleniu, do tego nie leżą przy głównych drogach północ-południe i wschód-zachód, tylko po skosie. Równie ciekawe są obrzeża mapy. Na północnym i południowym krańcu przepływają poziomo rzeki o indiańskich nazwach: Tallahatchie i Yoknapatawpha. To granice tego świata, niczym mityczne rzeki opasujące Hades. Na obrzeżach mieszkają stare rody, które wybrały życie w lasach, z dala od zgiełku. To McCallumowie i McCaslinowie, siedzący na odludziu w swych drewnianych domostwach. W nich też najżywsza jest pamięć rdzennych mieszkańców tej ziemi, Indian z plemienia Chickasaw i ich legendarnego wodza Ikkemotube.

Ale te krańce mapy to również miejsce inności w społecznym sensie. Spoza mapy, najpierw w okolice Sadyby Francuza, tajemniczej posiadłości na południowym obrzeżu, przybywa plebejska rodzina Snopesów. I zaczynając dominować na kolejnych obszarach hrabstwa, dociera w końcu, niczym choroba, do samego serca, opanowując Jefferson. Ten ruch z obrzeży do centrum charakterystyczny jest dla największych zmian, które dotkną hrabstwo. Spoza mapy nadchodzi ciężarna Lena i na chwilę osiada w Jefferson, by urodzić. Wtedy dojdzie do dramatycznych wydarzeń, zainicjowanych przez morderstwo na pannie Burden, a zakończonych linczem na Joem Christmasie. Wtedy Lena, niczym kometa, znów wyruszy w swą drogę, pozostawiając miasto i hrabstwo jego własnym sprawom. I także z samej krawędzi nadejdą do miasta Bundrenowie z trumną Addie Bundren, przekraczając rzekę i stawiając czoła wielu przeciwnościom.

I choć w samym Yoknapatawpha nie brakuje śmierci, to Faulkner wielokrotnie wysyła swoich bohaterów poza mapę, a więc poza świat, by tam zakończyli życie: na polach bitewnych kolejnych wojen czy w odległym kampusie Uniwersytetu Harvarda.

Mitologia

Gdyby patrzeć na twórczość Faulknera przez pryzmat mapy, to można by podziwiać żelazną konsekwencję w myśleniu o przestrzeni, a zatem i o świecie. Kosmos i porządek najprostszych geometrycznych kształtów, koncentryczna struktura świata, gdzie tylko centrum wysycone jest esencją swojskości, a obrzeża to dziwne pustkowia pełne obcych, dziwnych postaci i groźnych niedźwiedzi – to wszystko nie zapowiada powieściowego żywiołu, w którym sprawy naniesione na mapę zostają opowiedziane w języku.

Wydaje się, że ważne jest napięcie między przednowoczesnym, uporządkowanym światem Yoknapatawpha, a formalnymi huraganami, którym Faulkner każe przetaczać się po tych spokojnych na pozór ziemiach w niemal każdej ze swych powieści. To napięcie jest wciąż jątrzącą raną, która znajduje się u prawdziwych fundamentów tego literackiego świata. I dlatego rozpisaną na wiele tomów sagę hrabstwa można nazwać mitologią. I nie dlatego, by sugerować jej baśniowość, która miałaby być bezpieczną otuliną, murem wzniesionym między Południem a współczesnością.

Dzieło Faulknera jest na wskroś mitologiczne, gdyż cały wysiłek formalny i treściowy służy ujawnianiu napięć, które pulsują w rzeczywistości. Każda prawdziwa mitologia to nie próba zagłaskania grozy świata, lecz wydobycie z czeluści tego, co najbardziej przeraża: napięć i dramatów, których nie da się przezwyciężyć i rozwiązać; i które będą towarzyszyć człowiekowi przez kolejne pokolenia. Tędy wiedzie ścieżka między lokalnością a uniwersalnością tej prozy. © WIT SZOSTAK

William Faulkner, **GDY LEŻĘ, KONAJĄC**
przełożył Jacek Dehnel, Kraków 2024, Znak

Popisówka

DARIUSZ KOSIŃSKI

Fredro przestał być traktowany jak pisarz dramatyczny. Stał się teatralnym didżejem serwującym listę „złotych przebojów", prezentowanych zgodnie z zasadą „Znacie? To posłuchajcie!". Jak sobie z nim poradził Michał Zadara?

Grać dziś Fredrę? Z jednej strony sprawa wydaje się oczywista: komedie i dramaty Aleksandra Fredry grać należy, nie tylko dlatego, że to klasyk i świetny pisarz, który przynajmniej w deklaracjach budzi sympatię znaczącej części publiczności, ale także dlatego, że tradycja i styl polskiego teatru dramatycznego właśnie na nim się kształtowały. Z drugiej strony granie Fredry wydaje się dziś tak karkołomne, że niemal niemożliwe: konwencje, środki i język, którymi się posługiwał, przestały być czytelne i rozpoznawalne, a sceniczna tradycja i umiejętności techniczne, których wymagał, niemal zanikły.

Można by nawoływać (sam to kiedyś robiłem i próbowałem realizować) do odpominania właściwego mu stylu, do odnawiania kanonu jego sztuk lub do reinterpretacji tych najbardziej znanych, ale nie do końca wiadomo, kto miałby nad tym pracować.

„Starożytnikom" wystarcza samo powtarzanie kilku kanonicznych tytułów i znanych na pamięć scen, a samego Fredry potrzebują nie jako artysty, lecz figury „prawdziwego polskiego teatru". Żadnych nowych interpretacji nie są ciekawi, upajają się polonezem słów i czekają na znane na pamięć efektowne sceny.

„Nowożytnikom" Fredro nie jest zaś do niczego potrzebny – tematy możliwe do przeprowadzenia przez pracę nad jego tekstami mogą bez trudu podejmować na dużo wdzięczniejszym materiale, a jego dekonstruowanie mało ich interesuje, bo wysiłek to zbyt duży i nieopłacalny. Zespołów i twórców, którzy pracowaliby nad Fredrą dla niego samego, tak jak się w Polsce jeszcze czasem pracuje nad Szekspirem (i bodaj tylko nad nim), prawie nie ma. Czy to, że teksty teatralne tak znakomitych rodzimych pisarzy scenicznych, jak Fredro, Słowacki czy Norwid, nie interesują teatru z nazwy dramatycznego, dowodzi jego słabości i fikcji jego „misji"? Pytanie retoryczne...

Co tu kłopotu!

Tego stanu winne jest nie tylko to, co z Fredrą w ciągu jego scenicznej historii zrobiliśmy i czego nie zrobiliśmy, a zwłaszcza czego nie robimy – ale poniekąd także on sam. Hrabia Aleksander, zwyczajowo przeciwstawiany różnym „ciemnym" poetom jako wzór jasności, pogody, prostoty i „normalności", jest autorem bardzo zagadkowym, niemal równie tajemniczym jak – powiedzmy – Słowacki, tym trudniejszym zaś do rozwikłania, że pisał komedie, a nie dramaty metafizyczne. W przypadku komedii niestety bardzo łatwo wymknąć się wyzwaniom i trudnościom powtarzając, że autor chce tylko bawić i o nic innego mu nie chodzi. Tak zresztą sam Fredro czasem twierdził. Ale ja bym mu nie wierzył...

Zagadek i wewnętrznych sprzeczności jest u niego więcej niż te, które wskazał i próbował rozgryźć swego czasu Jarosław Marek Rymkiewicz w świetnej książce „Aleksander Fredro jest w złym humorze". Konserwatysta i piewca naturalnej normalności patriarchalnego dworku, bez znieczulenia ujawniał jego patologie (choćby w „Panu Jowialskim"), demaskując go wręcz jako prawdziwie polski „dom zły" (w „Wychowance"). Ukazywał bez złudzeń (w moim ulubionym „Z Przemyśla do Przeszowy") proces nieuchronnego rozpadu świata, który uważał zapewne za swój, ale którego ocalenia czy reakcyjnego przywrócenia ani nie postulował, ani nie uważał za możliwe.

Będąc wzorcowym uosobieniem patriarchatu i głosząc bardzo „dziaderskie" mądrości, nie miał litości dla starych mężczyzn, a za prawdziwie wielbioną bohaterkę uznał w końcu niezależną, samodzielnie myślącą i działającą młodą kobietę, którą dzieli kosmiczna odległość od wszelkich „polskich cieląt" (Klara w „Zemście", ale przede wszystkim wspaniała Matylda z „Wielkiego człowieka do małych interesów"). Wreszcie (choć listę tę można ciągnąć) – jak na rzekomo pogodnego narodowego humorystę coś za dużo w jego dramatach goryczy i absurdu, a nieustannie zagrożony chaosem świat ledwie, ledwie daje się ocalić, czasem w sposób tak jawnie konwencjonalny, że wyglądający na ponury żart.

Fredro jest też zaskakująco słabo znany. Tak, owszem – kilka tytułów pojawia się na scenach dość często, dwa najsłynniejsze – „Śluby panieńskie" i „Zemsta" – zostały nawet sfilmowane i są w spisach lektur. Ale już dwa pozostałe z arcydzieł – „Pan Jowialski" i „Dożywocie" – pozostają niemal w zapomnieniu, choć wydawałoby się, że dziś właśnie – w dobie narastającej geronto- i kapitałokracji – oba te teksty brzmiałyby szczególnie atrakcyjnie. A w dorobku Fredry są jeszcze znakomite sztuki zupełnie zapomniane, nad którymi nie pracuje żaden teatr z nazwy „narodowy" ani żaden zespół z nazwy i sutej dotacji mający się zajmować „klasyką polską".

Aria z Dyndałą

Problemy mnożą się, gdy spojrzeć na twórczość Fredry z perspektywy czysto teatralnej. Jego najbardziej kanoniczne komedie pisane są barwną i bogatą polszczyzną oraz wierszem potoczystym, wirtuozerskim, upajającym. Niestety pierwsza jest dziś w dużej mierze niezrozumiała, a drugi – stanowi poważną przeszkodę tak dla współczesnych aktorek i aktorów, jak dla widzów. Możemy narzekać i protestować, ale utrata dawnych słowników oraz umiejętności mówienia mową wiązaną ze zrozumieniem tudzież takiego jej słuchania jest faktem.

Jeśli sens wypowiadanych słów nie jest rozumiany, a ciąg przyczynowo-skutkowy wyznaczający przebieg wydarzeń scenicznych gubi się w rytmicznych i rymowanych pochodach wyrazów, to zanika dramat, stanowiący wszak sedno teatralnego doświadczenia. Do tego dochodzi jeszcze i ta trudność, że Fredro był pisarzem posługującym się często współczesnymi mu realiami i procedurami,

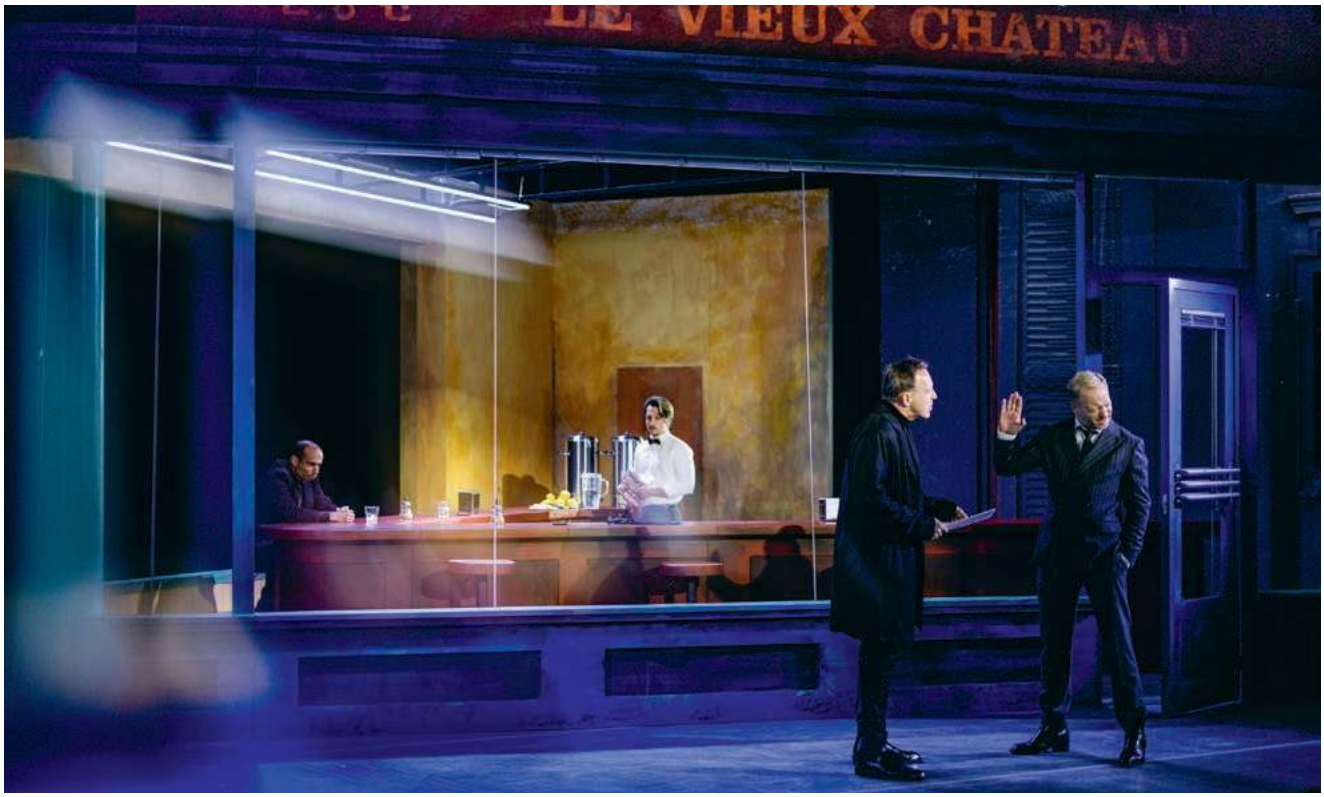

MAREK ZIMAKIEWICZ / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU KOMEDIA

Mikołaj Woubishet, Damian Mirga, Arkadiusz Brykalski i Maciej Stuhr w „Zemście" (Teatr Komedia, reż. Michał Zadara). Warszawa, 18 kwietnia 2024 r.

zwłaszcza finansowo-prawnymi, które dziś są zupełnie niezrozumiałe. A jeśli nie wie się, czym jest dożywocie, lub nie rozumie, o co chodzi w relacjach finansowych między Podstoliną, Cześnikiem, Klarą i Rejentem (zapisy, kuratele, intercyzy...), to po prostu nie wiadomo, co się dzieje. Nie sposób wówczas mówić o jakichkolwiek znaczeniach, sensach i procesach – pozostaje jedynie odpowiednio ozdobna i mile brzmiąca kompozycja słowno-poetycka znana dobrze od lat.

W ten sposób mistrzostwo Fredry stało się jego przekleństwem: bogaty język i potoczysty wiersz sprawiły, że jego dramaty osunęły się w serie „ulubionych scen", w arie, które zyskały właściwie autonomiczne życie i stanowią atrakcje niezależne od tego, jak się interpretuje – czy też usiłuje interpretować – całość. Najlepszy przykład to najsłynniejsza komedia Fredry: „Zemsta". Rozmowa Papkina z Klarą o krokodylu, Papkina pisanie testamentu, a przede wszystkim Cześnikowe dyktowanie Dyndalskiemu listu do Klary ze słynnym „Mocium panie" – to właśnie „arie", na których wirtuozerskie wykonanie czeka się w radosnym napięciu i... mniejsza o resztę.

To z tą właśnie sytuacją „aryjną" mierzą się od lat inscenizatorzy sztuk Fredry. Nawet jeśli nie wszystkie jego komedie zawierają tyle i tak dobrze znanych popisowych scen jak „Zemsta", to wiele z nich, zwłaszcza tych pisanych wierszem, osuwa się w recytatorski popis, połączony z farsowymi i kabaretowymi chwytami. W efekcie Fredro już dość dawno przestał być traktowany jak pisarz dramatyczny, a stał się kimś w rodzaju teatralnego didżeja serwującego listę „złotych przebojów", zawsze lubianych evergreenów prezentowanych po raz kolejny, zgodnie z zasadą „Znacie? To posłuchajcie". Różnica taka, że arii nie oklaskuje się, gdy wykonana jest w niewłaściwej tonacji i bez precyzyjnej realizacji wymaganych dźwięków, a w graniu Fredry jest to niestety możliwe, a nawet dość powszechne. Więc nawet nie aria, ale jakiś stary dowcip. Nie teatr dramatyczny, ale nostalgiczny kabaret powierzchownych konserwatystów zalany gęstym sosem satysfakcji ze spełniania obowiązku wobec dziedzictwa w wersji instant (podgrzać trzy minuty i gotowe).

Prawo i sprawiedliwość

„Zemsta" wyreżyserowana przez Michała Zadarę w warszawskim Teatrze Komedia (premiera 19 kwietnia) zapowiadała się jako próba zerwania z tą sytuacją. Opowiadając o swojej inscenizacji, reżyser wskazywał na powierzchowność powszechnego sposobu odczytywania tej najsłynniejszej sztuki Fredry i deklarował, że chce ją potraktować poważnie, choć nie gubiąc jej komediowego charakteru.

W interpretacji Zadary „Zemsta" to dramatycznie rozegrany proces odejścia od przemocy jako podstawowego narzędzia rozwiązywania konfliktów na rzecz prawa – regulującego relacje między ludźmi nie podług indywidualnej woli i mocy, ale według zbiorowo akceptowanych norm. Reżyser porównywał ją nawet do „Orestei" Ajschylosa, którą sam niedawno zrealizował ze studentami krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych. Jednocześnie deklarował, że nie będzie tekstu zanadto skracał, nie będzie zacierał wiersza i że generalnie podejdzie do materiału literackiego z szacunkiem, a choć go uwspółcześni, to nie przepisze.

Na czym owo uwspółcześnienie polegać będzie, też wiadomo było przed premierą, bo przedstawienie zapowiadała „tarantinowska" sesja zdjęciowa, jasno wskazująca, że ta „Zemsta" będzie się toczyć w świecie gangsterskich porachunków. Jeśli dodać do tego, że do współpracy reżyser zaprosił prawdziwie imponujący zestaw ↦

aktorski, złożony jednak z osobowości tak odmiennych jak Maciej Stuhr (Papkin), Arkadiusz Brykalski (Cześnik), Bartosz Porczyk (Rejent) i Barbara Wysocka (Podstolina), to zapowiadała się kompozycja potencjalnie rozsadzana wewnętrznymi napięciami i sprzecznościami.

Eksplozji jednak nie było, może poza salwami śmiechów i oklaskami (dawno nie słyszałem w teatrze dramatycznym spontanicznych oklasków nagradzających pojedyncze sceny, monologi czy popisy taneczne). Ja sam miałem ochotę bić brawo tuż po podniesieniu kurtyny, gdy zobaczyłem na scenie lekko prześmiewczą kopię najsłynniejszego obrazu Edwarda Hoppera (scenografia Robert Rumas) z Cześnikiem jako ojcem chrzestnym jakiejś lokalnej, prowincjonalnej mafii.

Jak Fredrowskie wiersze brzmiały w ustach gangstera będącego widmem postaci Bogusława Lindy sprzed trzydziestu lat? Ku mojemu miłemu zdziwieniu zabrzmiały naprawdę dobrze. Arkadiusz Brykalski mówi tekst z wystylizowaną przesadą, która brzmi jak jakiś sztucznie przyjęty slang, rodzaj grypsery. Wyraziście (czasem aż nadto) wypowiadane archaiczne słowa i końcówki (np. „wżdy" staje się ledwo kamuflowaną groźbą) wzmacniają wrażenie siły Cześnika, tworzą postać wyrazistą, a jednocześnie opartą na własnej, szybko chwytanej przez publiczność konwencji. Wiersz „Zemsty" i komiczność gangsterów z „Chłopaki nie płaczą" rodem wzajemnie się w jego wykonaniu umacniają i nakręcają.

Dalej jest niestety gorzej. Wydaje się, że zasada nakładania i wzajemnego wzmacniania dawnych konwencji teatralnych i współczesnych stylizacji popkulturowych miała funkcjonować w obrębie całego przedstawienia. Równie pełną i wyrazistą realizację jak w roli Brykalskiego znalazła jednak tylko w postaci jego adwersarza Rejenta, granego przez Bartosza Porczyka, aktora o wybitnym wyczuciu stylu, świetnie czującego grę formą i umiejącego połączyć wirtuozerię techniczną z przemyślaną kompozycją zmiennych rytmów i środków. Ta dwójka przeciwników tworzy prawdziwy sojusz artystyczny stanowiący powód, dla którego warto wybrać się do Warszawy. Sekundują im dzielnie Maciej Stuhr i Barbara Wysocka.

I tu właśnie daje znać o sobie „problem arii". Im dalej się przedstawienie rozwijało, tym bardziej umacniałem się we wrażeniu, że deklaracje interpretacyjne wypowiadane przez reżysera zeszły w czasie pracy na dalszy plan. Zastąpiła je radosna zabawa w wymyślanie sposobów zainscenizowania poszczególnych efektownych i oczekiwanych arii, duetów i chórów.

Niezależnie od tego, czy efekty są bardziej, czy mniej zadowalające, zapowiedź przeprowadzenia dramatu zemsty i prawa nie została zrealizowana. Choćby dlatego, że różnice między rzekomo uosabiającymi dwie odmienne drogi Cześnikiem i Rejentem zostały zatarte. Obaj adwersarze są na scenie Komedii równie impulsywni, równie „nadto żywi" i równie gotowi na przemoc. W efekcie cywilizacyjne przejście między zemstą a sprawiedliwością nie zostaje wydobyte i wygrane. Wprawdzie w finale zamiast się zabijać wszyscy podpisują jakieś stosy papierzysk, ale papierami wymachiwali też wcześniej i nie przeszkadzało im to chwilę potem łapać za noże. Jeśli proces dramatyczny polega na zmianie, to w tej „Zemście" żadna istotna zmiana nie zachodzi.

Szkoda o tyle, że przesunięcie zachowanego bez większych zmian tekstu Fredry w zaskakująco obcą konwencję wytworzyło fortunny efekt osobliwości wyprowadzający publiczność poza przekonanie, że wszystko już wiadomo. Niestety nie udało się go utrzymać w całym przedstawieniu, które mimo wszystko gubi dramat i osuwa się w „aryjność". Muru granicznego odcinającego komedie fredrowskie od żywego teatru dramatycznego nie udało się Zadarze zburzyć, ale przynajmniej pokazał, że jest i że wymaga pracy. No i że traktuje „Zemstę" tak, jak należy traktować każde prawdziwe dzieło sztuki – poważnie. Fredro wymaga tego bezwzględnie – nie pomimo, ale właśnie i przede wszystkim dlatego, że pisał komedie.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

RADIO 357

Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika" w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

Judyta ma śmiałość

ANNA PAJĘCKA

Cokolwiek byśmy zrobili, nie wyrównamy obecności kobiet w dawnej sztuce. Można postawić za to na inne wyzwania, które sprawią, że za kilka dekad o współczesności nie pomyślimy już w kontekście nierówności.

Picasso stosował przemoc wobec swoich partnerek, Caravaggio był mordercą, a Gauguin miał skłonności pedofilskie. Znamy ich jednak jako wielkich twórców, którzy tworzyli nowe szkoły, naśladowane przez pokolenia uczniów i naśladowców. Ich prywatne życie jest gdzieś w tle. Łączy ich jedno – to artyści.

Minęło pół wieku od wydania eseju Lindy Nochlin „Dlaczego nie było wielkich artystek?". Pytanie o obecność kobiet w sztuce, które badaczka zadawała w tej najbardziej znanej pracy, nie jest tak oczywista, jak wydaje się w pierwszej chwili. Nie chodzi tu tylko o wykluczenie kobiet z muzeów, o dominację mężczyzn na rynku sztuki, o wszystko to, co mieści się w ironicznej frazie, którą na ścianie warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych wymalowała kiedyś Anna Okraska – „Malarka to żona malarza".

Namaluj krowę

Główna teza eseju Nochlin, wznowionego w Polsce w 2023 r. przez wydawnictwo Smak Słowa, jest taka: twórczość rodzi się przede wszystkim dzięki systemowi edukacji, nie zaś za sprawą talentu lub geniuszu, którego pochodzenia nie da się ustalić ani zmierzyć. Nie było artystek? „Nie zawiniły tu gwiazdy, nasze hormony i cykl miesięczny, lecz instytucje i sys-

MATERIAŁY PRASOWE GALLERIE DEGLI UFFIZI

Artemisia Gentileschi „Judyta zarzynająca Holofernesa", 1612 r.

tem edukacji" – pisała Nochlin. Nie ma, po prostu nie ma – w jej rozumieniu – artystek, które można by dzisiaj odkryć dla świata, pokazać ich dzieła, niewystawiane przez lata.

Nawet jeśli zaczniemy wytrwale szukać, nie doszukamy się ukrytych przed światem mistrzyń. Nie ma ich, bo w odpowiednim momencie nie zostały dopuszczone do narzędzi kształcenia, terminowania w pracowniach, do wystawiania prac w instytucjach. To system nie dawał im szans na zamówienia – na tworzenie kolejnych dzieł, które zachowają się w historii tak samo, jak zachowywały się przez lata prace męskich artystów. Dlatego dziś to do nich należy kanon.

Interesującym przykładem jest opisywana przez Sonię Kiszę w wydanej właśnie „Histerii sztuki" postać barokowej malarki, Artemisii Gentileschi, której obraz „Judyta zarzynająca Holofernesa" z 1612 r. różnił się zasadniczo od tożsamego dzieła Caravaggia, powstałego piętnaście lat wcześniej. W Judycie z obrazu Gentileschi nie ma strachu, widocznego na płótnie jej poprzednika – jest za to gniew i determinacja.

Gentileschi to jedna z artystek, które otrzymały owe niedostępne według kryteriów Nochlin narzędzia: terminowała w pracowni u swojego ojca malarza, uczyła się rysunku u innego popularnego artysty, Agostina Tassiego. Spotkało ją jednak coś, co od zawsze było zagrożeniem dla młodych kobiet terminujących u starych mistrzów. Kisza opisuje, jak Tassi zgwałcił swoją podopieczną. Ojciec artystki wniósł oskarżenie przeciw malarzowi – jednak nie tylko o przemoc, lecz o odebranie dziewictwa i brak wywiązania się z obietnicy ożenku.

Niecodzienne są także opisywane przez Kiszę metody wymiaru sprawiedliwości: młoda artystka została poddana torturom, aby uwiarygodnić zeznania przeciw Tassiemu. Ostatecznie Gentileschi wyjechała z Rzymu do Florencji, uciekając przed hańbą. Jako pierwsza kobieta została przyjęta do grona członków Accademii delle Arti del Disegno, co w praktyce pozwoliło jej otrzymywać zamówienia na dzieła od Medyceuszy. Ci zaś często nie wywiązywali się z płatności – traktowali to luźno, mając do czynienia z kobietą. Ale to jest poboczna część tej historii.

Dla kobiet przeszkód w edukacji artystycznej było więcej – na przykład ta dotycząca dostępu do nagich modeli. Od renesansu do końca XIX wieku było to prawie niemożliwe, mimo że to właśnie studia nad ciałem i anatomią stanowiły wówczas podstawę w procesie kształcenia. W dodatku do 1893 r. na lekcje rysowania nie wpuszczano kobiet. „O ile mi wiadomo – pisze Nochlin – nie istnieją żadne przedstawienia artystów rysujących nagich modeli, w których kobiety występowałyby w innej roli niż jako pozujące modelki".

Znajduje jednak obraz wyjątkowy – fotografię wykonaną podczas lekcji rysunku w Akademii Pensylwańskiej, gdzie w roli modelki występuje krowa. Na lekcję uczęszczają kobiety. Dziś trudno jednoznacznie określić, czemu miała służyć sytuacja uwieczniona na fotografii. Najpewniej była to próba ironicznego ograniania tego zakazu, a obecność krowy nawiązuje do Courbeta, który wcześniej wykorzystał bydlęcego modela w pracowni malarskiej.

Czy muszą być nagie?

W 2018 r. Iwona Demko, artystka i wykładowczyni ASP w Krakowie, wydała książkę „Zofia Baltarowicz-Dzielińska. Pierwsza studentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie". Baltarowicz, wówczas aspirująca artystka, udała się z rulonem swoich prac do Jacka Malczewskiego, o którym wiadomo było, że jest przeciwny studiowaniu kobiet. Ostatecznie udało się i studentką została w 1917 r.

Nie pierwszą. Pierwsza była Maria Dulębianka, przyjęta w progi krakowskiej uczelni w 1894 r. W kolejnych latach wewnątrz Akademii rozgrywała się walka o przyjmowanie kobiet do grona studentów. Przyczyna niepowodzenia była systemowa – podobnie jak opisuje to Linda Nochlin. Prawo – zarządzenie ówczesnego ministra oświaty – wymagało, aby kobiety uczęszczające na uczelnię studiowały w odrębnych pomieszczeniach. Na to zaś ↦

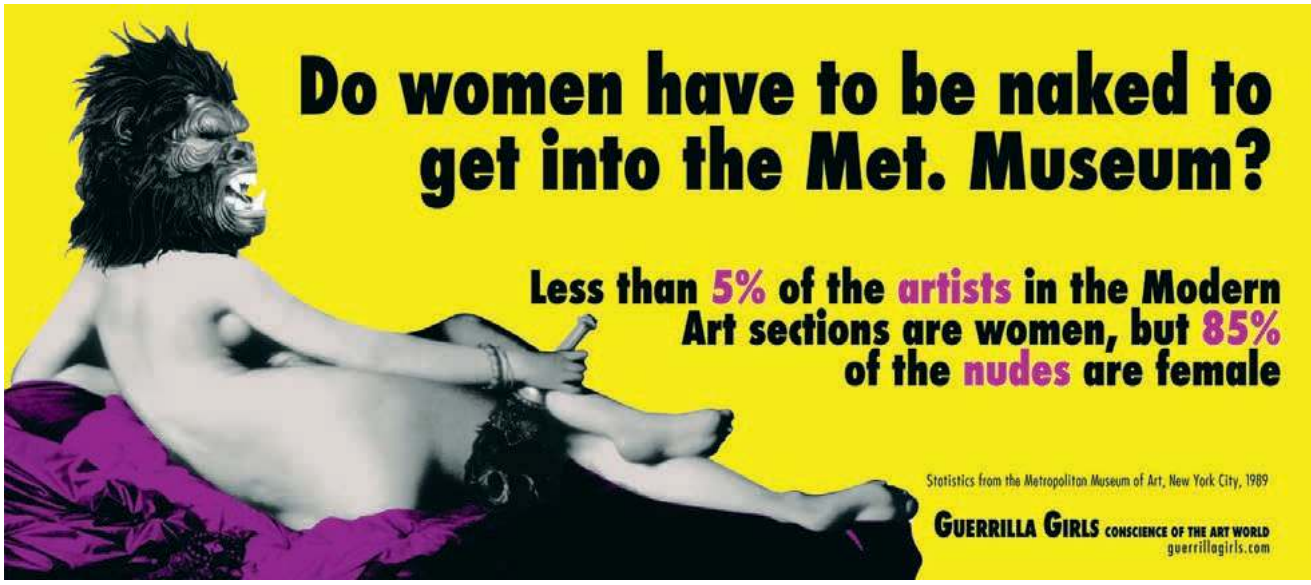

MATERIAŁY PRASOWE GUERRILLA GIRLS

Poster grupy Guerrilla Girls „Do women have to be naked to get into the Met. Museum?", 1989 r.

nie pozwalały warunki lokalowe Akademii. Nie było pieniędzy na rozbudowę sal tak, aby pomieścić w uczelnianych murach pracownie przeznaczone specjalnie dla kobiet. Koniec XIX wieku sprzyjał także lękowi przed zbyt wolnościową postawą. Kobiety, które chciały się kształcić, zyskiwały miano emancypantek, a w tych czasach nie ułatwiało im to życia.

Do tematu emancypantek w „Histerii sztuki" Sonia Kisza powraca wielokrotnie. W mediach społecznościowych prowadzi profil o tej samej nazwie (obserwuje ją kilkadziesiąt tysięcy osób). Publikuje memy oparte na popularnym malarstwie i rzeźbie. Nie widzi sprzeczności pomiędzy obrazem a memem, chce upowszechniać sztukę, zwłaszcza sztukę kobiet: „Historia sztuki, której uczymy się w szkole, a nawet na uniwersytetach, to zbiór biografii *wybitnych* jednostek, umieszczonych w jakimś politycznym kontekście. To wersja historii, w której życiorysy kobiet są prawie całkowicie niewidoczne".

Próba odzyskiwania historii sztuki tworzonej przez kobiety w Polsce trwa zaledwie od kilku lat. Na świecie – dłużej. W 1989 r. kolektyw Guerrilla Girls zainicjował akcję: „Czy kobiety muszą być nagie, żeby dostać się do Metropolitan Museum of Art?". Chodziło im o podkreślenie statystyki: mniej niż 5 proc. artystek w MET to kobiety, ale 85 proc. aktów to akty kobiece. Kolektyw Guerrilla Girls wykorzystał w działaniu narzędzia marketingowe. Reklama uchodziła wówczas za medium chętnie wykorzystujące wizerunki kobiet. Na autobusach, w przestrzeni miejskiej, billboardy w jaskrawych kolorach informowały przechodniów o tym, jak w praktyce w instytucjach sztuki realizują się postulaty równościowe.

Ostatnie lata w Polsce są dla sztuki kobiet bardzo dobre – dbałość o parytet wystawienniczy, przywoływanie artystek, które nie zapisały się dotychczas w historii. W Muzeum Sztuki Nowoczesnej w 2019 r. otworzono wystawę „Farba znaczy krew". Jej kuratorka, Natalia Sielewicz, zorganizowała pierwszą tak dużą, obejmującą Polskę i Europę Środkowo-Wschodnią, wystawę współczesnego malarstwa kobiet. To medium – najbardziej intymne, najbardziej indywidualistyczne – pozwoliło na opowiedzenie kobiecych historii, także w sztuce, zupełnie od nowa. I to od bardzo emancypacyjnej strony – takiej, dzięki której malarstwo staje się medium do oddawania najbardziej skrytych, intymnych myśli i potrzeb tworzących je kobiet.

Przedstawiając prace malarskie około pięćdziesięciu artystek Natalia Sielewicz mówiła: „Modelka konfrontuje publiczność z pozami przyjmowanymi dla przyjemności pozowania, a malarka – przyjmowanymi dla przyjemności malowania, i ja na wystawie staram się dowartościować obie te postawy". Kuratorka podkreślała, że tworząc wystawę poruszała się między tak istotnymi dla sztuki kobiet kategoriami: przemocą a przyjemnością, abstrakcją a figuracją. Pomimo że malarstwu kobiet przez lata była przypisywana figuratywność przedstawień, to kobieta okazuje się pionierką sztuki abstrakcyjnej. Hilma af Klint tworzyła bowiem swoje prace przed Malewiczem i Kandinskym.

I inne nierówności...

Sylwia Zientek w nowo wydanej książce poruszającej temat biografii artystek, „Tylko one", pisze: „według mitologii starożytnej Grecji malarstwo wymyśliła kobieta, rysując na ścianie cień idącego na wojnę mężczyzny". Wszystko zatem sprowadza się tu do tradycyjnego rozdziału ról. Można nawet wyobrazić sobie, że sztuka powstała z tęsknoty – tęsknoty czekających w domu kobiet.

Książka stanowi obszerne kompendium wiedzy, choć sama tematyka sztuki kobiet została potraktowana dość powierzchownie. W ostatnich latach trudno przecież mówić o nieobecności kobiet w polskiej sztuce – wręcz przeciwnie. Instytucje sztuki robią dużo, aby monograficzne wystawy kobiet pokazywać jak najczęściej, ale jest to sytuacja relatywnie nowa. Wciąż wiele artystek aktywnych od lat w polu sztuki ma doświadczenie mniejszych stawek, ograniczeń związanych z liczbą wystaw i zagranicznych zaproszeń.

Niemniej dziś to Ewa Juszkiewicz jest artystką, której prace sprzedają się za miliony dolarów. Reprezentuje ją galeria Gagosian, jedna z najbardziej prestiżowych na świecie. Karolinę Jabłońską, także twórczynię sztuki malarskiej, reprezentuje galeria Ester Schipper

– niemieckiej marszandki, której nazwisko od kilku lat regularnie pojawia się na liście „Power 100" – najbardziej wpływowych osób w świecie sztuki, które publikuje corocznie magazyn „ArtReview". Agata Słowak w 2023 r. otworzyła swoją wystawę w Fortnight Institute na Manhattanie. To artystki z pokolenia trzydziesto- i czterdziestolatek, które z determinacją wydeptują sobie drogę do światowej sztuki.

Statystyka jest jednak wciąż nieubłagana. Tak, w muzeach narodowych i centrach sztuki na całym świecie różnica w obecności prac kobiet i sztuki mężczyzn w kolekcjach jest przytłaczająca – w Muzeum Narodowym w Warszawie to, jak podaje Zientek, 97 do 3 proc.

Trzeba uświadomić sobie, jak powstawały te kolekcje sztuki. Dzisiaj znamy je jako budowane przez kuratorów całości, kupowane według misji instytucjonalnej, światowych trendów czy rocznego programu. Dofinansowane ze środków publicznych, w corocznym konkursie ministerialnym na „narodową kolekcję sztuki". Ale niegdyś kolekcje powstawały inaczej – darowane, kupowane za grosze, pozostawiane po ekspozycjach z niejasną sytuacją prawną.

Zmiana jest także instytucjonalna – i to na poziomie placówek, w których postęp jest symbolicznie istotny dla całego świata sztuki. W 2021 r. Laurence des Cars została dyrektorką muzeum Luwru w Paryżu. To pierwsza kobieta stojąca na czele tej instytucji od 1793 r. Zaledwie kilka lat wcześniej, w 2017 r., Maria Balshaw została dyrektorką brytyjskiego Tate (Tate Modern i Tate Britain, a także oddziałów w Liverpoolu i Kornwalii) w momencie, w którym instytucja przechodziła duże systemowe zmiany, m.in. związane ze światową dekolonizacją muzeów. W jednym z wywiadów Maria Balshaw opowiada, że kiedy spotyka się w międzynarodowym gronie osób zarządzających najważniejszymi muzeami sztuki na świecie, 75 proc. obecnych stanowią mężczyźni. Dlatego w jej instytucji przeważająca większość zatrudnionych kuratorów to kobiety.

Balshaw stawia także jedną, bardzo istotną tezę dla postrzegania dziś równości w sztuce, podobną do tej, którą stawiała Linda Nochlin: cokolwiek byśmy dzisiaj zrobili, nie wyrównamy obecności kobiet w sztuce w XVIII czy XIX wieku.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Ewa Juszkiewicz „Bez tytułu", 2018 r.

Można postawić za to na inne wyzwania, które sprawią, że za kilka dekad o współczesności nie pomyślimy w kontekście instytucjonalnych nierówności. Muzea powinny stać się bardziej intersekcjonalne. Nie tylko pod względem genderowym. Pytania się mnożą: ile muzeów, zwłaszcza w krajach rasowo bardziej zróżnicowanych niż Polska, ma całkowicie białe kolekcje? Ile kobiet spoza europejskiego kręgu zasiada na fotelach dyrektorskich w najważniejszych instytucjach sztuki?

Za intersekcjonalnym podejściem idzie kolejne wyzwanie – co z artystami nienormatywnymi, queer, reprezentującymi różne pokolenia na przełomie dekad? Zwłaszcza dotyczy to tych z najmłodszych pokoleń, którzy mają o wiele bardziej egalitarne podejście do własnej tożsamości i jej reprezentacji. Chcą być reprezentowani – także instytucjonalnie, i także w obszarze sztuki.

Badacze i artyści mają przed sobą wyzwanie na kolejne dekady. Nie chodzi bowiem o to, aby odrzucić stare gmachy, ale udowodnić, że są one społecznie istotne, mogą nadążać za zmianami, jednocześnie zachowując własną misję.

© ANNA PAJĘCKA

Sonia Kisza
HISTERIA SZTUKI
Znak Koncept
Kraków 2024

Sylwia Zientek
TYLKO ONE. POLSKA SZTUKA BEZ MĘŻCZYZN
Wyd. Agora
Warszawa 2023

DOROTA REKSIŃSKA / / MATERIAŁY PRASOWE MILLENIUM DOCS AGAINST GRAVITY

Marzyciele

ANITA PIOTROWSKA

Polski maj filmowy tradycyjnie zakwita kinem dokumentalnym. Pośród dzieł rodzimych twórców warto wypatrywać szczególnie dwóch, autorstwa zasłużonych reżyserek.

Jeśli coś łączy ze sobą na poły archiwalną opowieść o Wandzie Rutkiewicz i współczesny portret rodzinny w cieniu Puszczy Białowieskiej, to nie tylko filmowa jakość. Oba na różne sposoby opowiadają o cenie, jaką płaci się za spełnianie marzeń, i o czołowych zderzeniach z rzeczywistością.

Elizę Kubarską na trop zaginionej w 1992 r. himalaistki naprowadziły własna pasja i zapewne też własne dylematy. Twórczyni „K2. Dotknąć nieba" (2015), „Być kobietą w Himalajach" (2018) czy „Ściany cieni" (2020) nie narzuca się ze swą reżyserską obecnością, choć czuje się więź, jaka łączy ją z bohaterką. „Ostatnia wyprawa" przynosi rekonstrukcję zdarzeń sprzed 30 lat, kiedy Rutkiewicz zniknęła po nieudanym ataku szczytowym na Kanczendzongę, ale czy zniknięcie rzeczywiście oznaczało śmierć w górach? Być może – sugeruje film – była to ucieczka. Ale jeśli tak, to przed czym uciekała zdobywczyni ośmiotysięczników? I gdzie, jeżeli nadal żyje, mogła się ukryć przed światem?

Trudno stwierdzić, na ile dochodzenie odbywa się na użytek dramaturgicznego konceptu, a ile w nim rzeczywistych dociekań. Faktem jest, że Kubarska, idąc po nepalskich śladach, dotarła do nieznanej dokumentacji z ostatniego okresu życia himalaistki, w tym do jej osobistych zapisków i map. Te materiały, strzępy informacji dostarczanych po latach przez szerpów i współuczestników wyprawy czy komentarze buddyjskich mniszek nakręcają filmowe śledztwo. Liczy się w nim nie tyle rozwiązanie zagadki albo pokazanie górskiego hardcoru (choć przyznać trzeba, że zdjęcia kręcone dzisiaj w Nepalu robią wrażenie), ile próba zrozumienia, kim była Rutkiewicz.

Dopełnienie tego obrazu mógłby stanowić spektakl telewizyjny „Wasza wysokość" w reżyserii Agnieszki Smoczyńskiej, dostępny na VoD. Najwięcej jednak wnoszą archiwalia – zarówno te robocze, wprost z himalajskich stoków i wspinaczkowych baz, jak i telewizyjne, radiowe czy prywatne, gdzie sporo można wyczytać z twarzy, mowy ciała, miękkiego brzmienia głosu zaginionej. Kobiety, która mówi o sobie, że nie umiała żyć w czasie teraźniejszym, stąd wiecznie była „w drodze do poszukiwania czegoś".

Oczywiście, nie mogło zabraknąć kontekstów genderowych. „Czy w ogóle Himalaje to jest miejsce dla kobiet?" – pyta retorycznie ówczesny dziennikarz polskiego radia; w latach 80. himalaizm był raczej męskim sportem. Równie cenna wydaje się próba zajrzenia w głąb: zobaczenie w Rutkiewicz kogoś innego niż ambitnej twardzielki i ekstremalnej sportsmenki. Na jej filmowy portret składają się także lęki, zwątpienia, doświadczenie osobistej straty, rozważania o macierzyństwie, poszukiwania głębszego sensu. A do tego jeszcze ciężar zewnętrznych oczekiwań, środowiskowej rywalizacji i nie zawsze przychylnej sławy. Tak, zdobywczyni Mount Everestu z pewnością miała przed czym uciekać, niekoniecznie w śmierć.

Lidia Duda pokazuje parę, która swoje wyzwolenie, azyl, kryjówkę (niepotrzebne skreślić) znalazła w drewnianej białowieskiej chacie. Wraz z trójką dzieciaków wiodą nieskomplikowane, sielskie życie, podglądając zwierzynę przez lornetki i fotokomórki. Z kolei reżyserka „Lasu" wraz ze świetną operatorką Zuzanną Zacharą-Hassairi podpatrują swoich bohaterów, którzy w krainie żubra i łosia zaczynają konfrontować się z inną obecnością: w lesie są też ludzie. Dzieciaki znajdują porzucone rzeczy osobiste, dowiadują się, dlaczego pijących wodę z leśnej kałuży bolą potem brzuchy, za chwilę będą pakować „nielegalne" paczki. Przy granicy z Białorusią obowiązuje zakaz udzielania pomocy humanitarnej i to, co dla najmłodszych jest zrazu przygodą, pomysłem na nową zabawę, dorosłym spędza sen z oczu.

Autorka „Herkulesa" (2005) i „Pisklaków" (2022) nie stworzyła brakującego ogniwa ani dokumentacji do „Zielonej

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE MILLENIUM DOCS AGAINST GRAVITY

OSTATNIA WYPRAWA *– reż. Eliza Kubarska. Prod. Polska/ /Szwajcaria/Nepal/ Indie/Włochy/Austria 2024.*

LAS *– reż. Lidia Duda. Prod. Polska/Czechy 2024.*

Oba filmy w programie 21. Millennium Docs Against Gravity (10-19 maja) i 64. Krakowskiego Festiwalu Filmowego (26 maja – 2 czerwca).

Po lewej: kadr z filmu „Las"

Po prawej: Wanda Rutkowska w filmie „Ostatnia wyprawa"

granicy", lecz odwróconą bukolikę, ciemniejszy rewers „żywota poczciwego". Kamera znajduje się najczęściej bardzo blisko bohaterów, czasem na wysokości dziecięcych oczu (Duda jest mistrzynią w filmowaniu najmłodszych) i w zasadzie cała opowieść rozgrywa się w obrazie. A właściwie w samym sposobie patrzenia. Miękkie światło, zmieniające się pory roku i rodzinne ciepełko w odniesieniu do tego, co w tym samym czasie znajduje się poza kadrem, dają niepokojący efekt. Nawet wspólne saunowanie, zakończone baraszkowaniem w śniegu, mimowolnie przypomina, czym jest śnieg dla uwięzionego nocą w lesie. Oglądamy to domowe szczęście niby od środka, a równocześnie z zewnątrz, bo głównym bohaterem filmu Dudy jest tytułowy las. To on ukradkiem patrzy na nich – i na nas.

Bez wielkich słów, zwłaszcza tych epatujących empatią, udało się w „Lesie" pokazać iluzje, jakie tworzymy sobie, by mieć wrażenie pełnej kontroli nad rzeczywistością. Choć realne i tak, wcześniej czy później, podchodzi pod nasze okna i zagląda o zmroku do kuchni. Bohaterowie dokumentu nagrodzonego niedawno na festiwalu w Salonikach angażują się w pomoc ofiarom pushbacków i tłumaczą sytuację swoim dzieciom, jest w nich jednak zwykły rodzicielski strach oraz bezradność wobec tego, jak wygląda obecny świat. I co im zafundowali, przenosząc się w rejony Puszczy, przeciętej teraz zasiekami. Przeżyli już wycinkę, przeżyją pewnie niejeden „kryzys migracyjny", jakkolwiek w filmie rzadko padają tego rodzaju ogólniki. Mamy za to bezpośrednie, intymnie ukazane doświadczenie, w którym słowo „uchodźca" wybrzmiewa dopiero w dziecięcych ustach. Bo starsi rozmawiają szeptem o tym, co przez cały czas dzieje się tuż obok.

Rutkiewicz swój niezrealizowany projekt zdobywania kolejnych szczytów nazwała „Karawaną do marzeń". W dokumencie Dudy marzeniem jest coś zgoła odwrotnego, czyli zwyczajne, spokojne życie – z bezpiecznym dzieciństwem, nieskażoną naturą, rodzinną kolacją i czystym praniem suszącym się na słońcu. Dla jednych oznacza to wyrzeczenie się paru miejskich wygód, dla innych nieosiągalne Himalaje komfortu.

U Kubarskiej kamera z drona patrzy na góry jak na cmentarzysko nieuleczalnych marzycieli. W przypadku zdjęć dronowych czy noktowizyjnych w „Lesie" chciałoby się użyć podobnej metafory, nawet jeśli zbyt naciąganej. Zarówno w odniesieniu do anonimowych uchodźczych losów, jak i do bohaterów wygnanych pewnego dnia z podlaskiego raju czy z beztroskiego dzieciństwa. ©

Lektor: *Dzikarium*

▪ *Michał Książek*
ATLAS DZIUR I SZCZELIN
Wydawnictwo Znak, Kraków 2023, ss. 300

Pisarz i przyrodnik, rocznik 1978, w 2013 r. wydał świetną książkę reporterską o Jakucji – kraju syberyjskim, w którego historii zapisali się polscy zesłańcy, przede wszystkim Wacław Sieroszewski. Za debiutancki tom wierszy, „Naukę o ptakach" (2014) Książek otrzymał wrocławskiego Silesiusa, za kolejny reportaż, zapis wędrówki tytułową „Drogą 816" (2015) – Nagrodę Gdynia. Teraz „Atlas dziur i szczelin" znalazł się w finałowej piątce Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego.

To nagroda za reportaż, tym razem jednak wielkomiejski czytelnik, chcąc pójść śladami autora, nie musi ani jechać na Syberię, co dziś byłoby raczej niemożliwe, ani podróżować wzdłuż wschodniej granicy. Wystarczy, by po prostu ruszył się z domu, ewentualnie zaopatrzony w lornetkę, no i sporą dawkę wiedzy, uwagi i cierpliwości. Książek odsłania bowiem świat istniejący tuż obok nas, o którego istnieniu często nie mamy pojęcia – jak ci piwosze balujący na ławkach przy Świętokrzyskiej, nieświadomi, że tuż nad nimi toczy się życie codzienne rodziny sikor modraszek.

Ptaki, owady ze szczególnym uwzględnieniem pszczół, systematyka dziur mieszkalnych w bloku miejskim. Rośliny zwane ruderalnymi i związek pomiędzy rdestem a obecnością wróbli. Warszawskie stacje metra, krakowskie Planty, łódzka Piotrkowska, wierzba dworcowa w Gdańsku. I w tym samym Gdańsku marzenie biofoba: „metalowe drzewo wbetonowane w planetę, które nigdy się nie przewróci. Które nie zgnije i nie dostanie grzyba. Drzewo, które nie uroni liścia i nie podniesie kosztów utrzymania. Nie naruszy go żaden chrząszcz, czyli »robak«".

Zacytowałem ten ironiczny fragment, bo „Atlas dziur i szczelin" jest tyleż kompetentnym i fascynującym przewodnikiem po najbliższej nam rzeczywistości, ile protestem przeciw sposobowi, w jaki odnosimy się do natury. Przeciw irracjonalnej dendrofobii (czyli lękowi przed drzewami), w obronie owych „robaków" czy grzybów, które stanowią niezbędny element skomplikowanego systemu biologicznej współzależności. To manifest na rzecz świata, którym rządzi „ent-tuzjazm", czyli „radość z oglądania drzew senioralnych" (pamiętacie tolkienowskich entów?). W którym nie jest „ładnie", bo nie poddaliśmy go jeszcze rzekomej „rewitalizacji" (czyli nie uporządkowaliśmy go wedle naszych arbitralnych oraz ignoranckich gustów). W którym „dzikarium", inaczej nieużytek, to „obszar niezwykle użyteczny". ©℗

OLGA

Drenda:
Z dziejów wkręcania

Pogoda sprzyja wyprawom w plener, a nie ma to jak rekreacja, która przy okazji pozwoli nieco wzbogacić wiedzę, choćby była to tzw. wiedza quizowa (nikomu nie pozwalam jej deprecjonować). Nieprzypadkowo dawnymi czasy lubiłam wciągać się w „100 zagadek turystycznych". I tak niedawna wycieczka rowerowa po zakątkach Warszawy przypomniała mi, że niebawem minie 20 lat od legendarnej mistyfikacji z heroicznych początków polskiego internetu, czyli przypadku Henryka Batuty.

Henryk Batuta – jak głosiło umieszczone w 2004 r. na polskiej Wikipedii hasło – miał być działaczem komunistycznym o życiorysie podejrzanie zbliżonym do biografii właściciela twarzy ze starej pięćdziesięciozłotówki, czyli Karola Świerczewskiego, z elementami pożyczonymi z uniwersum teorii spiskowych. Ulica Batuty na warszawskim osiedlu Służew upamiętniała, zdaniem internautów, człowieka niegodnego takiego gestu. Jego istnienie uwiarygodniały zaś cytaty, wyniki wyszukiwania Google, a przede wszystkim fakt, że nikt nie podważał autentyczności wpisu na Wikipedii.

Po niecałych dwóch latach wpis przeszedł weryfikację i biogram został uzupełniony o informację, że mowa o postaci fikcyjnej, bohaterze wyrafinowanego żartu grupy użytkowników skrywającej się pod kryptonimem Armia Batuty. Nazwa służewskiej ulicy pochodzi w rzeczywistości od batuty dyrygenta, zaś przypadek tej zmyślnej mistyfikacji posłużył za ilustrację licznych studiów z zakresu weryfikacji danych. Nie przez przypadek podkreślam jednak to, ile czasu minęło: Henryk Batuta był postacią z „małego internetu", w którym znacznie łatwiej było o sprostowanie, a informacja taka miała szansę osiągnąć należyty rozgłos.

Co się wkręciło, można też wykręcić (np. przy pomocy scyzoryka)

OLGA DRENDA

W czasach, gdy ta historia wyszła na jaw, byłam absolutnie pewna, że wszyscy na świecie podzielają moje przekonanie, że to, co nazywamy najszerzej pojętymi teoriami spiskowymi, to ironiczny żart, mistyfikacja, i że nikt nie mówi o nich na serio. Zapewne ktoś musiał wziąć mnie za prawdziwą wyznawczynię. Pasjonowałam się wówczas trylogią „Illuminatus" Roberta Shea i Roberta A. Wilsona (której lekturę wszystkim najserdeczniej polecam), książki, która zapewnia doskonały trening czujności i przytomnego wątpienia, bo cała jej akcja stanowi niezwykle szybką żonglerkę faktami i zmyśleniami. Wydawało mi się, że wszyscy na świecie mają rodzaj węchu czy radaru umożliwiającego wytropienie fikcji, albo że pasjonują się zabawą we wzajemne wkręcanie i mruganie do siebie okiem, w stylu, powiedzmy, prac Roberta Kuśmirowskiego, albo „Sennego żywota Leonory de la Cruz" Agnieszki Taborskiej. Szalenie się zdziwiłam, gdy okazało się, że bywa raczej odwrotnie i ludzie często – kto wie, może i coraz częściej – wolą nie być wyprowadzani z błędu, tylko po prostu przyswoić własną wersję rzeczywistości i się przy niej upierać. Albo nawet gdy dowiedzą się, że coś, w co wierzyli, jest fikcją, będą starali się za wszelką cenę znaleźć margines wiarygodności. A już na pewno nie traktują informacji jako klocków w postmodernistycznej zabawie. Wybierają po prostu odmianę własnej poznawczej korzyści: coś, co im osobiście odpowiada. Być może gdyby przypadek Henryka Batuty zdarzył się dziś, pojawiłaby się kontrarmia, starająca się za wszelką cenę udowodnić, że to oni znają prawdę i że nie było żadnej mistyfikacji.

Korzystając z okazji chciałabym upamiętnić kierowcę taksówki, przypadkowego, a znaczącego bohatera opowieści o Henryku Batucie. Zagadnięty przez Armię Batuty o to, czy nie przeszkadza mu, że ulica upamiętnia tak skandaliczną postać, odparł z nutą niecierpliwości, że nie i że jest mu to zupełnie obojętne. Niezłomna odporność tego człowieka na prowokatorskie zagadnięcia i radykalna niechęć do bycia wciąganym w spory symboliczne powinna nam wszystkim dać do myślenia. To bowiem rzadko spotykane dzisiaj cechy. Jakby z zupełnie innego świata. Dzisiaj ktoś mówi „nic mnie to nie obchodzi" (albo raczej, w pluralis maiestatis, „n a s") właśnie wtedy, gdy obchodzi go bardzo. ©

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

PAWEŁ

Bravo: *Narodowość kebaba*

„Naziole jedzą kebaba po kryjomu" – taki transparent niósł uczestnik jednego z protestów przeciwko partii AfD, które szły ulicami niemieckich miast późną zimą. Podobny rodzaj humoru – w kontekście nie politycznym, ale też okrutnie spolaryzowanym – podnieśli na wyżyny absurdu kibice z naszej Łodzi („ŁKS gotuje herbatę na wodzie po pierogach", „Widzew myśli, że *in vitro* to rodzaj pizzy" itd.). Lepiej tak, niż żeby mieli się wdeptywać w glebę dosłownie, choć właściciele pomazanych murów mają inne zdanie.

O tym, czy i jak tamować tzw. falę populizmu, jeszcze się nasłuchacie w rozpoczętej kampanii wyborczej. Różne słonie będą was przekonywać, że są na tyle stare, iż zasłużyły na cmentarzysko w Strasburgu. Faktycznie, od kiedy z ponownego startu zrezygnowali rzetelni do bólu, a zatem niewidoczni w naszym grajdole europosłowie, tacy choćby jak Jerzy Buzek czy Jan Olbrycht (albo z nich zrezygnowano, jak w przypadku pisowskiej tzw. frakcji profesorskiej, prezes nie zdzierżył natężenia fal mózgowych), ta izba, przynajmniej widziana z daleka, traci jeszcze na powadze. Chociaż miewała chwile jasności, gdy np. w 2017 r. utrąciła – ledwo ledwo, trzema głosami – zakaz dodawania fosforanów do mrożonego mięsa na kebab. Zapewniają one soczystość i zwartość nadzianego na rożen walca. Pochłaniamy je praktycznie we wszystkim, a np. w dużej butelce coli jest ich znacznie więcej niż w przeciętnym kebabie.

Sprawa była wówczas głośna w niemieckich mediach, „Bild" robił z tego czołówki, bo wskutek zakazu podskoczyłyby ponad akceptowalny poziom koszty tej plebejskiej odmiany gastronomii. Kebab musi być tani, stąd jego powszechność oraz dysonans, wydobyty dowcipnie na tamtym transparencie. Jak chcesz zjeść szybko i bez ceregieli pełen obiad (pełen, czyli: mięso, skrobia, surówka, a jeśli popijemy to colą, mamy i deser), nie masz praktycznie wyjścia, no chyba że currywurst, ale tam z kolei obca przyprawa i brak warzyw. Jesz, nawet jeśli żywisz pogardę dla grup społecznych, które ten obiad wpuściły w narodowy krwiobieg.

Co roku ktoś wrzuca do sieci w celach szyderczych zdjęcia naszych dziarskich chłopców posilających się kebabem po marszu. Powinni odczuwać podwójny ból pewnej części ciała, bo jest to przecież potrawa turecko-niemiecka (ignoruję tu pretensje Greków, że byli pierwsi ze swoim gyrosem – w latach 60. to Turcy stanowili ogromną większość „gości-robotników"). Tę hybrydowość postanowili niedawno wykorzystać dyplomaci z Berlina. Otóż posłali do Ankary z wizytą pojednawczą prezydenta Steinmeiera, wiozącego w darze 60-kilowy walec mięsa jako wyraz wdzięczności Niemiec za wkład Turcji w niemiecką tożsamość. Ba, nie tylko przywiózł, ale i podał! Dostojnego polityka ubrano w fartuch, wsadzono mu do ręki ogromny nóż i kazano kroić plasterki na bankiecie. Oj, nie czuł się dobrze w tej durnej roli, i to było widać. Ale sam koncept z darem bardzo mi się podoba: świadczy o braku kompleksów po obu stronach. Gdyby Joe Biden pojechał do Włoch z dziękczynną pizzą (np. nowojorską, bo chicagowskiej to ja bym się wstydził przed światem), nienawistny lud Neapolu byłby gotów spalić konsulat za sugestię, że to nie oni wszystko wymyślili. Czy nasz prezydent jest gotów pojechać do Kijowa z miską ruskich pierogów?

A może Turcja jakiś lekki kompleks ma, zgłosiła właśnie do Brukseli wniosek o przyznanie statusu „gwarantowana tradycyjna specjalność" – tak się zwie unijny certyfikat niższego rzędu niż znana wam pewnie lepiej ze sklepów „chroniona nazwa pochodzenia". Obejmuje składniki i procedury, ale bez związku z miejscem, w Polsce taki stempel mają np. kiełbasa krakowska albo miody pitne, a najbardziej znany przykład to mozzarella. Ściśle rzecz biorąc, wniosek dotyczy nazwy döner, właściwszej dla tej potrawy, bo pochodzącej od tureckiego słowa, oznaczającego obrót. Jako taka jest znana w Niemczech, ale większość Europy stosuje słowo „kebab", oznaczające dowolne pieczone mięso. Niezależnie więc, co postanowią w Brukseli, będziemy mogli dalej wyczyniać dowolne cuda, ze stosowaniem wieprzowiny włącznie. Ale i tak nie lekceważmy, kogo tam do tej Unii poślemy. A nuż nakażą stosować tylko sos łagodny albo ostry? A ja najbardziej lubię z mieszanym. Co nie jest, oczywiście, sugestią, by głosować na Trzecią Drogę... ©℗

Żeby przeprosić się z Grekami, których odesłaliśmy do kąta z gyrosem (nazwa też od obracania), przypomnijmy pyszny grecki przepis na burakowe keftedes, zresztą dziś przydatny, by zutylizować ostatnie stare buraki, które zostały w skrzynkach. Pieczemy zawinięte w folię aluminiową ok. 250 g buraków (gdy bardzo stare, może to zająć nawet godzinę), obieramy i trzemy na grubej tarce. Dodajemy posiekany pęczek szczypiorku i 200 g fety (dla taniości może być tzw. serek sałatkowy). Potem jedno jajko i tyle bułki tartej, żeby masa dała się wygodnie lepić. Chłodzimy godzinę w lodówce, toczymy kulki wielkości dużego orzecha, pieczemy w 180 stopniach około kwadransa, aż na wierzchu powstanie ładna skorupka, a w środku będą jeszcze miękkie.

AS FOODSTUDIO / SHUTTERSTOCK

WSZĘDZIE OBCY

Biennale Sztuki w Wenecji pokazuje odmienny od znanego nam kanon sztuki i tematy, które są najważniejsze dla artystów Globalnego Południa.

PIOTR KOSIEWSKI Z WENECJI

LUC CASTEL / GETTY IMAGES

Foreigners Everywhere" to tytuł pracy założonego w Paryżu w 2004 r. kolektywu Claire Fontaine. Neony w różnych kolorach w ponad 50 językach – europejskich i nieeuropejskich, do dziś żywych i wymarłych – powtarzają słowa „Cudzoziemcy są wszędzie". Dzieło kolektywu dobrze oddaje czas, w jakim żyjemy.

Według ONZ liczba uchodźców na świecie we wrześniu 2023 r. wynosiła 114 milionów. Liczba migrantów jest znacznie, znacznie większa. Procesy globalizacyjne sprawiły, że łatwiej się przemieszczamy, zmieniamy miejsca zamieszkania, nie tylko w obrębie krajów czy całych kontynentów. Obok siebie istnieją różne rasy, narodowości, kultury, języki. Odmienności – także płciowe czy seksualne – są coraz wyraźniej uwidoczniane. Świat, w którym funkcjonujemy, stał się znacznie bardziej różnorodny, przemieszany i skomplikowany, co ma następstwa polityczne, społeczne czy kulturowe. Opowieścią o takim świecie jest tegoroczne 60. Międzynarodowe Biennale Sztuki w Wenecji. Tytuł pracy Claire Fontaine stał się jego hasłem.

Szeroko, głęboko, daleko

Miasto na lagunie samo dobrze pokazuje te zmiany i przypomina, że migracje, mieszanie kultur i narodów nie są czymś nowym. Wenecja została założona przez uciekinierów z rzymskich miast, którzy schronili się na wyspach przed najeźdźcami. Stała się potem najważniejszym ośrodkiem handlu międzynarodowego w regionie Morza Śródziemnego. Miejscem zamieszkania różnych nacji i celem podróży osób z całej Europy, a sami Wenecjanie też z upodobaniem wędrowali. Na podstawie „Opisania świata" Marco Polo – wystawa jemu poświęcona trwa właśnie w Pałacu Dożów – kolejne pokolenia Europejczyków tworzyły obraz Chin, Indii czy Bliskiego Wschodu. Dziś coraz bardziej wyludniające się miasto stało się celem setek tysięcy turystów i po raz pierwszy w swej historii wprowadziło opłaty za wejście do historycznej części, by ograniczyć wielonarodowy tłum przelewający się przez jego ulice.

W wielości języków obecnych w pracy Claire Fontaine jest i polski. Jednak tytułowe hasło zostało przez kolektyw inaczej przetłumaczone. „Wszędzie obcy" – oznajmia jeden z neonów. Przekład ten lepiej oddaje intencje Adriana Pedrosy, kuratora tegorocznego Biennale. Wyrażenie „Foreigners Everywhere" ma bowiem, jak podkreśla, wiele znaczeń. „Po pierwsze: gdziekolwiek pójdziesz i gdziekolwiek będziesz, zawsze spotkasz obcokrajowców – oni/my są wszędzie. Po drugie: niezależnie od tego, gdzie się znajdziesz, zawsze jesteś naprawdę i w głębi duszy obcokrajowcem". Przygotowana przez niego główna wystawa w Pawilonie Centralnym na terenie Giardini, czyli historycznym miejscu Biennale oraz w przestrzeniach dawnego Arsenału, ma pokazać to spotkanie z obecnością inności, z Innym.

Adriano Pedrosa, brazylijski krytyk i kurator, dyrektor Museu de Arte de São Paulo zaproponował radykalną perspektywę. Pokazuje twórczość powstającą współcześnie, ale też w XX wieku z punktu widzenia globalnego Południa. Po raz pierwszy w historii weneckiej imprezy szeroko rozumiany Zachód jest mniejszością. Na wystawie znalazło się ponad 330 artystek i artystów. Ponad 80 procent z nich urodziło się lub tworzy ↦

Instalacja Manolo Valdésa wystawiona w ramach 60. Biennale w Wenecji. 17 kwietnia 2024 r.

↦ w Afryce, Azji czy Ameryce Południowej. Po raz pierwszy od lat nie ma żadnego artysty czy artystki z Polski. W ogóle twórczość z naszej części Europy jest niemalże nieobecna.

Długi trzeba spłacać

Wchodzących na wystawę w Arsenale wita rzeźba Yinki Shonibarego przedstawiająca kosmonautę. Jego skafander uszyto z charakterystycznych wzorzystych tkanin – to one są dziś jednym z ważnych elementów afrykańskiej tożsamości. Na plecach dźwiga wielką siatkę wypełnioną przedmiotami codziennego użytku.

Urodzony w 1962 roku Shonibare – jego rodzina pochodzi z Nigerii – jest jednym z symbolicznych przykładów zmian, jakie zaszły w ostatnich dekadach. Należy do grupy artystek i artystów o imigranckich korzeniach, którzy stali się częścią mainstreamu współczesnej sztuki. Jednak Adriano Pedrosa skupił się na twórczości mniej w Europie znanej, a przede wszystkim dotąd niepokazywanej w Wenecji. Poszedł nawet krok dalej. Od dawna na Biennale obecne są dzieła artystów i artystek niejednokrotnie od lat zmarłych, zapomnianych lub wcześniej niedostrzeżonych, a teraz odkrywanych. On jednak postanowił uczynić z takich dzieł równorzędną składową Biennale, w której pokazuje prace blisko 190 artystek i artystów! Jak podkreśla, w ten sposób spłaca „historyczny dług" wobec tych, którzy w przeszłości byli w Wenecji nieobecni.

W dwóch częściach tzw. Nucleo Storico znalazły się przede wszystkim obrazy, ale też rysunki i rzeźby powstałe w latach 1905-1990 w Ameryce Łacińskiej, Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Azji. Wystawa przypomina muzealną ekspozycję, w której oglądający jest wręcz przytłoczony liczbą dzieł. Jest ciesząca się obecnie ogromną popularnością Frida Kahlo. Tworząca w Afryce Południowej, a pochodząca z niemiecko-żydowskiej rodziny Irma Stern, która portretowała tamtejszą czarną społeczność. Wreszcie zmarła niedawno Libanka Etel Adnan, autorka wyrafinowanych kolorystycznie abstrakcji.

Większość pokazanych tu twórców i twórczyń nadal pozostaje szerzej nieznana poza swoim kręgiem kulturowym. I tylko na podstawie zaledwie jednej pokazanej w Wenecji pracy, bo taką przyjęto zasadę, trzeba dokonać oceny ich dorobku. Jednak czy na podobną bezradność nie jesteśmy skazani, oglądając muzea w słabo znanych nam krajach? I jeżeli nawet część prac wydaje się z naszej perspektywy np. wtórna w stosunku do tego, co działo się w tym czasie w głównych centrach artystycznych, odgrywają one fundamentalną rolę w innych częściach świata. Być może trzeba odejść od jednej historii sztuki na rzecz wielu?

Jeszcze bardziej ryzykowna jest trzecia część Nucleo Storico. Poświęcono ją włoskiej diasporze artystycznej XX wieku: artystkom i artystom, którzy przenieśli się za granicę. Tworzyli w Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej, a także w pozostałej części Europy i Stanach Zjednoczonych, często stając się częścią tamtejszego życia artystycznego. Są wśród nich bardzo znane postaci, jak współtwórca futuryzmu Gino Severini czy tworząca w Brazylii Anna Maria Maiolino, która w tym roku otrzymała na Biennale Złotego Lwa za całokształt twórczości. Jednak wiele z tej twórczości ma jedynie lokalne znaczenie lub jest historycznym zabytkiem. Zastanawiano się, jak wpłynie na kształt wystawy mianowanie przez niestroniący od antyimigranckich działań rząd Giorgii Meloni prawicowego dziennikarza Pietrangela Buttafuoco nowym prezydentem La Biennale Di Venezia. Pedrosa zdaje się przypominać Włochom: „Wy też byliście i jesteście imigrantami. Bycie obcym jest też waszym doświadczeniem".

PIOTR KOSIEWSKI

Jeffrey Gibson, The space in which to place me, Pawilon Stanów Zjednoczonych, Biennale Sztuki w Wenecji

Po prawej: Pawilon watykański w dawnym więzieniu dla kobiet Giudecca

Przyszłość przeszłości

W pawilonach narodowych kluczowymi tematami stały się migracje, dekolonizacja, mniejszościowe tożsamości, obalanie dominujących zachodnich narracji. Jednocześnie Biennale odbywa się w cieniu bieżących, dramatycznych wydarzeń. Rosja nadal nie jest na nim obecna – swój pawilon udostępniła Boliwii, a pawilon ukraiński opowiada o doświadczaniu wojny. Z kolei pawilon izraelski pozostanie zamknięty do czasu zawieszenia broni i podpisania porozumienia o uwolnieniu zakładników. Zadecydowała tak Ruth Patir, która miała w nim zaprezentować swoje prace. Pod budynkiem odbywają się za to propalestyńskie demonstracje.

Złotego Lwa zdobył pawilon australijski. Archie Moore stworzył w nim sięgający 65 tys. lat wstecz wykres genealogiczny ludów Kamilaroi i Bigambul, z których sam się wywodzi. Jest to historia aborygeńskiej społeczności pełna osób zamordowanych lub zmarłych z powodu chorób. I jednocześnie – ofiar brytyjskiej kolonizacji. Całe te dzieje zostały napisane białą kredą na czarnych ścianach, niczym na szkolnej tablicy. Wystarczy kilka ruchów, by ją zetrzeć. Pośrodku zaś Moore zgromadził dokumentację ponad 500 śledztw koronerów w sprawie

DANIELE VENTURELLI / GETTY IMAGES

śmierci rdzennych Australijczyków przetrzymywanych w więzieniach. Za stosami papierów kryją się niezliczone ludzkie historie. Każda z nich zasługuje na uwagę, a jednocześnie nie sposób, by podczas oglądania pawilonu je poznać.

Dzieje kolonializmu opowiada także John Akomfrah w pawilonie brytyjskim. W swych filmach śledzi związki między podbojami i naturą, w imperialnej ekspansji widząc źródła doświadczanej teraz katastrofy klimatycznej. W innych mówi o dziejach migracji do Wielkiej Brytanii, która od wieków była celem przybyszów. W czasach nowożytnych z Europy, z Hansem Holbeinem, nadwornym malarzem Henryka VIII na czele. W drugiej połowie XX wieku przeważali imigranci z Azji, Afryki i Karaibów. Do nich należy sam John Akomfrah, który pochodzi z Ghany.

Opowieści o własnej przeszłości, korzeniach, tożsamości to jeden z najciekawszych wątków w pawilonach narodowych na tegorocznym Biennale. W pawilonie Stanów Zjednoczonych znalazły się prace Jeffreya Gibsona, pierwszego artysty wywodzącego się z rdzennych narodów Ameryki, który ma tu indywidualną wystawę. Cały budynek mieni się intensywnymi, żywymi kolorami. Zwiedzających witają ogromne figury przypominające strażników symbolicznie chroniących dawne świątynie czy pałace, a w ostatnim pomieszczeniu na ekranach pokazywany jest zapis tradycyjnego tańca uzdrawiającego kobiet z plemienia Ojibwe. Ekstatycznego, pełnego energii, wykonywanego do elektronicznej muzyki kanadyjskiego zespołu The Halluci Nation. Gibson sięga po rodzime rękodzieło, wykorzystuje w swych pracach skórę, szklane koraliki, pikowane tkaniny i łączy je ze współczesną kulturą popularną. I przypomina o walce o prawa rdzennych mieszkańców Ameryki.

W egipskim pawilonie pokazywany jest film Waela Shawky'ego opowiadający o nieudanym narodowym powstaniu w 1882 r. – po jego stłumieniu kraj był pod brytyjską okupacją, zakończoną ostatecznie w 1956 r. odzyskaniem przez Egipt kontroli nad Kanałem Sueskim. To jedno z najbardziej niezwykłych dzieł na tegorocznym Biennale. Shawky w swym filmie połączył operową konwencję z tradycją teatru kukiełkowego. Są tu dramatyczne zwroty akcji, ludzkie dramaty, ale też humor. Mounira Al Solh w pawilonie libańskim reinterpretuje starożytny grecki mit o porwaniu Europy przez Zeusa. Przewrotnie, z humorem opowiada tę historię z punku widzenia kobiety i mieszkanki Bliskiego Wschodu.

Jednak najbardziej spektakularny jest pawilon niemiecki, w którym przeszłość łączy się z przyszłością. W jego wnętrzu Ersan Mondtag wzniósł drugi budynek – niewielki modernistyczny dom. Niszczejący, zakurzony. Lecz nadal zasiedlony. Zwiedzający przyglądają się codziennemu krzątaniu, pracy zamieszkującej w nim rodziny. Obserwują śmierć starego mężczyzny i rytuały pogrzebowe. Odbywający się non-stop spektakl nawiązuje do historii dziadka artysty, który przybył do Niemiec ze środkowej Anatolii w latach 60. zeszłego wieku. Mondtag przypomina o zapomnianym już emigranckim doświadczeniu. Obok zaś dzieje się inna historia. Izraelska artystka Yael Bartana, znana u nas z głośnej pracy „Mary koszmary" wzywającej Żydów do powrotu do Polski, w Wenecji opowiada – m.in. w wizualnie olśniewającym filmie – o opuszczeniu przez ludzi Ziemi znajdującej się na krawędzi zniszczenia. Udają się oni w podróż w kosmos, by planeta mogła odrodzić się na nowo.

Polski pawilon mówi o tym, co tu i teraz. Znalazły się w nim dwa filmy ukraińskiej Open Group, w których uchodźcy krótko mówią o swoich losach. Pierwszy został nakręcony w 2022 r. w obozie pod Lwowem. Drugi – dwa lata później w państwach, w których znaleźli schronienie uciekinierzy z Ukrainy. „Mam na imię Natalia, mam 55 lat, w 2023 r. przyjechaliśmy z obwodu kijowskiego do Berlina". „Mam na imię Maria, pochodzę z Mariupola i od kwietnia 2022 r. mieszkam w Wilnie". „Nazywam się Timofij i przeprowadziłem się z Kijowa do Polski w marcu 2022 roku". Każda z tych relacji kończy się opowieścią o zapamiętanych dźwiękach broni, którą ich atakowano. I potem proszą publiczność – niczym w karaoke – o ich powtórzenie. Stoją nawet mikrofony, do których można podejść.

Z każdym dniem trwania wystawy przybywało w pawilonie publiczności, a wielu podejmowało zaproponowaną przez artystów grę, która pod pozorem zabawy uświadamiała, jak ważne dla przeżycia jest dobre rozpoznanie dźwięków broni. Co więcej, to ukraińskie doświadczenie może stać się udziałem innych. „Powtarzajcie za mną" – Open Group jest opowieścią o przyszłości, która może stać się udziałem Europejczyków.

© PIOTR KOSIEWSKI
współpraca ROBERT ZAKRZEWSKI

60. Międzynarodowe Biennale Sztuki w Wenecji, wystawy czynne do 24 listopada 2024 r.

STANISŁAW

Mancewicz: *Szpickandydat*

Komuś niezorientowanemu w tutejszej specyfice początek kampanii przed wyborami do europarlamentu może się wydać zwyczajny. Oto, jak widzieliśmy, wszyscy już przedstawili swoich kandydatów i kandydatki, a wszyscy oni wystąpili bądź w garsonkach, bądź w garniturach. Ta jednakowość to efekt podpatrzenia, z którego wynika tyle, że wszyscy w Europie są ubrani i uczesani europejsko, a więc standardowo. Ludzie, jak widzimy, pozbyli się tak sympatycznych znaków identyfikacyjnych, jak dajmy na to noszona na co dzień ciupażka, kapelusz w określonym fasonie, surdut czy kierpce bądź osobliwie podkręcone wąsiki, w dół bądź w górę. Słowem, było, minęło i teraz – gdy przyglądamy się chętnym do zasiadania w parlamencie – pozostają nam wyłącznie domysły, kto zacz, bo przecież na podstawie krótkich haseł, umiejętności skandowania, odśpiewania hymnu państwowego, wykrzyczenia jednosylabowych programów nie sposób się zorientować w czymkolwiek, w tym „PO CO".

Od lat – a mamy na to wielotysięczne rzesze świadków – apelujemy, by pytanie „PO CO?" haftować na każdej polskiej chorągwi, wymalować na każdym transparencie, wywiesić je w każdej auli, zadawać je każdemu kandydatowi do dowolnej szkoły, godności bądź profesji. Od udzielenia odpowiedzi na pytanie „PO CO?" powinny się zaczynać wszystkie egzaminy, ale też wywiady ze sławnymi ludźmi, zarówno z tymi lubianymi, jak i nielubianymi. Wszyscy politycy polscy, każdego ranka, powinni publicznie dawać na nie spójną odpowiedź, a każdy polski uczeń i student powinien zaczynać dzień od precyzyjnego opowiedzenia, PO CO się uczy. I tak dalej, i tak dalej, aż po prezydenta RP, który w codziennym, porannym mikroorędziu powinien spójnie i jednoznacznie opowiadać masom, PO CO jest i PO CO sprawuje ten urząd. Bo – każdy to chyba przyzna – po tym, co ów od lat mówi, ani w ząb nie idzie się domyślić, czy mianowicie jest on prezydentem RP dlatego, że jest zdrowy czy chory, mądry czy niemądry, miły czy niemiły, ładny czy nieładny. A to by się jednak przydało i ujednolicić, i ukonkretnić. Naród byłby wdzięczny.

No więc – idąc dalej, ku syntezie – z dużą dozą pewności trzeba przyjąć, że kraj nasz cierpi na postępujący i powszechny w każdej dziedzinie brak konkretu i jasności. Dlatego też tak bardzo odczuwamy potrzebę konkretyzowania, ujednolicania oraz rozjaśniania i odpowiadania na proste pytania. Z owego konkretyzowania i syntetyzowania wynika na razie – jeśli idzie o wybory do europarlamentu – jedno. To już pewne: spora część polskiej reprezentacji będzie nowocześnie jednolita. Będą to mianowicie ludzie skazani prawomocnymi wyrokami bądź – dla niejakiej odmiany – poszukiwani listami gończymi za przestępstwa kryminalne. Rzecz jasna, ich czyny mogą być przedstawiane w pewnych sferach jako czcigodne akty poświęcenia dla ojczyzny, ale nie dajmy się omamić. Oto żadna, ani niczyja, ojczyzna nie oczekuje, że jej herosi kradną, fałszują dokumenty, szantażują i podsłuchują bliźnich, słowem: że są mafiozami w znaczeniu dosłownym, bo też – podobnie jak wszelkich mafii protoplaści – i nasi też mocno demonstrują swą szaloną religijność.

Można zatem rzec, że pęd ku osobliwej oryginalności, ku niebywałej dotychczas kreacji wyróżnia naszą nację na tle ludów zrzeszonych w Unii Europejskiej, a nie jest to ubiór ani uczesanie, ani ów szeleszczący język, ale adnotacje w rejestrach skazanych i obecność w albumach fotografii z profilu i *en face* osobników poszukiwanych. Ekscytujące.

Na koniec mamy pytanie, każdy przyzna, że dziwne, a które przyszło nam do głowy w ostatniej chwili. Oto w Kielcach podczas prezentowania kandydatów PiS-u w wyborach europejskich p. J. Kaczyński, przedstawiając p. B. Szydło, użył wobec niej takiej frazy: „To nasz SZPICKANDYDAT". Po jakiemu to jest – pytamy? Konkretnie: czy B. Szydło kandyduje do Bundestagu? A jeżeli tak, to PO CO. „Herr Kaczynski. Das ist unmöglich!" ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

impact'24

Ivan **Krastev**

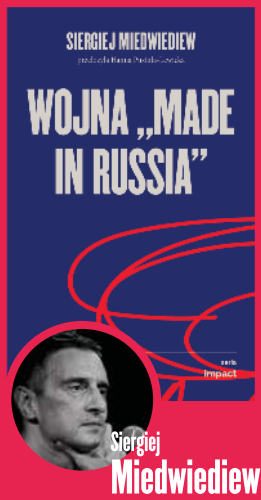

Siergiej **Miedwiediew**

Gaia **Vince**

Jason **Stanley**

Peter **Zeihan**

Esther **Perel**

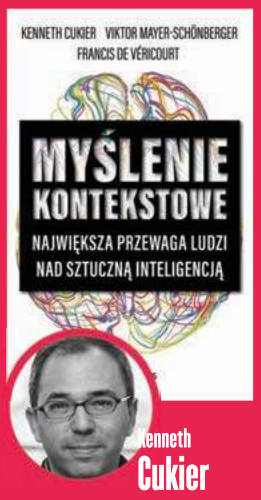

Kenneth **Cukier**

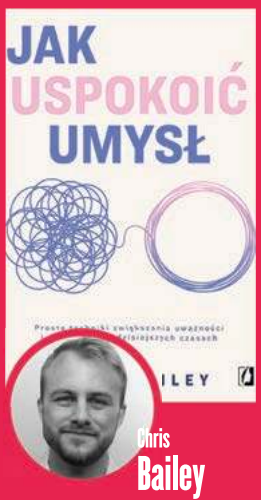

Chris **Bailey**

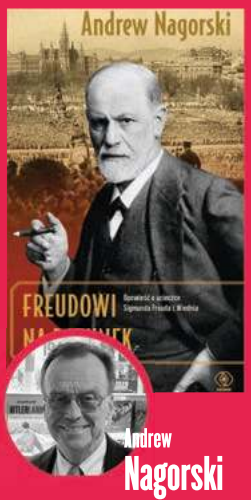

Andrew **Nagorski**

15-16 MAJA

POZNAŃ / WIELKOPOLSKA

WIĘCEJ OD AUTORÓW NA SCENACH IMPACT'24